

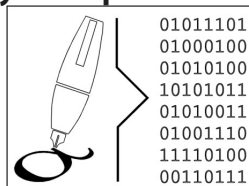
Philip K. Dick

Transmigracja Timothy'ego Archera

Tłumaczył: Lech Jęczmyk

Wydanie oryginalne: 1982

Wydanie polskie: 1999



Philip K. Dick urodził się w 1928 roku w Chicago, większość życia spędził w Kalifornii. Zmarł w 1982 roku w Santa Ana. Pozostawił po sobie imponującą — ilościowo i jakościowo — spuściznę literacką, na którą składają się setki opowiadań i dziesiątki powieści. W 1962 roku otrzymał Nagrodę Hugo za nowelę *Człowiek z Wysokiego Zamku*, a w 1974 nagrodę im. Johna W. Campella za *Płyńcie łzy moje, rzekł policjant*.

Dick, zwany Dostojewskim science fiction, jest autorem słynnej trylogii *VALIS* (*Valis, Boża inwazja, Transmigracja Timothy'ego Archera*), której inspiracją było mistyczne przeżycie w marcu 1974 roku. Jego twórczość jest niezwykle oryginalna, zadziwiająca zarówno bogactwem pomysłów fabularnych, jak i głębią rozważań filozoficzno-teologicznych. Tematem przewodnim są niezmiennie pytania o sens życia, o miejsce Boga w świecie pełnym zła oraz o kondycję współczesnego człowieka dążącego do poznania prawdy.

Oda na cześć tegoż

Ach, Benie!
Na twe skinienie
Któż by raz jeszcze nie siadł
Do którejś z Lirycznych Biesiad
„Pod Słońcem”, „Pod Psem”, czy w tawernie
„Potrójna Beczka”, gdzie wiernie
Gromadził się nasz Parnas cały
Na tego zakrapiane lecz podniosłe szaty,
A przecież każda Zwrotka słyszana z ust Mistrza
Była słodsza niż wino, niż pieczeń mięsistsza.

Mój Benie,
Na ziemskiej scenie
Stań znów, lub z wyżyn nieba
Ześlij choć, czego nam trzeba:
Zmyślność tą, którejś miał w nadmiarze;
A spraw też, byśmy —jak mądrzy włodarze —
Umieli rządzić się owym Talentem,
Bo gdy staniemy nad źródłem wyschniętem,
Gdy strwonimy bezcenny Spadek, nasz Kapitał,
Próżno o Wielkie Wiersze świat się będzie pytał.

Robert Herrick, 1648
(tłum. Stanisław Barańczak)

1

Barefoot prowadzi swoje seminaria na łodzi mieszkalnej w Sausalito. Trzeba zapłacić sto dolarów, żeby się dowiedzieć, po co żyjemy na tej ziemi. Dostaje się też kanapkę, ale tego dnia nie byłam głodna. Właśnie zabito Johna Lennona i chyba wiem, po co żyjemy na tej ziemi. Żeby się dowiedzieć, że to, co kochamy najbardziej, zostanie nam odebrane raczej na skutek błędu na górze niż w wyniku jakiegoś planu.

Zaparkowałam swoją hondę civic przy parkometrze i siedziałam, słuchając radia. Już na każdej częstotliwości można było usłyszeć wszystkie kiedykolwiek napisane piosenki Beatlesów. Cholera, pomyślałam. Czuję się, jakbym była z powrotem w latach sześćdziesiątych, a moim mężem był nadal Jefferson Archer.

— Gdzie jest przystań numer pięć? — spytałam dwóch przechodzących hipisów.

Nie odpowiedzieli. Zastanawiałam się, czy słyszeli już o Lennonie. Potem pomyślałam, co mnie, u diabła, obchodzi arabski mistycyzm, sufiowie i wszystko to, o czym Edgar Barefoot opowiada w swoim programie radiowym z Berkeley. Ci sufiowie to szczęśliwi ludzie. Dla nich istotą Boga nie jest potęga ani mądrość, ani miłość, ale piękno. To całkowicie nowa idea, nie znana żydom i chrześcijanom. Ja nie jestem ani żydówką, ani chrześcijanką. Nadal pracuję w sklepie muzycznym przy Telegraph Avenue w Berkeley i usiłuję spłacać raty za dom, który kupiliśmy z Jeffem, kiedy byliśmy małżeństwem. Teraz ja mam dom, a Jeff nie ma nic. Takie było całe jego życie.

Dlaczego ktoś przy zdrowych zmysłach miałby się przejmować arabskim mistycyzmem, zadawałam sobie pytanie, zamykając hondę i ruszając w stronę łodzi. Zwłaszcza przy takiej pogodzie. Ale co tam, przejechałam już przez most Richardсона, przez tandetne Richmond i obok rafinerii. Zatoka jest piękna, a na moście Richardсона każdego namierza policja. Liczą czas od momentu, kiedy się płaci rogatekowe i zjeżdża z mostu po stronie Marin. Jak się przyjeżdża do Marin za wcześnie, płaci się kupę forsy.

Nigdy nie przepadałam za Beatlesami. Kiedy Jeff przyniósł do domu płytę *Rubber Soul*, powiedziałam mu, że to mdłe. Nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać, od kiedy musiałam miliard razy, dzień po dniu, wysłuchiwać *Michelle*. To było gdzieś około roku sześćdziesiątego szóstego. Tu, nad Zatoką, wiele osób datuje wydarzenia według ukazywania się płyt Beatlesów. Pierwszy solowy album Paula McCartneya ukazał się na rok przed naszą separacją. Kiedy słyszę *Teddy Boy*, zaczynam płakać. To rok, kiedy miesz-

kałam w naszym domu sama. Nie róbcie tego. Nigdy nie mieszkaćcie same. Jeff do samego końca zajmował się swoją działalnością pacyfistyczną. Ja się wycofałam i słuchałam przez radio muzyki barokowej, niech ją licho porwie. W ten sposób po raz pierwszy usłyszałam Edgara Barefoota, którego początkowo uznałam za dupka z tym jego ciekim głosem i tonem kogoś, kto zachwyca się własną działalnością umysłową, ciesząc się niczym dwulatek każdym kolejnym *satori*. Są dowody, że byłam nad Zatoką jedyną osobą, która tak myślała. Później zmieniłam zdanie. Stacja KPFA zaczęła nadawać późno w nocy nagrane wykłady Barefoota, których słuchałam, próbując zasnąć. Kiedy człowiek jest na pół przytomny, cała ta monotonna recytacja nabiera sensu. Wiele osób tłumaczyło mi, że około roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego wszystkie programy nadawane w Strefie Zatokowej zawierały komunikaty podprogowe, pochodzące prawie na pewno od Marsjan. Komunikat, jaki odbierałam, słuchając Barefoota, brzmiał mniej więcej tak: „Jesteś w istocie dobrą osobą i nie powinnaś pozwolić, żeby ktoś inny układał ci życie”. W każdym razie, w miarę upływu czasu, sypiałam coraz lepiej. Zapomniałam Jeffa i to światło, które zgasło wraz z jego śmiercią, tyle że co pewien czas coś mi się przypominało, zwykle w związku z jakimś zdarzeniem w sklepie spółdzielczym na University Avenue. Jeff zwykle wdawał się tam w awantury, a mnie to bawiło.

Wchodząc po trapie na elegancką łódź Edgara Barefoota, uświadomiłam sobie, że będę datować mój udział w tym seminarium od zabójstwa Lennona i że te dwa wydarzenia są dla mnie nierozłączną całością. Cóż za sposób, żeby zacząć rozumieć świat. Lepiej wracaj do domu i wypal parę skrętów. Do licha z drżącym głosem oświecenia, to jest czas rewolwerów. Oświecona czy nie, nie masz tu nic do powiedzenia, jesteś sprzedawczynią płyt po studiach humanistycznych. „Najlepszym nawet brak zdecydowania...”, coś w tym rodzaju. „Cóż to za prymitywna bestia... wlecz się do Betlejem, żeby się narodzić”. Istota z wadą postawy, zmora świata. Mieliśmy test z Yeatsa. Dostałam A minus. Byłam dobra. Potrafiłam siedzieć przez cały dzień na podłodze, jedząc ser, popijając kozim mlekiem i zastanawiając się, która powieść jest najdłuższa... przeczytałam wszystkie długie powieści. Ukończyłam Uniwersytet Kalifornijski. Mieszkałam w Berkeley. Przeczytałam *W poszukiwaniu straconego czasu* i nic nie pamiętam. Jak to mówią, wyszłam przez te same drzwi, przez które weszłam. Nic mi to nie dało, wszystkie te lata w bibliotece, w oczekiwaniu aż zapali się mój numer, sygnalizując, że przyniesiono dla mnie książkę. Pewnie to samo może powiedzieć większość ludzi.

Ale i tak zachowuję te lata w pamięci jako dobry czas, w którym byliśmy mądrzejsi, niż się na ogół uważa. Wiedzieliśmy dokładnie, co mamy robić: reżim Nixona trzeba obalić; to, co robiliśmy, robiliśmy z pełną świadomością i nikt z nas tego nie żałuje. Teraz Jeff Archer nie żyje, od dzisiaj nie żyje John Lennon. Wzdłuż drogi leżą inni niezwykli ludzie, jakby przejechało tędy coś dużego. Może dzięki sufim z ich przekonaniem

o nieodłącznym od Boga pięknie znajdę szczęście. Może to dlatego idę po trapie na tę wytorną łódź mieszkalną: spełnia się plan, w którym wszystkie te smutne śmierci ku czemuś prowadzą, w jakiś sposób owocują radością.

— Bilet? — zatrzymał mnie przeraźliwie chudy chłopak, podobny do naszego znajomego Joe Ćpuna.

— Chodzi o to? — Wyjęłam z torebki druczek, który dostałam pocztą od Barefoota za moje sto dolarów. W Kalifornii kupuje się oświecenie tak jak groszek w supermarkecie, na wagę i według objętości. Poproszę cztery funty oświecenia, powiedziałam sama do siebie. Nie, lepiej wezmę dziesięć funtów, bo nie mam w domu ani uncji.

— Proszę iść na tył łodzi — powiedział chudy młodzieniec.

— Miłego dnia — odpowiedziałam.

Kiedy się po raz pierwszy widzi Edgara Barefoota, można go wziąć za mechanika samochodowego. Ponieważ jest niski i gruby, robi wrażenie kogoś, kto odżywia się śmieciowym jedzeniem, głównie hamburgerami. Jest łysy. Jak na to miejsce świata i ten okres ludzkiej cywilizacji ubiera się całkiem niewłaściwie: nosi długą brązową marynarkę, najzwyklejsze brązowe spodnie i niebieską bawełnianą koszulę... tylko jego buty wyglądają na drogie. Nie wiem, czy to, co ma na szyi, można nazwać krawatem. Może próbowano go powiesić i okazał się za ciężki. Urwał się z szubienicy i wrócił do swoich zajęć. Oświecenie i przetrwanie są przemieszane, powiedziałam sobie, zajmując miejsce. Tanie składane krzesła, tu i ówdzie parę osób, przeważnie młodych. Mój mąż nie żyje i jego ojciec nie żyje. Kochanka jego ojca połknęła słoń barbituranów i leży w grobie, śpi snem wiekuistym, na czym zresztą jej zależało. Dziwne to wszystko: biskup nie żyje, a razem z nim jasnowłosa Norweżka, którą utrzymywał z pieniędzy Funduszu Dyspozycyjnego Diecezji, jak twierdził Jeff. Biskup i szwindel. Żyjemy w dziwnych czasach, ale tamte były dużo dziwniejsze.

Edgar Barefoot stanął przed nami i dał znak, żebyśmy się przesiedli do przodu. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym zapaliła papierosa. Kiedyś zapaliłam papierosa w *aszramie* po wykładzie o Wedach. Odczułam powszechną pogardę plus ostrego kuksańca w żebra. Wywołałam oburzenie wzniosłych. Dziwna rzecz, że ci wzniosli umierają zupełnie tak samo jak ci zwykli. Biskup Timothy Archer miał w sobie mnóstwo wzniosłości, na wagę i na objętość, i nic mu to nie pomogło. Leży jak cała reszta pod ziemią. Tyle, jeżeli chodzi o życie duchowe. Tyle, jeżeli chodzi o aspiracje. Szukał Jezusa. Więcej, szukał tego, co kryje się za Jezusem, szukał ostatecznej prawdy. Gdyby zadowolił się byle czym, żyłby nadal. To daje do myślenia. Ludzie pospolicy, godzący się na fałsz, żyją i mogą opowiedzieć swoją historię. Oni nie zginęli nad Morzem Martwym. Najśłynniejszy biskup współczesności wyciągnął nogi dlatego, że nie dowierzał Jezusowi. Jest w tym jakaś nauka. Może więc doznałam oświecenia; wiem, że nie

należy wątpić. Wiem też, że należy brać więcej niż dwie butelki coca-coli, gdy wyrusza się na pustynię dziesięć tysięcy mil od domu. Posługując się mapką ze stacji benzynowej, jakbym nadal była w centrum San Francisco. Można dzięki niej zlokalizować Portsmouth Square, ale nie prawdziwe źródło chrześcijaństwa, ukryte przed światem przez ostatnie dwadzieścia dwa stulecia.

Pojadę do domu i zapalę skręta, powiedziałam sobie. To strata czasu. Od chwili śmierci Lennona wszystko jest stratą czasu, włącznie z opłakiwaniem tego faktu. Odkładałam żałobę na Wielki Post... przestaję się smucić.

Unosząc ku nam ręce, Barefoot zaczął mówić. Niewiele zapisywałam z tego, co mówił, i niewiele zapamiętałam. Byłam ciężką frajerką, że dałam sto dolarów, by tego słuchać. Ten facet przed nami był mądry, bo to on zgarniał gotówkę, a my płaciliśmy. Tak się mierzy mądrość: według tego, kto płaci. Tak ja nauczam. Powinna prowadzić wykłady dla sufich, dla chrześcijan też, a szczególnie dla episkopalnych biskupów z ich funduszami. Dawaj mi tu sto dolców, Tim. Wyobraźcie sobie zwracanie się do biskupa per „Tim”. To jak zwracanie się do papieża „Jurek” albo „Bill”, niczym do jakiegoś jaszczurka z *Alicji*. Zdaje się, że wpadł on kominem, o ile sobie przypominam, ale to mętna aluzja literacka, niezrozumiała podobnie jak to, co mówi Barefoot, bo nikt nie wie, o co chodzi.

— Śmierć w życiu — mówił Barefoot — i życie w śmierci, dwie postaci jednego kontinuum, jak *jin i jang*. Dwa oblicza, „holon”, jak to nazywa Arthur Koestler. Powinniście przeczytać jego *Janusa*. Jedno przechodzi w drugie w radosnym tańcu. To Kryszna tańczy w nas i przez nas. Każde z nas jest Kryszna, który, jeżeli pamiętacie, występuje w postaci czasu. To jest jego prawdziwa, uniwersalna postać. Ostateczna forma, niszczyciel wszystkich ludzi... wszystkiego, co istnieje. — Barefoot obdarzył nas wszystkim świętobliwym uśmiechem.

Tylko tu, nad Zatoką, pomyślałam, podobne bzdury mogą uchodzić na sucho. Mówi do nas jakiś dwulatek. Jezu, jakie to wszystko głupie! Odczuwam dobrze znaną odrazę, gniewną niechęć, którą uprawiamy w Berkeley, a którą tak sobie cenił Jeff. Oburzenie się z powodu każdego drobiazgu sprawiało mu przyjemność. Mój sposób to znoszenie głupot. Ze stratą finansową.

Jestem strasznie przerażona śmiercią, pomyślałam. Śmierć mnie wykończyła. To nie Sri Kryszna, niszczyciel wszystkich ludzi, to śmierć, niszczycielka wszystkich moich bliskich. Wybierała ich, a całą resztę zostawiała w spokoju. Ty cholerna kostucho, myślałam. Rzucałaś się na tych, których kocham. Posłużyłaś się ich głupotą i wygrałaś. To bardzo brzydko wykorzystywać ludzką słabość. Emily Dickinson chrzaniła, kiedy plectła coś o „miłosiernej śmierci”. To odrażająca myśl, że śmierć jest miłosierna. Nigdy nie widziała karambolu sześciu samochodów na autostradzie. Literatura to oszustwo w pigułkach, podobnie jak teologia. Piętro niżej ludzie się mordują, a ja szukam Boga w en-

cyklopedii. Bóg, ontologiczny dowód na istnienie. Lepiej byłoby: praktyczne dowody na nieistnienie. Takiego hasła nie ma. Szkoda, że nie pojawiły się we właściwym czasie argumenty przeciwko głupocie, ontologicznej i empirycznej, starożytnej i współczesnej (zob. Zdrowy rozsądek). Problem z wykształceniem polega na tym, że zajmuje ono tyle czasu. Człowiek poświęca na nie najlepszą część życia, a kiedy dochodzi do końca, widzi, że lepiej by zrobił, pracując w banku. Ciekawe, czy bankierzy zadają sobie takie pytania. Oni zadają sobie pytanie, jaki będzie jutro kurs dolara. Kiedy bankier udaje się na pustynię nad Morzem Martwym, to pewnie zabiera raketnicę, bańki z wodą, konserwy i nóż. A nie krucyfiks, który miał mu przypominać wcześniejsze szaleństwo. Niszczycielu ludzi na autostradzie i przy okazji moich nadziei, Sri Krysno, załatwiłeś nas wszystkich. Powodzenia w twoich pozostałych przedsięwzięciach. Jeżeli są równie godne poparcia w oczach innych bogów.

Chyba chrzanię, pomyślałam. Te pasje to bzdura. Cierpię na skutki chowu wsobnego, za długo przebywałam w środowisku intelektualistów znad Zatoki. Myślę, tak jak mówię: pompatycznie i cały czas zagadkami. Nie jestem już osobą, tylko samokarcącym się głosem. Gorzej, mówię tak, jak słyszę. Śmieci na wejściu, śmieci na wyjściu, jak mówią komputerowcy. Powinnam wstać i zadać Barefootowi bezsensowne pytanie, a potem wyjść, kiedy on będzie wygłaszał bezbłędną odpowiedź. W ten sposób on wygrywa, a ja wychodzę. Oboje na tym zyskujemy. On mnie nie zna, a ja go znam wyłącznie jako solenny głos z radia. Który już teraz odbija mi się w głowie, pomyślałam, a to dopiero początek, pierwszy z serii wykładów. Solenny głędoła... dobre nazwisko dla służącego rodziny Archerów w jakimś telewizyjnym serialu. „Głędoła, rusz tu swój tyłek, słyszysz!” To, co ten mały błazen opowiada, jest ważne, on mówi o Krysnie i o tym, jak ludzie umierają. To temat, który na podstawie osobistych doświadczeń uważam za ważny. Dobrze wiem, bo jest mi bliski, pojawił się w moim życiu przed laty i nie chce odejść.

Kiedyś mieszkaliśmy w małym wiejskim domu. Światło gasło, kiedy się włączyło opiekacz do tostów. W czasie deszczu w kuchni kapała woda z żarówki. Jeff co jakiś czas wylewał na dach puszkę jakiejś smolistej mazi, żeby nie przeciekało, bo nie stać nas było na kupienie papy. Smoła nie pomagała. Nasz dom, wśród innych podobnych, znajdował się w płaskiej części Berkeley przy San Pablo Avenue, blisko Dwight Way. Dobrą stroną było to, że Jeff i ja mogliśmy chodzić pieszo do restauracji Pech i patrzeć na Freda Hilla, jak twierdzili niektórzy agenta KGB, który był właścicielem lokalu, przyrządzał sałatki i decydował, czyje obrazy zawisną na ścianach w ramach bezpłatnej wystawy. Kiedy Fred pojawił się przed laty w mieście, wszyscy członkowie partii nad Zatoką zamarli ze strachu, bo rozeszła się wieść, że sowiecki wysłannik będzie robił czystkę. Ujawniło to, kto należy do partii, a kto nie. Strach padł na wiernych, a nikt inny się nie przejmował. Przypominało to podział na owce i kozy na Sądzie Ostatecznym, tylko że w tym przypadku to owce się trzęsły.

Marzenia o nędzy budziły w Berkeley powszechny entuzjazm wraz z nadzieją, że polityczna i społeczna sytuacja ulegnie pogorszeniu, pogrążając kraj w ruinie: taką teorię mieli aktywiści. Czekali na nieszczęście tak wielkie, że dotknęłoby każdego, ściągnając klęskę na winnych i niewinnych.

Byliśmy wtedy i jesteśmy teraz totalnie szaleni. To takie modne być szalonym. Na przykład, trzeba być szalonym, żeby dać córce na imię Goneril. Jak nas uczono na zajęciach z literatury angielskiej, szaleństwo śmieszyło bywalców teatru Globe. Teraz to nie jest śmieszne. W kraju jest się wielkim artystą, a tu jest się tylko autorem trudnej książki. Wielka rzecz, pomyślałam. Z rysunkiem na marginesie przedstawiającym kogoś grającego na nosie. I za to, tak jak za ten dzisiejszy wykład, płaciliśmy żywą gotówką. Można by oczekiwać, że długi okres biedy czegoś mnie nauczył, wyostrzył niejako moje zmysły. Mój instynkt przetrwania.

Jestem ostatnią żyjącą osobą, która znała biskupa Timothy'ego Archera z Diecezji Kalifornijskiej, jego kochankę, jego syna i mojego męża, nominalnie właściciela domu i głowę rodziny. Ktoś powinien... cóż, byłoby dobrze, gdyby nikt nie poszedł w ich ślady, dobrowolnie wybierając śmierć jak każde z nich, jak Parsifal, ten czysty głupiec.

2

Droga Jane Marion!

W odstępie dwóch dni dwie osoby, znajomy wydawca i znajomy pisarz, polecieli mi *Zielony Album*, obaj mówiąc w istocie to samo: że jeżeli chcę wiedzieć, co się dzieje we współczesnej literaturze, muszę przeczytać pani książkę. Kiedy przyszłam z książką do domu (powiedziano mi, że rozdział tytułowy jest najlepszy i żeby od niego zacząć), zorientowałam się, że jest w niej też esej o Timie Archerze. Przeczytałam go więc. Nagle mój przyjaciel stanął przede mną jak żywy. Sprawilo mi to nie radość, tylko dotkliwy ból. Nie mogę o nim pisać, bo nie jestem pisarką, chociaż ukończyłam anglistykę na Uniwersytecie Kalifornijskim. W każdym razie któregoś dnia, jako rodzaj ćwiczenia, usiadłam i spłodziłam fikcyjny dialog między nim a mną, żeby zobaczyć, czy potrafię oddać kadencję jego nie kończącego się potoku wymowy. Stwierdziłam, że potrafię, ale, podobnie jak sam Tim, dialog był martwy.

Ludzie pytają mnie czasem, jaki on był, ale nie czuję się chrześcijanką i nieczęsto spotykam ludzi związanych z Kościołem, choć kiedyś tak było. Moim mężem był jego syn, Jeff, znałam więc Tima raczej dobrze. Często rozmawialiśmy o teologii. Na krótko przed samobójstwem Jeffa spotkałam Tima i Kirsten na lotnisku w San Francisco. Właśnie wrócili z Anglii i przyjechali powitać oficjalnych tłumaczy zwojów z Qumran. Tim zaczął wtedy uważać, że Chrystus był oszustem i że nosicielami prawdziwej reli-

gii byli esencjacy. Radził się mnie, jak ma przekazać tę wiadomość swoim wiernym. Było to tuż przed wydarzeniami w Santa Barbara. Biskup umieścił Kirsten w zwykłym mieszkaniu w dzielnicy Tenderloin. Bywało tam bardzo niewiele osób. Jeff i ja, rzecz jasna, tak. Pamiętam, jak Jeff po raz pierwszy przedstawił mnie swojemu ojcu. Tim podszedł do mnie i powiedział: „Nazywam się Tim Archer”. Nie wspomniał, że jest biskupem. Ale miał na palcu pierścień.

To ja odebrałam telefon o samobójstwie Kirsten. Wciąż jeszcze nie mogliśmy dojść do siebie po samobójstwie Jeffa, a ja musiałam stać i słuchać, jak Tim mówi mi, że Kirsten „odeszła”. Patrzyłam na mojego młodszego brata, który bardzo lubił Kirsten; właśnie sklejał z drzewa balsa model Spada 13. Wiedział, że telefonuje Tim, ale nie wiedział oczywiście, że teraz Kirsten nie żyje, tak jak Jeff.

Tim pod pewnym względem różnił się od wszystkich znanych mi osób: potrafił mianowicie uwierzyć we wszystko i natychmiast działać na podstawie swoich nowych przekonań. To znaczy, dopóki nie zetknął się z czymś nowym, bo wtedy działał na podstawie tego nowego przekonania. Wierzył, na przykład, że medium uleczyło syna Kirsten z poważnych problemów psychicznych. Któregoś dnia, oglądając w telewizji wywiad Davida Prosta z Timem, zdałam sobie sprawę, że mówi o Jeffie i o mnie... tyle że to, co on mówił, nie miało żadnego związku ze stanem faktycznym. Jeff też oglądał ten program i nie wiedział, że ojciec mówi o nim. Niczym średniowieczni realiści, Tim wierzył, że słowa są czymś rzeczywistym. Jeżeli coś można ująć w słowa, to znaczy, że jest to *de facto* prawda. Zapłacił za to życiem. Nie byłam w Izraelu, kiedy on zginął, ale mogę go sobie wyobrazić na pustyni, jak studiuje mapę, tak jakby patrzył na mapkę ze stacji benzynowej w śródmieściu San Francisco. Mapa mówiła, że jak się przejedzie X mil, to się znajdzie w miejscu Y, więc wsiadł do samochodu i jechał X mil, wierząc, że dojedzie do Y, bo tak mówiła mapa. Człowiek, który wątpił w każdy dogmat wiary chrześcijańskiej, wierzył we wszystko, co było napisane.

Jednak zdarzenie, które, moim zdaniem, mówi o nim najwięcej, zaszło któregoś dnia w Berkeley. Jeff i ja byliśmy umówieni z Timem o określonej godzinie w określonym punkcie miasta. Tim przyjechał spóźniony. Tuż za nim przybiegł wściekły właściciel stacji benzynowej. Tim tankował benzynę na jego stacji, potem cofnął się, rozjeżdżając pompę... i odjechał, bo był spóźniony na spotkanie z nami.

— Pan mi zniszczył pompę! — wrzeszczał człowiek ze stacji benzynowej, nie mogąc złapać tchu i nie panując nad sobą ze złości. — Mogę wezwać policję. A pan sobie odjechał. Musiałem całą drogę za panem biec.

Ciekawiło mnie, czy Tim powie temu człowiekowi, teraz bardzo rozzłoszczonemu, ale w istocie zajmującemu bardzo skromną pozycję w społeczeństwie, komuś z dolnego szczebla drabiny, na której Tim znajdował się u samego szczytu — chciałam zobaczyć, czy Tim poinformuje go, że jest znanym na całym świecie biskupem Kalifornii, przyja-

ciem Martinem Lutherem Kingiem i Robertem Kennedym, wielkim i słynnym człowiekiem, który chwilowo występuje po cywilnemu. Tim tego nie zrobił. Pokornie przeprosił. Po jakimś czasie do właściciela stacji dotarło, że ma do czynienia z kimś, dla kogo duże, jasne pomalowane pompy po prostu nie istnieją. Miał przed sobą człowieka, który jak najbardziej dosłownie żył w innym świecie. Ten inny świat to było to, co Tim i Kirsten nazywali „drugą stroną”, i krok po kroku ta druga strona wszystkich ich wciągała: najpierw Jeffa, potem Kirsten, a w końcu nieuchronnie i samego Tima.

Czasami powtarzam sobie, że Tim nadal istnieje, ale teraz już wyłącznie w tym innym świecie. Jak to ujął Don McLean w swojej piosence *Vincent*: „Ten świat nie był pomysłem dla kogoś takiego jak ty”. To właśnie jest mój przyjaciel; ten świat nigdy nie był dla niego tak naprawdę prawdziwy, chyba więc nie był to świat odpowiedni dla niego. Gdzieś popełniono błąd i on o tym w głębi duszy wiedział.

Kiedy myślę o Timie, myślę tak:

*I nadal śnię, że idzie po trawie.
Kroczy jak duch po rosie,
Przeszywany na wskroś moim śpiewem radosnym.*

Jak to ujął Yeats.

Dziękuję pani za ten szkic o Timie, ale spotkanie go żywego, nawet przez chwilę, było bolesne. To chyba jest miarą wielkości tekstu, jeżeli potrafi coś takiego wywołać.

Zdaje się, że to w którejś powieści Aldousa Huxleya jeden z bohaterów telefonuje do przyjaciela i podniecony wykrzykuje: „Właśnie znalazłem matematyczny dowód na istnienie Boga!” Gdyby to był Tim, to następnego dnia znalazłby inny dowód, zaprzeczający pierwszemu... i uwierzyłby w niego z równą gotowością. Był jak ktoś w ogrodzie pełnym kwiatów, i każdy kwiat jest nowy i inny, a on odkrywa je po kolei i każdym jest równie zachwycony, ale zapomina o tych, które widział poprzednio. Był natomiast stu procentowo lojalny wobec przyjaciół. Ich nigdy nie zapomniał. To były jego stałe kwiaty.

To dziwne, pani Marion, ale brakuje mi go bardziej niż mojego męża. Może wywarł na mnie większe wrażenie. Nie wiem, może pani potrafi to wyjaśnić, to pani jest pisarką.

Serdecznie pozdrawiam
Angel Archer

Napisałam do tej słynnej przedstawicielki nowojorskiego literackiego establishmentu, Jane Marion, której teksty ukazują się w najbardziej prestiżowych czasopismach. Nie spodziewałam się otrzymać odpowiedzi i jej nie otrzymałam. Może jej wydawca, do którego ów list wysłałam, przeczytał go i wyrzucił do kosza, nie wiem. Ten szkic Marion

o Timie doprowadził mnie do furii, był oparty całkowicie na informacjach z drugiej ręki. Marion nigdy nie poznała Tima, a mimo to o nim napisała. Wspomniała, że Tim „pozbywał się przyjaciół, kiedy mu to było na rękę”. Tim nigdy w życiu nie zerwał żadnej przyjaźni.

Tamto spotkanie, na które Jeff i ja byliśmy umówieni z biskupem, było ważne pod dwoma względami, oficjalnym i, jak się okazało, nieoficjalnym. Jeżeli chodzi o aspekt oficjalny, to chciałam doprowadzić do spotkania między biskupem Archerem a moją przyjaciółką Kirsten Lundborg, która reprezentowała Ruch Emancypacji Kobiet w Strefie Zatokowej. Ruch pragnął, żeby Tim wygłosił popierające go przemówienie. Bez honorarium. Uznano, że jako synowa biskupa potrafię to załatwić. Nie trzeba dodawać, że Tim nie rozumiał całej sytuacji, ale to nie była jego wina, bo ani Jeff, ani ja o niczym nie wspomnieliśmy. Tim uważał, że spotykamy się, żeby zjeść razem obiad w restauracji Pech, którą znał ze słyszenia. Tim zapłaciłby rachunek, bo my tego roku byliśmy bez grosza, podobnie zresztą jak w roku poprzednim. Moje zarobki jako maszynistki w biurze prawnym przy Shattuck Avenue były dość niepewne. To biuro prawne składało się z dwóch facetów z Berkeley, którzy uczestniczyli we wszystkich ruchach protestacyjnych. Bronili w sprawach związanych z narkotykami. Ich firma nazywała się Barney i Gleason, Biuro Prawne i Sklep ze Świecami. Sprzedawali świece ręcznej roboty, albo w każdym razie trzymali je na pokaz. W ten sposób Jerry Barnes urągał swojemu zawodowi i dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru zarabiać wielkich pieniędzy. Jeżeli chodzi o ten cel, to zrealizował go w pełni. Pamiętam, jak kiedyś wdzięczny klient zapłacił mu czarną sztabką opium, która wyglądała jak czekoladowy balonik. Jerry nie wiedział, co z tym robić, i w końcu komuś ją podarował.

Ciekawie było patrzeć, jak Fred Hill, agent KGB, wita wszystkich gości jak przystało na dobrego restauratora, uśmiechając się i ściskając dłonie. Hill miał zimne oczy. Plotka głosiła, że do jego zadań należy likwidowanie osób, które okazały nieposłuszeństwo dyscyplinie partyjnej. Tim nie zwracał uwagi na Freda Hilla, kiedy drań prowadził nas do stolika. Zastanawiałam się, co powiedziałyby biskup Kalifornii, gdyby wiedział, że osobnik wręczający nam menu jest Rosjaninem, przebywającym w Stanach pod fałszywym nazwiskiem oficerem sowieckiej tajnej policji. A może wszystko to było typową dla Berkeley plotką. Od wielu już lat Berkeley i paranoja w jednym stali domku. Do końca wojny wietnamskiej było jeszcze daleko, Nixon nie wycofał nawet amerykańskich wojsk z Półwyspu. Agenci rządowi weszli w Strefie Zatokowej. My, niezależni działacze, podejrzewaliśmy wszystkich o kolaborację, nie wierzyliśmy ani prawicy, ani Komunistycznej Partii USA. Najbardziej znienawidzoną rzeczą w Berkeley był zapach policji.

— Jak się macie — powiedział Fred Hill. — Na obiad mamy dziś zupę minestrone. Czy podać po kieliszku wina, zanim się na coś zdecydujecie?

Cała nasza trójka powiedziała, że chcemy wina, pod warunkiem, że nie będzie to Galio, i Fred Hill się oddalił.

— To pułkownik KGB — poinformował biskupa Jeff.

— Bardzo ciekawe — skomentował Tim, studiując menu.

— Marnie im płacą — powiedziałam.

— Pewnie dlatego musiał otworzyć restaurację — zauważył Tim, rozglądając się po sąsiednich stołach i gościach. — Zastanawiam się, czy mają tu kawior z Morza Czarnego. — Zatrzymawszy wzrok na mnie, spytał: — Czy lubisz kawior, Angel? Ikrę jesiotra, chociaż czasem nazywają kawiolem ikrę *cyclopterus lumpus*, która jednak jest większa i czerwonawa. Jest znacznie tańsza. Nie przepadam za tym kawiolem lumpów. Właściwie określenie „kawior lumpów” to oksymoron. — Zaśmiał się, głównie do siebie.

Cholera, pomyślałam.

— O co chodzi? — spytał Jeff.

— Zastanawiam się, gdzie jest Kirsten — powiedziałam, zerkając na zegarek.

— Początki ruchu feministycznego można znaleźć w *Lizystracie* — powiedział biskup. — „Trzeba nam będzie wyrzec się miłości...” — Roześmiał się znowu. — „Jako że u nas zawarte drzwi...” Umilkł, jakby się namyślał, czy cytować dalej. — „...Na spusty trzy”. To gra słów. „Zamknięte drzwi” odnosi się zarówno do ogólnej sytuacji buntu kobiet, jak i do ich niedostępnych pochew.

— Tato — wtrącił się Jeff — spróbujmy ustalić, co zamówimy, dobrze?

— Jeżeli chodzi ci o to, że mamy ustalić, czego spróbują nasze języki, to moja uwaga jest jak najbardziej na miejscu. Arystofanesowi by się to spodobało.

— Daj spokój, tato — powiedział Jeff.

Wrócił Fred Hill z tacą.

— Burgund Louis Martini. — Postawił na stole trzy kieliszki. — Przepraszam, ale czy nie jest pan biskupem Archerem?

Biskup kiwnął głową.

— W Selmie brał pan udział w marszu razem z doktorem Kingiem.

— Tak, byłem w Selmie — potwierdził biskup.

— Opowiedz mu tę historię o pochwie — wtrąciłam. — Biskup zna bardzo starą historię o pochwie — zwróciłam się do Freda Hilla.

— Historia jest stara, lecz pochwa była całkiem młoda — zaśmiał się biskup.

— Doktor King to był wielki człowiek — powiedział Fred Hill.

— Bardzo wielki — zgodził się biskup. — Ja wezmę podgardle.

— Dobry wybór — powiedział Fred Hill, robiąc notatkę.

— A ja poproszę kotlet cielęcy à la Oscar — powiedziałam.

— Ja to samo — odezwał się Jeff.

Wyglądał na skwaszonego. Wiedziałam, że nie podoba mu się wykorzystywanie mojej zażyłości z biskupem, do naciągania go na bezpłatne wystąpienie dla feministek czy dla jakiegokolwiek innej grupy. Zdawał sobie sprawę, jak łatwo jest namówić jego ojca na różne darmowe prelekcje. Zarówno on, jak i biskup byli ubrani w ciemne wełniane garnitury i, rzecz jasna, Fred Hill, słynny agent KGB i masowy morderca, też nosił garnitur i krawat.

Tego dnia, siedząc między nimi, zastanawiałam się, czy Jeff pójdzie w ślady ojca i przyjmie święcenia. Obaj wyglądali uroczyście, nadając sprawie zamawiania posiłku tę samą powagę, to samo skupienie, jakie nadawali prawie wszystkiemu: ta profesjonalna postawa była zwykle w przypadku biskupa okraszona humorem... chociaż, podobnie jak dzisiaj, ten humor wydawał mi się nie całkiem stosowny.

Podczas gdy jedliśmy zupę minestrone, biskup Archer mówił o czekającym go procesie o herezję. Temat ten fascynował go bezgranicznie. Kilku tradycyjnych biskupów uwzięło się na niego, ponieważ w paru opublikowanych artykułach i w kazaniach, które wygłosił w katedrze Miłosierdzia Bożego, twierdził, że od czasów apostołskich nikt nie widział ani śladu Ducha Świętego. To skłoniło Tima do podania w wątpliwość doktryny o Trójcy Świętej. Jeżeli Duch Święty byłby w rzeczywistości osobą boską równą Jehowie i Chrystusowi, to musiałby nadal być wśród nas. Mówienie językami nie robiło na biskupie wrażenia. Widział tego masę podczas lat służby w Kościele episkopalnym i uważał to za przejaw autohipnozy i demencji. Co więcej, uważna lektura Dziejów Apostolskich ujawnia, że w dniu Pięćdziesiątnicy, kiedy Duch Święty zstąpił na uczniów, napełniając ich darem języków, mówili obcymi językami, które ludzie w sąsiedztwie rozumieli. To nie jest glosolalia, jak się to teraz nazywa, to ksenoglosis. Podczas gdy jedliśmy, biskup śmiał się ze zgrabnej odpowiedzi świętego Piotra na zarzut, że jedenastu było pijanych. Piotr donośnym głosem wyjaśnił szydzącemu tłumowi, że jedenastka uczniów nie może być pijana, jako że jest dopiero trzecia godzina dnia. Biskup zastanawiał się na głos między łyżkami zupy, jak potoczyłaby się historia Zachodu, gdyby rzecz działała się nie o trzeciej rano, a o dziewiątej wieczorem. Jeff wyglądał na znudzonego, a ja zerkałam na zegarek, wyobrażając sobie, co mogło zatrzymać Kirsten. Pewnie poszła się uczesać. Zawsze przejmowała się swoimi jasnymi włosami, zwłaszcza przed jakimiś ważnymi okazjami.

Kościół episkopalny jest trynitarny, nie można być kapłanem i biskupem tego Kościoła, jeżeli się bez zastrzeżeń nie przyjmuje i nie naucza tego... no cóż, to się nazywa *Symbol Nicejski*:

*Wierzę w Ducha Świętego,
Pana i Ożywiciela,
który od Ojca i Syna pochodzi.
Który z Ojcem i Synem wspólnie
odbiera uwielbienie i chwałę.*

Tak więc biskup McClary z Missouri miał rację. Tim istotnie popełnił herezję. Jednak Tim, zanim został proboszczem Kościoła episkopalnego, przeszedł praktykę adwokacką i nie mógł się doczekać tego procesu o herezję. Biskup McClary znał Biblię i prawo kanoniczne, ale Tim tak by mu namącił w głowie, że biskup nie wiedziałby, na jakim świecie żyje. Tim był tego świadom. Występując w procesie o herezję, znalazłby się w swoim żywiole. Co więcej, pisał na ten temat książkę; wygrałby i jeszcze zarobił na tym pieniądzu. Cała amerykańska prasa zajmowała się tą sprawą, pojawiły się nawet artykuły wstępne. Uzyskanie wyroku skazującego za herezję w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym nie było sprawą łatwą.

Słuchając nie kończących się rozważań Tima, pomyślałam, że on umyślnie popełnił herezję, żeby sprowokować ten proces. Albo zrobił to podświadomie. Było to, jak się mówi, dobre posunięcie z punktu widzenia kariery zawodowej.

— Tak zwany dar języków — ciągnął z ożywieniem biskup — przywraca wspólnotę utraconą przy próbie wieży Babel, to znaczy, przy próbie jej zbudowania. Kiedy nadejdzie taki dzień, że ktoś w mojej kongregacji wstanie i zacznie mówić po walońsku, to w tym dniu uwierzę w istnienie Ducha Świętego. Jak na razie, nie jestem pewien, czy On w ogóle istniał. Apostolska koncepcja Ducha Świętego opiera się na hebrajskim *ruah*, duchu Boga. Nawiasem mówiąc, ten duch jest rodzaju żeńskiego, nie męskiego, i mówi o mesjańskiej nadziei. Chrześcijaństwo zapożyczyło to pojęcie od judaizmu i kiedy nawróciło wystarczającą liczbę pogan — gojów, jak chcecie — porzuciło je, jako rozumiało i tak tylko dla żydów. Dla nawróconych greków nie miało ono żadnego sensu, chociaż Sokrates twierdził, że kierował nim wewnętrzny głos, *daemon*... duch opiekuńczy, którego nie należy mylić ze współczesnym słowem „demon”, odnoszącym się do niewątpliwie złego ducha. Często myli się te dwa pojęcia. Czy mamy czas na koktajl?

— Mają tu tylko piwo i wino — powiedziałam.

— Chciałbym zatelefonować, — Biskup otarł serwetką brodę i wstał, rozglądając się wokół. — Czy jest tu automat?

— Telefon jest na stacji benzynowej — powiedział Jeff. — Ale jak tam pojedziesz, możesz zmiażdżyć następną pompę.

— Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało — powiedział biskup. — Nic nie czułem i nic nie widziałem. Po raz pierwszy dowiedziałem się o tym, kiedy nadbiegł rozhisteryzowany ten... Albers? Mam tu gdzieś zapisane jego nazwisko. Może to pod jego postacią ukazał się Duch Święty. Mam nadzieję, że moje ubezpieczenie nie wygasło. Zawsze się opłaca mieć przy sobie ubezpieczenie samochodowe.

— On nie mówił po walońsku — wtrąciłam.

— Tak, cóż — powiedział Tim — lecz to, co mówił, było całkiem niezrozumiałe. Kto wie, może to był przypadek glosolalii. Może to jest dowód na istnienie Ducha Świętego. — Poprawił się na krześle. — Czy na coś czekamy? — zwrócił się do mnie. — Ciągłe pa-

trzyś na zegarek. Ja mam tylko godzinę, potem muszę wracać do miasta. Kłopot, jaki stawia przed nami dogmat, polega na tym, że zagłusza on w człowieku ducha twórczości. Whitehead, Alfred North Whitehead wystąpił z ideą Boga jako procesu, a on jest, albo był wybitnym uczonym. Teologia procesu. Wszystko to wywodzi się z Jacoba Boehme i jego pozytywno-negatywnej boskości, jego dialektycznej boskości antycypującej Hegla. Boehme z kolei opierał się na Augustynie. *Sic et non*, wiecie. W łacinie brak precyzyjnego słowa na „tak”. Chyba „sic” jest najbliższe, chociaż właściwie lepiej się tłumaczy jako „zatem”, „przeto” czy „w ten sposób”. *Quod si hoc nunc sic incipiam? Nihil est. Quod si sic? Tantumdem egero. Et sic...* — Umilkł, marszcząc czoło. — *Nihil est*. W języku rozdzielczym — angielski jest najlepszym przykładem — to by dosłownie znaczyło „jest nic”. Terencjusz ma, oczywiście, na myśli „to jest nic”, z „id”, czyli „to” w domyśle. A jednak, jaka niezwykła moc kryje się w tych dwóch wyrazach *nihil est*. Zdumiewająca jest ta zdolność łaciny do zawierania znaczenia w możliwie najmniejszej liczbie słów. To i precyzja — dwie jak najbardziej godne podziwu cechy łaciny. Angielszczyzna ma za to bogatszy słownik.

— Tato — przerwał mu Jeff — czekamy na znajomą Angel. Mówiłem ci o niej wczoraj.

— *Non video* — powiedział biskup. — Mówię, że jej nie widzę” jej” w domyśle. Patrz, ten człowiek chce nam zrobić zdjęcie.

Do stołu zbliżał się Fred Hill z aparatem fotograficznym zaopatrzonym w lampę błyskową.

— Czy eminencja pozwoli, że zrobię zdjęcie?

— Zrobię wam zdjęcie razem — rzekłam, wstając. — Będzie je pan mógł powiesić na ścianie — zwróciłam się do Freda Hilla.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Tim.

Kirsten Lundborg zjawiła się, kiedy jedliśmy. Wyglądała na niezadowoloną i zmęczoną, na dodatek nie znalazła w menu nic, co by jej odpowiadało. Zamówiła kieliszek białego wina, nic nie jadła, mało mówiła, za to paliła papierosa za papierosem. Na jej twarzy rysowało się napięcie. Nie wiedzieliśmy wtedy, że cierpi na łagodne, ale chroniczne zapalenie otrzewnej, które może się okazać (i w jej przypadku tak się stało) bardzo niebezpieczne. Sprawiała wrażenie, że nas prawie nie zauważa. Przypuszczałam, że przeżywa jedną ze swych okresowych depresji; nie miałam pojęcia, że tego dnia cierpiała fizycznie.

— Możesz chyba zamówić tost i jajko na miękko — zaproponował Jeff.

— Nie. — Kirsten pokręciła głową. — Moje ciało próbuje umrzeć — dodała po chwili. Nie wdawała się w wyjaśnienia. Wszyscy poczuliśmy się niezręcznie. Myślę, że o to jej w gruncie rzeczy chodziło. A może nie. Biskup Archer przyglądał się jej z uwagą i z du-

żą dozą sympatii. Zastanawiałam się, czy zaproponuje jej nakładanie rąk. W Kościele episkopalnym to się praktykuje. Nie słyszałam, żeby procent uzdrowień tą metodą był gdzieś notowany, co może i lepiej.

Kirsten mówiła głównie o swoim synu, Billu, który został odrzucony przez komisję poborową ze względów psychologicznych. Wydawało się, że jest z tego powodu ucieszona i zarazem zmartwiona.

— Jestem zaskoczony, że ma pani syna w wieku poborowym — powiedział biskup.

Na chwilę Kirsten umilkła. Twarz jej się jakby wygładziła. Było dla mnie jasne, że uwaga Tima poprawiła jej nastrój.

W tym okresie swojego życia była dość atrakcyjna, ale szpecił ją wyraz stałej surowości, dotyczący zarówno jej wyglądu, jak i wrażenia emocjonalnego, jakie wywierała na ludziach. Przy całym moim podziwieniu dla niej wiedziałam, że Kirsten nie potrafi pominąć okazji do jakiejś okrutnej uwagi — wada, którą z czasem doprowadziła do wirtuozerii. Pomysł polega chyba na tym, że jak się jest odpowiednio inteligentnym, to można ludzi obrażać, a oni nie zareagują, natomiast kiedy człowiek jest tępy i niezręczny, to nigdy mu coś takiego nie ujdzie. Wszystko zależy od zdolności językowych. Człowiek jest oceniany, jak na konkursie, na podstawie słownej zręczności.

— Bill tylko fizycznie jest w tym wieku — powiedziała Kirsten. Ale humor jakby się jej poprawił. — Co to powiedział ostatnio ten komik w programie Johnny'ego Carsona? „Moja żona nie chce iść na operację plastyczną, ona domaga się autentycznej młodości”. Wracam prosto od fryzjera, dlatego się spóźniłam. Kiedyś, jak leciałam do Francji, zrobili mi z włosami coś takiego... — Uśmiechnęła się. — Wyglądałam jak rudy kłown. W Paryżu przez cały czas nosiłam na głowie babuszkę. Mówiłam wszystkim, że wybieram się do Notre Dame.

— Co to jest babuszka? — spytał Jeff.

— Rosyjska wieśniaczka — odpowiedział biskup Archer.

— To prawda — potwierdziła Kirsten, wpatrując się w niego z uwagą. — Widocznie pomyliłam słowa.

— Użyła pani właściwego słowa — wyjaśnił biskup — Określenie chustki noszonej na głowie pochodzi od...

— O Chryste — jęknął Jeff.

Kirsten uśmiechnęła się, popijając białe wino.

— Podobno jest pani w Ruchu Emancypacji Kobiet? — spytał biskup.

— Ruch Emancypacji Kobiet to ja — stwierdziła Kirsten.

— Ona jest jedną z założycielek — dodałam.

— Musi pani wiedzieć, że mam bardzo zdecydowane poglądy na temat aborcji — powiedział biskup.

— Wie pan, że ja też — powiedziała Kirsten. — Jakie są pańskie?

— My uważamy, że nie narodzone dzieci mają prawa nadane im nie przez człowieka, ale przez Wszchemogącego Boga — powiedział biskup. — Zakaz zabijania wywodzi się wprost z Dekalogu.

— Zadam panu pytanie — powiedziała Kirsten. — Czy uważa pan, że istota ludzka ma prawa po śmierci?

— Słucham? — zdziwił się biskup.

— Przyznaje im pan prawa przed narodzeniem. Dlaczego nie przyznać im równych praw po śmierci.

— Jeżeli o to chodzi, ludziom przysługują prawa po śmierci — wtrącił się Jeff. — Potrzebny jest nakaz sądu, żeby wykorzystać zwłoki albo organy wyjęte ze zwłok do...

— Chciałabym zjeść ten kotlet à la Oscar — przerwałam im, widząc już te nie kończące się ciągi argumentów, a w rezultacie odmowę biskupa na zaproszenie feministek. — Czy nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

Nie zrażony tym Jeff ciągnął dalej:

— Mam znajomego, który pracuje w biurze lekarza sądowego. Mówił mi, że kiedyś weszli na oddział intensywnej terapii w... zapomniałem, co to był za szpital... w każdym razie, kobieta umierała, a oni wyrwali jej oczy na przeszczep, zanim na monitorach ustały oznaki życia. Powiedział mi, że stale tak się dzieje.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, jedząc; Kirsten sęczyła wino, a biskup Archer nie przestawał patrzeć na Kirsten z sympatią i z troskaniem. Później dotarło do mnie, że biskup wyczuł jej nieujawnioną w pełni chorobę, wyczuł to, czego reszta z nas nie zauważała. Może wynikało to z jego pracy duszpasterskiej, ale widziałam, jak robił to wielokrotnie: odkrywał w człowieku potrzebę, której nikt inny, czasem nawet sam zainteresowany, nie dostrzegał, a jeżeli nawet dostrzegał, to nie znajdował czasu, żeby przystanąć i wyrazić troskę.

— Odnoszę się z największym szacunkiem do Ruchu Emancypacji Kobiet — powiedział łagodnym głosem.

— Jak większość ludzi — rzuciła Kirsten, ale teraz wyglądała na autentycznie zadowoloną. — Czy Kościół episkopalny dopuszcza kapłaństwo kobiet?

— Kapłaństwo? Jeszcze nie, ale to się zbliża.

— Rozumiem więc, że pan osobiście jest za?

— Naturalnie. — Kiwnął głową. — Uczestniczyłem aktywnie w modernizacji standardów dla męskich i żeńskich diakonatów... na przykład nie pozwalałam, żeby w mojej diecezji używano określenia „diakonisa”. Nalegam, żeby zarówno wobec mężczyzn, jak i kobiet używać określenia diakon. Ujednolicenie formacji mężczyzn i kobiet jako diakonów umożliwi następnie wyświęcanie kobiet diakonów na kapłanów. Uważam to za niezbędne i aktywne działanie w tym kierunku.

— Cóż, miło mi to słyszeć od pana — powiedziała Kirsten. — Wobec tego różnicie się znacznie od Kościoła katolickiego. — Kirsten odstawiła kieliszek. — Papież...

— Biskup Rzymu — poprawił biskup Archer. — W rzeczywistości on jest biskupem Rzymu. I Kościół rzymskokatolicki. Nasz Kościół też jest katolicki.

— Oni nie będą wyświęcać kobiet, jak pan myśli?

— Nie przed nastaniem paruzji — odrzekł biskup Archer.

— A co to jest? — spytała Kirsten. — Musi mi pan wybaczyć moją niewiedzę, ale nie mam wykształcenia ani skłonności religijnych.

— Ja też nie — powiedział biskup. — Wiem tylko, że jak to ujął Malebranche: „To nie ja oddycham, ale Bóg, który oddycha we mnie”. Paruzja to obecność Chrystusa. Kościół katolicki, którego jesteście częścią, oddycha, i oddycha tylko dzięki żywej mocy Chrystusa; On jest głową, a my jesteśmy ciałem. „On jest Głową Ciała — Kościoła”, jak powiada Paweł. Jest to koncepcja znana światu starożytnemu, którą i my możemy zrozumieć.

— Interesujące — stwierdziła Kirsten.

— Nie, prawdziwe — powiedział biskup. — Interesujące są kwestie intelektualne i poszczególne fakty, takie jak ilość soli wydobywanej w określonej kopalni. To, o czym mówię, dotyczy nie naszej wiedzy, ale tego, czym jesteśmy. Otrzymaliśmy nasze życie przez Jezusa Chrystusa. „On jest obrazem Boga niewidzialnego — pierwotnego wobec każdego stworzenia, bo w Nim zostało wszystko stworzone: i to, co w niebiosach, i to, co na ziemi, byty widzialne i niewidzialne, czy Trony, czy Panowania, czy Zwierzchności, czy Władze. Wszystko przez Niego i dla Niego zostało stworzone. On jest przed wszystkim i wszystko w Nim ma istnienie”.

Głos biskupa był niski i pełen napięcia, mówił równomiernie, i mówiąc, patrzył wprost na Kirsten, a ja widziałam, że ona też patrzy na niego prawie jak zaczarowana, jakby chciała i nie chciała słuchać, przestraszona i zafascynowana zarazem. Wielokrotnie słyszałam Tima wygłaszającego kazanie w katedrze Miłosierdzia, a teraz zwracał się do niej jedynej z tą samą żarliwością, z jaką oddziaływał na tłumy ludzi. A tu wszystko było tylko dla niej.

Przez chwilę panowała cisza.

— Wielu księży nadal mówi „diakonisa” — odezwał się Jeff, z zakłopotaniem szurając nogami. — Kiedy Tim nie słyszy.

— Biskup Archer jest prawdopodobnie największym poplecznikiem praw kobiet w Kościele episkopalnym — powiedziałam do Kirsten.

— Tak, słyszałam o tym. — Kirsten zwróciła się do mnie. — Zastanawiam się... czy myślisz...

— Chętnie wystąpię przed waszą organizacją — wszedł jej w słowo biskup. — Po to się tu spotkaliśmy. — Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął czarny notes. — Zapiszę so-

bie numer pani telefonu i obiecuję zadzwonić w najbliższych dniach. Muszę to uzgodnić z Jonathanem Gravesem, biskupem pomocniczym, ale jestem pewien, że znajdę dla was czas.

— Dam panu mój numer w Ruchu i domowy — powiedziała Kirsten. Czy... — zahała się przez chwilę. — Czy chce pan usłyszeć coś bliższego na temat naszej organizacji?

— Proszę mi mówić Tim.

— Nie jesteśmy radykalne w konwencjonalnym sensie...

— Znam dość dobrze waszą organizację — powiedział biskup Archer. — Chciałbym, żebyście wzięły pod uwagę to: „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzącający. Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”. Pierwszy List do Koryntian, rozdział trzynasty. Jako kobiety znajdziecie swoje miejsce w świecie przez miłość, a nie przez wrogość. Miłość nie jest ograniczona do chrześcijan, miłość jest czymś nie tylko dla Kościoła. Jeżeli chcecie nas pokonać, okażcie nam miłość, nie pogardę. Wiara przenosi góry, miłość porusza ludzkie serca. Ci, którzy się wam przeciwstawiają, to ludzie, nie martwe przedmioty. Waszymi wrogami nie są mężczyźni, ale męska ignorancja. Nie mylcie ludzi z ich ignorancją. Na to, co osiągnęliśmy, trzeba było lat, i trzeba jeszcze dalszych lat. Nie popadajcie w niecierpliwość i nienawiść. Która to godzina? — Rozejrzał się, nagle zaniepokojony. — Proszę. — Podał Kirsten wizytówkę. — Proszę zadzwonić. Muszę już iść. Miło było poznać.

I poszedł sobie. Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że zapomniał zapłacić.

3

Biskup Kalifornii wystąpił przed członkiniami Ruchu Emancypacji Kobiet, a potem wyciągnął od zarządu dwa tysiące dolarów na kościelną fundację walki z głodem na świecie, sumę raczej nominalną i na zbożny cel. Upłynęło nieco czasu, zanim wiadomość, że Tim spotyka się z Kirsten prywatnie, dotarła do mnie i do Jeffa. Jeff był po prostu zdumiony. Ja uważałam, że to zabawne.

Jeffowi nie wydawało się zabawne nawet to, że jego ojciec wyciągnął od feministek dwa tysiące dolarów. On przewidywał groźbę darmowej prelekcji, a stało się zupełnie inaczej. Przewidywał tarcia i wzajemną niechęć między swoim ojcem a moją znajomą, i to też się nie sprawdziło. Jeff nie rozumiał własnego ojca.

Dowiedziałam się o wszystkim od Kirsten, nie od Tima. W tydzień po prelekcji Tima odebrałam telefon. Kirsten chciała umówić się ze mną na zakupy w San Francisco. Ktoś,

kto umawia się na randki z biskupem, nie rozgłasza tego całemu miastu. Kirsten godzinami przebierała w sukienkach, bluzkach, koszulkach i spódnicach, zanim puściła farbę na temat tego, co się dzieje. Moje milczenie zostało z góry zapewnione za pomocą przysięg bardziej chyba wymyślnych niż u różokrzyżowców. Zdradzenie mi samej tajemnicy stanowiło dziesięć procent przyjemności i Kirsten przedłużała ją sobie w nieskończoność. Byłyśmy już hen w Marin, zanim zgłębiłam, co ona sugeruje.

— Jeżeli Jonathan Graves się dowie, Tim będzie musiał ustąpić — powiedziała.

Miałam kłopoty z przypomnieniem sobie, kto to jest Jonathan Graves. Wiadomość wydawała się całkowicie niedorzeczna. Z początku myślałam, że Kirsten żartuje, a potem, że ma halucynacje.

— „The Chronicle” dałoby to na pierwszą stronę — mówiła Kirsten z powagą. — A w połączeniu z procesem o herezję...

— Jezu Chryste! — wykrzyknęłam. — Nie możesz iść do łóżka z biskupem!

— Już to zrobiłam — odrzekła Kirsten.

— Komu jeszcze powiedziałaś?

— Nikomu. Nie jestem pewna, czy powinnaś powiedzieć Jeffowi. Rozmawialiśmy o tym z Timem i nie mogliśmy się zdecydować.

My, pomyślałam. Ty destrukcyjna suko. Żeby się przespać z chłopem, gotowa byłaś zrujnować całe jego życie, życie człowieka, który znał doktora Kinga i Roberta Kennedy'ego i który jest autorytetem dla... na przykład dla mnie.

— Nie rób takiej oburzonej miny — powiedziała Kirsten.

— Kto wpadł na ten pomysł?

— Dlaczego cię to tak złości?

— Czy to był twój pomysł?

— Rozmawialiśmy na ten temat — rzekła Kirsten spokojnie.

Po chwili zaczęłam się śmiać. Kirsten, z początku obrażona, po jakimś czasie dołączyła do mnie. Stałyśmy na trawie na brzegu zatoki i, zaśmiewając się, padłyśmy sobie w objęcia. Przechodnie spoglądali na nas z zaciekawieniem.

— Czy był chociaż dobry? — udało mi się w końcu wyjąkać. — Powiedz, jak ci było?

— Wspaniale, ale on musi teraz iść do spowiedzi.

— Czy to znaczy, że nie będziecie mogli tego zrobić po raz drugi?

— To znaczy, że będzie musiał po raz drugi iść do spowiedzi.

— Czy nie pójdziesz za to do piekła?

— Ja nie. On.

— Czy to ci nie przeszkadza?

— Że nie pójde do piekła? — zaśmiała się Kirsten.

— Powinnyśmy w tej sprawie zachowywać się jak ludzie dorośli — powiedziałam.

— Absolutnie. Musimy być poważne. Zachowywać się jak najbardziej normalnie. Tyle, że to nie jest normalne. To znaczy, nie chcę powiedzieć, że to jest nienormalne w sensie... no wiesz.

— Jak robienie tego z kozłem.

— Zastanawiam się, czy jest na to jakieś słowo... na robienie tego z episkopalnym biskupem. Kazibiskupstwo? Tim powiedział mi to słowo.

— Kozie biskupstwo?

— Nie, kazi. Źle to wymawiasz. — Musiałyśmy się nawzajem powstrzymywać, żeby nie upaść, żadna z nas nie mogła przestać się śmiać. — O Boże. — Otarła łzy z oczu. — To straszne, my naprawdę pójdziemy do piekła, prosto do piekła. Czy wiesz, co mi pozwolił zrobić? — Kirsten nachyliła się i wyszeptowała mi to do ucha. — Przymierzałam niektóre jego szaty i mitrę, wiesz, ten kapelusz w kształcie łopaty. Pierwsza kobieta w stroju biskupa.

— Może wcale nie byłaś pierwsza.

— Wyglądałam w tym wspaniale. Lepiej niż on. Wynajmujemy mieszkanie. Na litość boską, nie wspominaj zwłaszcza o tym nikomu, ale on płaci za to ze swojego funduszu dyspozycyjnego.

— Kościelne pieniądze? — Spojrzałam na nią.

— Posłuchaj. — Kirsten spoważniała, ale nie potrafiła długo tak wytrzymać i ukryła twarz w dłoniach.

— Czy to nie jest wbrew prawu? — spytałam.

— Nie i dlatego to się nazywa fundusz dyspozycyjny biskupa, może z nim robić, co chce. Będę u niego pracować jako... tego jeszcze nie ustaliliśmy, ale jako ktoś w rodzaju kierowniczkę biura czy menedżer, organizujący jego wystąpienia i podróże. Jego interesy. Mogę też nadal pozostać w Ruchu. — Zamilkła na chwilę, a potem dodała: — Będzie kłopot z Billem. Nie mogę mu powiedzieć, bo znów mu odbiło. Nie powinnam tego mówić. Głęboko autystyczne wycofanie ucieczkowe z naruszeniem procesów pamięciowych w połączeniu z zaburzeniem lokalizacji, plus katatoniczny stupor na zmianę z nienaturalnym ożywieniem. Jest teraz w Pawilonie Hoovera w Stanford. Głównie w celach diagnostycznych. Jeżeli chodzi o diagnozę, są najlepsi na całym Zachodnim Wybrzeżu. Używają przy diagnozie czterech psychiatrów, trzech ze szpitala i jednego z zewnątrz.

— Bardzo mi przykro — powiedziałam.

— To ta sprawa z wojskiem. Lęk przed poborem. Oskarżyli go o symulację. Cóż, takie jest życie. Szkołę i tak musiał przerwać. To znaczy, musiałby i tak przerwać. Te jego ataki zawsze zaczynają się tak samo: płacze i nie wynosi śmieci. Płacz mi specjalnie nie przeszkadza, ale te cholerne śmieci tak. Zaraz jest ich pełno. I nie kąpie się. Nie wychodzi z domu. I nie płaci rachunków, wyłączają mu więc gaz i światło. I zaczyna pisać li-

sty do Białego Domu. To jest coś, o czym nie rozmawiałam z Timem. Prawie nikomu tego nie mówię. Sądzę, że potrafię utrzymać nasz romans, mój romans z Timem, w tajemnicy, bo mam długą praktykę w utrzymywaniu spraw w tajemnicy. Nie, przepraszam, to nie zaczyna się u niego od płaczu, tylko od tego, że nie może prowadzić samochodu. Taka fobia samochodowa, boi się, że zjedzie z drogi. Początkowo dotyczy to Autostrady Nadbrzeżnej, a potem obejmuje wszystkie ulice, aż wreszcie boi się wyjść do sklepu i nie robi zakupów. — Umilkła. — Jest na ten temat kantata Bacha — powiedziała wreszcie i zobaczyłam, że próbuje się uśmiechnąć. — Jedna linijka w *Kantacie kawowej*. O kłopotach z dziećmi. Że jest z nimi sto tysięcy nieszczęść, coś w tym rodzaju. Bill grywał ten cholerny kawałek. Mało kto wie, że Bach napisał kantatę o kawie, a on wiedział.

— Wygląda mi to na... — zaczęłam.

— To schizofrenia. Próbują na nim każdego nowego środka. Ma nawroty choroby, a każdy następny jest gorszy. Trwają coraz dłużej i są coraz ostrzejsze. Nie powinnam o tym mówić, to nie jest twój problem.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Może Tim potrafi spowodować głębokie duchowe uzdrowienie — powiedziała Kirsten. — Czyż Jezus nie uzdrawiał ludzi chorych psychicznie?

— Wypędził złe duchy w stado świń. Które potem rzuciły się z urwiska.

— Wygląda mi to na przypadek marnotrawstwa — zauważyła Kirsten.

— Mogli je przecież zjeść.

— Nie, jeżeli byli żydami. Zresztą, kto chciałby jeść kotlet schabowy ze złym duchem w środku? Nie powinnam z tego żartować, ale... porozmawiam z Timem. Może nie od razu. Myślę, że Bill ma to po mnie. Bóg jedyny wie, jak jestem popieprzona. Jestem popieprzona i popieprzyłam jego. Patrzę na Jeffa i widzę między nimi różnicę. Są prawie w tym samym wieku, a Jeff jest tak dobrze osadzony w rzeczywistości.

— Nie bądź taka pewna — powiedziałam.

— Chciałabym, żeby Bill poznał Tima, kiedy wyjdzie ze szpitala. Chciałabym też, żeby poznał twojego męża. Jeśli się nie mylę, nigdy się nie spotkali, prawda?

— Nie — powiedziałam. — Ale jeżeli myślisz, że Jeff może stanowić dla kogoś wzór...

— Bill ma niewielu znajomych. Jest zamknięty w sobie. Mówiłam mu o tobie i twoim mężu, jesteście oboje w jego wieku.

Wybiegłam myślą w przyszłość i wyobraziłam sobie pomyłonego syna Kirsten ingerującego w nasze życie. Ta myśl mnie zaskoczyła. Była całkowicie pozbawiona miłości i kryła w sobie lęk. Znałam siebie i znałam swojego męża. Żadne z nas nie było chętne do roli psychiatry amatora. Tymczasem Kirsten była urodzoną organizatorką. Organizowała ludzi do realizacji określonych zadań, dobrych zadań, ale niekoniecz-

nie wychodzących na dobre ich wykonawcom. Miałam w tym momencie wyraźne poczucie, że jestem wrabiana. W restauracji Pech byłam w istocie świadkiem, jak biskup Archer i Kirsten Lundborg wrabiają się nawzajem w skomplikowaną sytuację, ale była to w sposób oczywisty sytuacja korzystna dla nich obojga, lub w każdym razie tak im się wydawało. Ta natomiast, z jej synem Billem, wyglądała na czysto jednostronny interes. Nie widziałam w tym żadnej korzyści dla nas.

— Daj mi znać, kiedy go wypuszczą — powiedziałam. — Myślę jednak, że Tim dzięki swoim umiejętnościom zawodowym byłby lepszym...

— Za duża różnica wieku. W grę wchodzi element postaci ojca.

— Może to dobrze. Może to jest coś, czego twój syn potrzebuje.

— Znakomicie wychowałam swojego syna sama — odrzekła Kirsten za złością w oczach. — Jego ojciec odszedł z naszego życia i nawet się nie obejrzał.

— Nie miałam na myśli...

— Wiem, co miałaś na myśli. — Kirsten przewiercała mnie wzrokiem i teraz rzeczywistość się zmieniła: była wściekła i odbijało i się to na jej twarzy. Postarzało ją to, prawdę mówiąc, wyglądała na osobę chorą fizycznie. Była jakaś opuchnięta, poczułam się niezręcznie. Pomyślałam wtedy o tych świniach, które rzuciły się z urwiska. Oto, co się robi, kiedy człowieka zamieszkują złe duchy. A ten wygląd jest znakiem, stygmatem. Może twój syn rzeczywiście odziedziczył to po tobie.

Teraz jednak mieliśmy nową sytuację. Teraz ona była *pro tempore* kochanką mojego teścia, a potencjalnie jego stałą towarzyszką. Nie mogłam powiedzieć Kirsten, żeby się odpiardoliła. Należała teraz do rodziny, choć w nielegalny i nieetyczny sposób. Nie mogłam się jej pozbyć. Wszystkie złe strony rodziny, pomyślałam, i ani jednej dobrej. I to wszystko moja sprawa. To był mój pomysł, żeby ją poznać z Timem. Zła karma, pomyślałam, wracaj drugim wejściem. Jak mawiał mój ojciec.

Stojąc tam na trawie nad brzegiem Zatoki w popołudniowym słońcu, odczuwałam jakiś niepokój. To jest pod pewnymi względami naprawdę nieodpowiedzialna i szalona osoba, mówiłam sobie. Pakuje się w życie znanego i szanowanego człowieka, ma chorego psychicznie syna i jest najeżona jak zwierzę. Przyszłość biskupa Archera zależy od tego, czy Kirsten któregoś dnia nie wpadnie we wściekłość i nie zatelefonuje do redakcji „Chronicie”. Jego przyszłość zależy od jej nieograniczonej dobrej woli.

— Wracajmy do Berkeley — powiedziałam.

— Nie — potrząsnęła głową Kirsten. — Muszę znaleźć sukienkę, w której będę mogła się pokazać. Przyjechałam do miasta na zakupy. Ubranie jest dla mnie bardzo ważne. Często występuję publicznie, a teraz, kiedy jestem z Timem, będę występować jeszcze częściej. — Gniew wciąż jeszcze malował się na jej twarzy.

— Wrócę kolejką — powiedziałam i odeszłam.

— To bardzo atrakcyjna kobieta — stwierdził Jeff tego wieczoru, kiedy mu o wszystkim powiedziałam. — Biorąc pod uwagę jej wiek.

— Kirsten jest na prochach — powiedziałam.

— Nie wiesz tego.

— Podejrzewam. Te jej zmiany nastroju. Widziałam, jak je bierze. Żółte. Wiesz, barbiturany. Pigułki nasenne.

— Każdy coś bierze. Ty palisz marychę.

— Ale ja jestem normalna.

— Zobaczymy, jak będziesz w jej wieku. Szkoda tego jej syna.

— Szkoda twojego ojca.

— Tim sobie z nią poradzi.

— Może będzie musiał ją zabić.

Jeff spojrzał na mnie spod oka.

— Mówisz dziwne rzeczy.

— Ona jest nieprzewidywalna. A co się stanie, kiedy Świrus Bill się dowie?

— Myślałem, że...

— Wyjdzie. Pobyt w Pawilonie Hoovera kosztuje tysiące dolarów. Przychodzi się tam na jakieś trzy, cztery dni. Znałam ludzi, którzy wchodzili jednymi drzwiami, a drugimi wychodzili. Nawet przy wszystkich zasobach finansowych Episkopalnej Diecezji Kalifornii Kirsten nie może go tam trzymać. Któregoś dnia wyskoczy stamtąd w butach na sprężynach, z oczami wylazącymi z orbit; tylko tego Timowi brakowało. Najpierw każe się przedstawić Timowi, a potem mówi mi, że ma syna wariata. Którejś niedzieli Tim będzie miał kazanie w katedrze Miłosierdzia i nagle ten szaleniec wstanie, Bóg ześle na niego dar języków i będzie po najsztywniejszym biskupie Ameryki.

— Życie jest niebezpieczne.

— To samo pewnie powiedział doktor King w tamten ostatni poranek swojego życia. Teraz wszyscy oprócz Tima nie żyją: doktor King nie żyje, Bobby Kennedy i Jack Kennedy nie żyją, a ja wrobiłam twojego ojca. — Wiedziałam to, siedząc wtedy z moim mężem w naszym małym saloniku. — On przestaje się myć, przestaje wnosić śmieci i pisze listy, czy trzeba coś dodawać? Pewnie siedzi teraz i pisze list do papieża, a Marsjanie weszli do niego przez ścianę i powiedzieli mu o jego matce i twoim ojcu. Jezu Chryste, i to wszystko moja robota. — Sięgnęłam pod kanapę po puszkę z trawką.

— Tylko się nie nawal, bardzo proszę.

Martwisz się o mnie, pomyślałam, podczas gdy nasi przyjaciele wpadają w szpony szaleństwa.

— Jeden skręt — powiedziałam. — Pół skręta. Symbolicznie. Jedno pociągnięcie. Tylko popatrz. Udam, że patrzę. — Wyciągnęłam pustą puszkę po piwie. Widocznie przeniosłam gdzieś swój zapas, powiedziałam sobie. W bezpieczniejsze miejsce. Już

pamiętam, w środku nocy uznałam, że mogą mnie okraść potwory. Wejdzie szalona Małgorzata z *Ruddigore*, obraz teatralnego szaleństwa, czy jak to tam nazwał Gilbert. — Może wszystko wypaliłam — stwierdziłam. I naprawdę nie pamiętam, ponieważ maryha to właśnie robi z człowiekiem: rozpieprza krótką pamięć. Może paliłam ją pięć minut temu i już nie pamiętam.

— Robisz z igły widły — powiedział Jeff. — Ja lubię Kirsten. Myślę, że to się ułoży. Tim odczuwa brak mojej matki.

Tim odczuwa brak baby, pomyślałam.

— To jest naprawdę walnięta kobieta — odrzekłam. — Musiałam wracać do domu tą ślimaczą kolejką. Trwało to dwie godziny. Porozmawiam z twoim ojcem.

— Ani się waż.

— Porozmawiam. Czuję się odpowiedzialna. Moja trawka jest za adapterem. Nawalę się, zadzwonię do Tima i powiem mu, że... — zawahałam się i przygniotła mnie daremność tego wszystkiego, miałam ochotę się rozpłakać. Usiadłam i wyjęłam papierową chusteczkę. — Niech to diabli — powiedziałam. — Smażenie bekonu to nie jest zabawa dla biskupów. Gdybym wiedziała, że on jest taki...

— Jakie smażenie bekonu? — spytał Jeff zdziwiony.

— Patologia mnie przeraża. Przeczuję tu patologię. Przeczuję, że znakomicie wykształceni, odpowiedzialni ludzie zrujnują sobie życie w zamian za kawałek ciepłego ciała, chwilowo ciepłego ciała. Przeczuję, że te ciała długo nie pozostaną ciepłe. Przeczuję, że wkrótce wszystko będzie zimne. W takie czasowo ograniczone układy może się wdawać ktoś, kto jest na prochach i myśli w kategoriach godzin, a ci ludzie powinni myśleć w kategoriach dziesięcioleci. W kategoriach całego życia. Spotykają się w restauracji Freda Czerwonego Rzeźnika, który jest uosobieniem pecha, upiorem Berkeley przychodzącym po nas wszystkich, a kiedy stamtąd wychodzą, mają już numery swoich telefonów i jest po wszystkim. Chciałam tylko pomóc grupie bojowniczek o wyzwolenie kobiet, ale wszyscy mnie zostawiliście, z tobą włącznie. Byłeś tam, widziałeś, co się dzieje. Byłam równie szalona, jak wy wszyscy. Zaproponowałam, żeby Fred kagebista zrobił sobie zdjęcie z biskupem Kalifornii... zgodnie z moją logiką powinni być przebrani za baby. Kiedy się widzi nadciągającą katastrofę, cały kłopot w tym... — Otarłam oczy. — Proszę Cię, Boże, pozwól mi znaleźć moją trawkę. Jeff, zobacz za adapterem. Jest w białej torebce, dobrze?

— Dobrze. — Jeff posłusznie sięgnął za adapter. — Znalazłem. Uspokój się.

— Człowiek widzi katastrofę, ale nie widzi, z której strony nadciąga. To wisi jak chmura. Za którą to postacią z komiksu *Lil Abner* snuła się chmura? FBI próbowała w coś takiego wrobić doktora Kinga. Nixon lubi takie świństwa. Może Kirsten jest agentką. Może ja jestem agentką. Może wszyscy jesteśmy zaprogramowani. Wybacz mi, że gram rolę Kasandry w naszym wspólnym filmie, ale wietrzę śmierć. Myślałam, że

Tim Archer, twój ojciec, jest osobą uduchowioną. Czy on leci na... — Urwałam. — Moja metafora byłaby obraźliwa. Zostawmy to. Czy on normalnie gustuje w takich kobietach? Chodzi o to, czy ja wiem akurat o tym przypadku, bo do niego doprowadziłam? Przypomnij mi, żebym nie chodziła na mszę, co nie znaczy, że dotąd chodziłam. Nie wiadomo, gdzie gmerały te ręce, trzymające kielich...

— Dosyc.

— Nie. Chcę być szalona tak jak Bill Bim Bom, Kopnięta Kirsten i Tim Nie-Taki-Tuman. I jeszcze Jeff Jełop, ty jełopie. Czy jest tam gotowy skręt, czy mam gryźć trawę jak krowa? Nie mogę teraz zrobić skręta, patrz. — Wyciągnęłam trzęsące się ręce. — To się nazywa atak *grand mal*. Sprowadź tu kogoś. Wyjdź na ulicę i kup mi coś na uspokojenie. Powiem ci, co się stanie. Czyjeś życie zostanie zniszczone z powodu tego wszystkiego. Nie tego, co robię teraz, tylko tego, co zrobiłam w Pechu, co za trafna nazwa. Kiedy umrę, będę miała wybór: w szambie głową do góry albo w szambie głową w dół. Szambo to jest właściwa nazwa tego, co zrobiłam. — Zaczęłam szlochać. Płacząc i szlochając, wyciągnęłam rękę po skręta, którego mi podał mąż. — Zapal mi go, ty głupku — powiedziałam. — Nie będę go przecież żuć, bo to nic nie da. Trzeba by przeżuć pół puszki, żeby coś poczuć, tak przynajmniej jest ze mną. Bóg wie jak z resztą świata. Może oni mogą odlecieć i tak, kiedy zechcą. Głową w dół w szambie i nigdy już nie móc zapalić, dokładnie to, na co zasługuję. Gdybym mogła to wszystko odwołać, gdybym wiedziała, jak to odwołać, zrobiłabym to. Moim przekleństwem jest totalna intuicja. Widzę i...

— Odwieźć cię do Kaisera?

— Do kliniki? — Wytrzeszczyłam na niego oczy.

— Zupełnie nad sobą nie panujesz.

— To właśnie robi z człowiekiem totalna intuicja. Dziękuję. — Wzięłam zapalonego skręta i zaciągnęłam się głęboko. Przynajmniej teraz nie mogłam mówić. A za chwilę nie będę w stanie ani mówić, ani myśleć. Ani nawet pamiętać. Puść *Sticky Fingers*, pomyślałam. Stonsów. „Sister Morphine”. Słuchanie o tych zakrwawionych prześcierałach działa na mnie uspokajająco. Chciałabym poczuć chłodną dłoń na czole, pomyślałam. Ale to nie ja umrę jutro, chociaż na to zasłużyłam. Wymieńmy osobę możliwie najbardziej niewinną. To będzie ona. — Przez tę jędzę musiałam wracać do domu pieszo. Z San Francisco.

— Przyjechałaś kolejką.

— To to samo.

— Ja ją lubię — powiedział Jeff. — Myślę, że jest dobrą przyjaciółką. Myślę, że będzie, i pewnie już jest, dobra dla taty. Czy nie przyszło ci do głowy, że jesteś zazdrosna?

— Co?

— To co słyszałaś. Powiedziałem zazdrosna. Jesteś zazdrosna o ten związek. Chciałabyś stanowić jego część. Odbieram twoją reakcję jako obraźliwą dla mnie. Powinienem być... nasz związek powinien być dla ciebie wystarczający.

— Idę na spacer.

— Jak sobie chcesz.

— Gdybyś miał oczy z przodu głowy... pozwól mi skończyć. Będę spokojna. Powiem to całkiem spokojnie. Tim jest nie tylko osobistością religijną. On jest głosem tysięcy w Kościele i poza Kościołem, może nawet bardziej tych poza Kościołem. Dociera to do ciebie? Jak on upadnie, przewrócimy się my wszyscy. Będziemy skończeni. Już prawie tylko on nam został, wszyscy inni nie żyją. Chodzi o to, że to nie jest nieuniknione. Jest tak, jakby to on sam podjął decyzję. Zobaczył coś i poszedł prosto na to. Nie próbował uników i nie bronił się, otworzył objęcia. Myślisz, że czuję to, co czuję, dlatego że musiałam wrócić do domu kolejką? Sprzątnięto jeden po drugim wszystkie autorytety publiczne, a teraz Tim sam oddaje klucze, wręcza je dobrowolnie, bez walki.

— A ty chcesz walczyć? Ze mną, jeżeli będzie trzeba.

— Myślę, że jesteś głupi — powiedziałam. — Myślę, że wszyscy są ślepi. Myślę, że głupota zwycięża. To nie jest robota Pentagonu. To jest głupota. To tak, jakby pójść prosto na nich i powiedzieć: „Bierzcie mnie, jestem...”

— Zazdrość — rzucił Jeff. — W tym domu jest aż gęsto od twojej motywacji psychologicznej.

— Ja nie mam żadnej „psychologicznej motywacji”. Chcę tylko, jak skończy się strzelanina, zobaczyć kogoś, kogoś kto nie jest... — Umilkłam. — Nie przychodź potem i nie mów, że nam to zrobiono, bo to nie prawda. I nie mów mi, że to było kompletnym zaskoczeniem. Biskup, który ma romans z kobietą, dopiero co poznaną w restauracji, a chwilę przedtem rozjechał pompę benzynową i beztrzesko odjechał. Ale pompa go dogoniła. Tak to działa: rozjeżdżasz jakiemuś błaznowi pompę, a on biegnie, póki cię nie dogoni. Ty jedziesz samochodem, a on biegnie pieszo, ale cię odnajduje i nagle jest. O to właśnie chodzi, ktoś nas ściga i prędzej czy później nas dogoni, zawsze tak jest. Widziałam tego błazna od pompy, był wściekły. W razie czego biegłby dalej. Oni nigdy nie rezygnują.

— I teraz to zrozumiałaś. Dzięki jednej ze swoich najlepszych przyjaciółek.

— Takie są najgorsze.

— Znam tę historię — powiedział Jeff z uśmiechem. — To jedna z historii W.C. Fieldsa. Pewien reżyser...

— A ona już go nie ściga — ciągnęłam dalej. — Już go dogoniła. Wynajmują mieszkanie. Wystarczy jeden wścibski sąsiad. A co z tym prostakiem — biskupem skarżącym Tima o herezję? Jak on to wykorzysta? Czy jak ktoś cię ściga za herezję, walisz pierwszą babę, z którą się spotkasz na obiedzie? A potem szukasz mieszkania? Spójrz.

— Podeszłam do męża. — Co się robi, jak się przestaje być biskupem? Czy Tim ma już tego dość? Wszystko, co w życiu robił, prędzej czy później mu się nudziło. Znudziło mu się nawet być alkoholikiem. Jest jedynym beznadziejnym alkoholikiem, który wytrzymał z nudów, z niezdolności do dłuższego skupienia się na jednej sprawie. Ludzie na ogół sami ściągają na siebie nieszczęście. Widzę, jak my to robimy teraz. Widzę jego, jak z nudów podświadomie mówi: „Do diabła, to nudne ubierać się codziennie w te śmieszne stroje, namieszajmy jakiegoś, ludzkiego nieszczęścia i zobaczymy, co z tego wyjdzie”.

— Wiesz co? — powiedział Jeff ze śmiechem. — Wiesz, kogo mi przypominasz? Tę wiedźmę z *Dydony i Eneasza* Purcella, która, „Jak kruk złowróżbny kracze”.

— Ty głupi intelektualisto z Berkeley. W jakim ty kretyńskim świecie mieszkasz? Mam nadzieję, że nie w tym samym co ja. Cytowanie jakichś starych tekstów, oto co nas zgubiło, stwierdzą, kiedy odkopią nasze kości. Twój tato cytował w restauracji Biblię tak samo jak ty teraz. Powinieneś mnie uderzyć albo ja ciebie. Będę zadowolona, kiedy cywilizacja się rozpadnie. Ludzie bełkocą kawałkami z książek. Puść *Sticky Fingers*, puść „Sister Morphine”, w tym stanie nie powinnam dotykać stereo. Zrób to za mnie. Dziękuję ci za skręta.

— Jak się uspokoisz...

— Jak się obudzisz — powiedziałam — będzie po wszystkim.

Jeff bez słowa schylił się po płytę, której chciałam posłuchać. Wreszcie się rozzłościł, pomyślałam. Za mało, za późno i nie na tę osobę co trzeba. Tak samo jak ja. Giniemy przygniecenymi naszymi przerośniętymi intelektami: mędrkujemy, zastanawiamy się i nie robimy nic. Rządzą ciemniaki. A my się kłócimy. Czarownica z *Dydony* ma rację. „Daj dłoń, Belindo, ciemność mnie otacza. Złożę głowę na twojej piersi, na chwilę tylko, bo już śmierć się zbliża...” Co jeszcze ona mówi? „Śmierć to gość miłe widziany”. Cholera, pomyślałam. To jest o nas. On ma rację. Absolutnie.

Majstrując przy adapterze, Jeff puścił płytę Stonsów. Muzyka mnie uspokoiła. Trochę. Ale nadal płakałam, myśląc o Timie. I wszystko z powodu głupoty. Nie ma w tym żadnego drugiego dna. I to jest właśnie najgorsze, że wszystko jest takie proste. Że nie ma nic więcej.

W kilka dni później, kiedy wszystko przemyślałam i podjęłam decyzję, zadzwoniłam do katedry Miłosierdzia i załatwiłam sobie audiencję u Tima. Przyjął mnie w swoim wielkim i pięknym gabinecie, który mieścił się w osobnym budynku przy katedrze. Uściskawszy mnie i pocałowawszy na przywitanie, pokazał mi dwa stare gliniane naczynia, które, jak wyjaśnił — służyły za lampy oliwne na Bliskim Wschodzie przeszło cztery tysiące lat temu. Patrząc, jak bierze je do ręki, pomyślałam, że prawdopodobnie, a właściwie na pewno, naczynia te nie są jego własnością, że należą do diecezji. Zastanawiałam się, ile mogą być warte. To zdumiewające, że przetrwały tak długo.

— To miło, że poświęciłeś mi trochę czasu — powiedziałam. — Wiem, jak bardzo jesteś zajęty.

Wyraz twarzy Tima zdradził mi, że wie, po co zjawiłam się w jego biurze. Kiwnął głową z roztargnieniem, jakby rzeczywiście poświęcał mi bardzo niewielką część uwagi. Widziałam nieraz, jak się w ten sposób wyłączał. Część jego mózgu słuchała, ale większa część już była odłączona. Kiedy skończyłam wygłaszać moje przygotowane małe przemówienie, Tim powiedział z powagą: — Paweł, jak wiesz, był faryzeuszem. Dla nich ścisłe przestrzeganie drobiazgowych przepisów Tory, czyli Prawa, było wszystkim. Dotyczyło to zwłaszcza rytualnej czystości. Ale później, po nawróceniu, widział zbawienie nie w Prawie, ale w *zadigah* — usprawiedliwieniu, którego udziela nam Jezus Chrystus. Usiądź tu koło mnie. — Przywoływał mnie gestem i otworzył wielką, oprawną w skórę Biblię. — Znasz List do Rzymian, rozdziały czwarty do ósmego?

— Nie, nie znam — powiedziałam, ale usiadłam obok niego. Wiedziałam już, co mnie czeka. Wykład. Kazanie. Tim był przygotowany.

— Rozdział piąty Listu do Rzymian zawiera podstawowe założenia Pawła, że zostajemy zbawieni przez łaskę, a nie przez uczynki. — Dalej przeczytał z Biblii, którą trzymał otwartą na kolanach. — „Będąc tedy z wiary usprawiedliwieni, pokój ku Bogu miejmy... — tu zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem Tima Archera adwokata — ...przez Pana naszego Jezusa Chrystusa: Przez którego też przez wiarę mamy przystęp ku tej łasce w której stojemy, i chlubimy się, w nadziei chwały synów Bożych”. Zobaczymy. — Poruszając wargami, przesunął palcem po wierszach. — „Albowiem jeśli przestępstwem jednego wiele ich pomarło: daleko więcej na wiele ich opłynęła łaska Boża i dar, w łasce jednego człowieka Jezusa Chrystusa”. — Przewracając strony, szukał dalej. — Aha, tutaj. „Lecz teraz jesteśmy rozwiązani od zakonu śmierci, w którymśmy byli zatrzymani: tak abyśmy służyli w nowości ducha, a nie w starości litery”. — Znów poszukał dalej. — „Teraz tedy nie masz żadnego potępienia tym którzy są w Chrystusie Jezusie: którzy nie wedle ciała chodzą. Albowiem zakon ducha żywota w Chrystusie Jezusie, wyzwolił mię od zakonu grzechu i śmierci”. — Spojrzał na mnie. — To jest sama istota Pawiowego rozumienia. „Grzech” oznacza tu w istocie wrogość wobec Boga. Dosłownie znaczy to tyle, co „chybienie celu”, jak przy strzelaniu z łuku, kiedy mierzymy za nisko albo za wysoko. To, czego ludzkość potrzebuje, czego wymaga, to usprawiedliwienie. Jedynie Bóg nim dysponuje i jedynie Bóg może nim obdarzyć ludzi.

— Rozumiem — powiedziałam.

— Paweł jest przekonany, że wiara, *pistis*, ma moc, absolutną moc gładzenia grzechów. Z tego płynie uwolnienie od prawa. Człowiek nie musi już wierzyć, że zbawienie zależy od przestrzegania pewnych sformalizowanych przepisów, zwanych etyką normatywną. Przeciwno takiemu stanowisku, że drogą do zbawienia jest przestrzegania bardzo zawitych, skomplikowanych norm etycznych, Paweł się zbuntował, gdyż były to za-

łożenia faryzeizmu, od którego się odwrócił. I to właśnie stanowi podstawę chrześcijaństwa, wiary w naszego Pana, Jezusa Chrystusa: usprawiedliwienie przez łaskę i łaska płynąca z wiary. Przeczytam ci...

— Tak, ale Biblia mówi też: „Nie cudzołóż”.

— Cudzołóstwo jest seksualną niewiernością osoby pozostającej w związku małżeńskim — odpowiedział bez namysłu. — Ja nie jestem już żonaty i Kirsten nie jest już żoną.

— Aha — kiwnęłam głową.

— Siódme przykazanie mówi o świętości małżeństwa. — Tim odłożył Biblię i podszedł do półek zastawionych książkami, skąd wziął tom z granatowym grzbietem. Wróciwszy, otworzył książkę i zaczął przerzucać strony. — Zacytuję ci, co mówi doktor Hertz, nieżyjący już główny rabin Imperium Brytyjskiego. W związku z siódmym przykazaniem. Księga Wyjścia, dwadzieścia, trzynaste. „Cudzołóstwo jest odrażającym i wstrętnym Bogu grzechem”. *Philo*. To przykazanie przeciwko niewierności ostrzega zarówno męża, jak i żonę przed profanacją świętego przymierza małżeństwa. — Przeczytał kawałek dalej po cichu i zamknął książkę. — Myślę, że masz dość zdrowego rozsądku, Angel, żeby rozumieć, że Kirsten i ja...

— Ale to jest ryzykowne — powiedziałam.

— Ryzykowna jest też jazda przez most na Złotych Wrotach. Czy wiesz, że żółte takówki mają zakaz — swój wewnętrzny zakaz, nie policyjny — używania na moście szybkiego pasa, zwanego samobójczym? Kierowcę przyłapanego najeździe tym pasem wyrzucają z pracy. Mimo to ludzie stale tamtędy jeżdżą. Może to nie najlepsza analogia.

— Nie, to dobra analogia — stwierdziłam.

— A ty jeździsz przez Złote Wrota szybkim pasmem?

— Zdarza mi się — odpowiedziałam po chwili namysłu.

— A gdybym tak przyszedł do ciebie, kazał ci usiąść i zaczął cię w związku z tym poczuć? Czy nie pomyślałabyś, że traktuję cię jak dziecko, a nie jak osobę dorosłą? Czy rozumiesz, o co mi chodzi? Kiedy osoba dorosła robi coś, czego nie pochwalasz, omawiasz to z nią. Jestem gotów rozmawiać z tobą o moim związku z Kirsten, bo jesteś moją synową, ale przede wszystkim dlatego, że jesteś kimś, kogo znam, Kocham i na kim mi zależy. Myślę, że miłość jest kluczowym słowem dla Pawłowego myślenia. Po grecku *agape*. W tłumaczeniu na łacinę *caritas*, z czego mamy słowo „charytatywny”, to znaczy przepojony troską o drugiego człowieka. Tak jak ty troszczysz się teraz o mnie i o swoją przyjaciółkę Kirsten.

— To prawda — powiedziałam. — Dlatego tu jestem.

— Zatem troska o innych jest dla ciebie czymś ważnym.

— Tak — odrzekłam. — Widocznie tak.

— Możesz to nazwać *agape*, możesz to nazwać *caritas*, możesz mówić o miłości albo o trosce o drugiego człowieka, ale jakkolwiek to nazwiesz, pozwól, że przeczytam ci coś z Pawła. — Biskup Archer ponownie otworzył wielką Biblię. Szybko przerzucał strony, wiedząc dokładnie, czego szuka. — Pierwszy List do Koryntian, rozdział trzynasty. „I chociabych miał prorocstwo, i wiedziałbych...

— Cytowałeś to już w Pechu — przerwałam.

— I będę cytował zawsze — powiedział z ożywieniem. — „I choćbych wszystkie mądrości moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje tak iżbych gorzał, a miłości bych nie miał, nic mi nie pomoże”. A teraz posłuchaj tego. „Miłość nigdy nie ginie: choć prorocтва zniszczą, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowana. Albowiem po części znamy, i po części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie co jest doskonałego, co jest po części zniszczone. Gdy bym był dziecieniem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, myślałem jako dziecko. Lecz gdy bym się stał mężem, wyniszczyłem co było dziecinne”.

W tym momencie na jego wielkim biurku zadzwonił telefon.

Z wyrazem niezadowolenia na twarzy biskup Archer odłożył otwartą Biblię.

— Przepraszam cię — powiedział i podszedł do telefonu. Czekaając, aż skończy rozmowę, zerknęłam na fragment, który mi czytał. Znałam go, ale w wersji króla Jakuba. Ta Biblia była w starym tłumaczeniu, którego nigdy nie widziałam. Czytałam dalej od miejsca, w którym się zatrzymał.

Skończywszy rozmowę, biskup Archer wrócił do mnie.

— Muszę iść — stwierdził. — Czeka na mnie biskup z Afryki, właśnie go przywieziono z lotniska.

— Tu jest powiedziane — wskazałam palcem miejsce w jego wielkiej Biblii — „Teraz widzimy przez zwierciadło przez podobieństwo”.

— Jest też powiedziane: „A teraz trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość”. Chcę ci powiedzieć, że to streszcza kerygmę naszego Pana.

— A co będzie, jeżeli Kirsten się wygada?

— Myślę, że można liczyć na jej dyskrecję. — Podszedł do drzwi. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wstałam i poszłam w ślad za nim.

— Mnie powiedziała.

— Jesteś żoną mojego syna.

— Tak, ale...

— Przepraszam, że muszę tak uciekać. — Biskup Archer zamknął na klucz drzwi swojego gabinetu. — Z Bogiem. — Pocałował mnie w czoło. — Chcemy, żebyś nas odwiedziła, jak tylko się urządzimy. Kirsten znalazła dziś mieszkanie w Tenderloin. Ja go nie widziałem, zdaję się na nią.

Odszedł, zostawiając mnie z moimi myślami. Załatwił mnie kwestią formalną. Pomyliłam cudzołóstwo z nierządem. Stale zapominam, że był adwokatem. Weszłam do jego wielkiego gabinetu, żeby coś powiedzieć i nigdy tego nie powiedziałam. Weszłam mądra, a wyszłam głupia. I nic pośrodku.

Może gdybym nie paliła trawki, potrafiłabym dyskutować lepiej. A tak, on wygrał, ja przegrałam. Nie, on przegrał i ja przegrałam. Oboje przegraliśmy. Cholera.

Nigdy nie twierdziłam, że miłość to coś złego. Nigdy nie występowałam przeciwko *agape*. Nie o to, cholera, chodziło. Chodziło o to, żeby nie dać się przyłapać. Chodziło o to, żeby stanąć obiema nogami na podłodze, którą nazywamy rzeczywistością.

Kierując się do wyjścia, pomyślałam: osądzam jednego z najbardziej znanych ludzi na świecie. Ja nigdy nie będę tak sławna jak on, moje zdanie nigdy nie będzie się liczyć. Ja nie zdjęłam swojego biskupiego krzyża na czas trwania wojny wietnamskiej tak jak on. Kim ja, do cholery, jestem?

4

Niedługo potem Jeff i ja otrzymaliśmy zaproszenie do odwiedzenia biskupa Kalifornii i jego kochanki w ich tajnym gniazdku w dzielnicy Tenderloin. Okazało się, że było to coś w rodzaju przyjęcia. Kirsten przygotowała kanapki i przekąski, z kuchni rozchodziły się smakowite zapachy... Tim kazał mi się zawieść do pobliskiego sklepu z alkoholem po wino, bo o tym zapomnieli. Ja wybrałam rodzaj wina. Kiedy płaciłam kasjerowi, Tim stał nieruchomo, jak ktoś nieobecny. Widocznie członkowie klubu Anonimowych Alkoholików uczą się wyłączać w sklepach z alkoholem.

Po powrocie do mieszkania poszłam do łazienki i w apteczce zobaczyłam dużą butelkę dexamyłu, taką jaką dają, kiedy się wyjeżdża na dłużej. Kirsten bierze środki pobudzające? Nie robiąc hałasu, zdjęłam butelkę z półki. Na recepcie widniało nazwisko biskupa. Cóż, pomyślałam. Od alkoholu do narkotyków. Czy u Anonimowych Alkoholików nie powinni przed tym ostrzegać? Spuściłam wodę, żeby narobić szumu, i korzystając z bulgotu otworzyłam butelkę i przełożyłam parę tabletek do kieszeni. Takie rzeczy robi się automatycznie; kiedy człowiek mieszka w Berkeley, nikt nie widzi w tym nic złego. Z drugiej strony nikt w Berkeley nie zostawia swoich prochów w łazience.

Po chwili siedzieliśmy we czwórkę w skromnym saloniku, odpoczywając. Wszyscy oprócz Tima mieli coś do picia. Tim ubrany był w czerwoną koszulę i spodnie z zaprasowanymi na stałe kantami. Nie wyglądał na biskupa. Wyglądał na kochanka Kirsten Lundborg.

— Bardzo tu sympatycznie — powiedziałam.

W drodze ze sklepu do domu Tim mówił o prywatnych detektywach i o tym, w jaki sposób oni człowieka znajdują. Zakradają się potem do jego mieszkania i przeszukują szuflady. Można to odkryć, przyklejając włos do drzwi wejściowych. Myślę, że Tim widział to gdzieś na filmie.

— Jeżeli po powrocie stwierdzasz, że włos nie ma albo jest przerwany — poinformowałam mnie po drodze z samochodu do mieszkania — wiesz, że jesteś obserwowana. — Potem opowiedział historię o związkach FBI ze śmiercią doktora Kinga, którą wszyscy w Berkeley znali. Grzecznie jej wysłuchałam.

Tego wieczoru w saloniku ich garsoniery po raz pierwszy usłyszałam o dokumentach sadokitów. Teraz, oczywiście, można sobie kupić pełne tłumaczenie Pattona, Myersa i Abrego. Ze wstępem Helen James o mistycyzmie, porównującym sadokitów na przykład z ludźmi z Qumran, którzy prawdopodobnie byli esseńczykami, co jednak nigdy nie zostało udowodnione.

— Podejrzewam — powiedział Tim — że może się to okazać nawet ważniejsze niż biblioteka z Nag Hammadi. Wiemy już całkiem dużo na temat gnostycyzmu, ale nie wiemy prawie nic o sadokitach, prócz tego, że byli Żydami.

— Jaka jest przybliżona data zwojów sadokitów? — spytał Jeff.

— Wstępna ocena datuje je na rok dwusetny przed Chrystusem — wyjaśnił Tim.

— Mogły zatem wyrzeć wpływ na Jezusa — stwierdził Jeff.

— Mało prawdopodobne — orzekł Tim. — W marcu lecę do Londynu, gdzie będę miał okazję porozmawiać z tłumaczami. Żałuję, że w pracach nie uczestniczył John Allegro. — Następnie mówił przez chwilę o pracy Allegra w związku z rękopisami z Qumran, tak zwanymi Zwojami znad Morza Martwego.

— Czy nie byłoby interesujące — wtrąciła Kirsten — gdyby... — zawahała się — dokumenty z Qumran zawierały materiał chrześcijański?

— Przecież chrześcijaństwo opiera się na judaizmie — powiedział Tim.

— Chodzi mi o konkretne wypowiedzi, przypisywane Jezusowi — dodała Kirsten.

— W tradycji rabinackiej nie znajdujemy jakiegoś wyraźnego przełomu — rzekł Tim. — Rabi Hillel głosił pewne idee, które uważamy za podstawowe w Nowym Testamencie. I oczywiście Mateusz rozumiał wszystko, co Jezus uczynił lub powiedział jako wypełnienie zapowiedzi starotestamentowych. Mateusz pisał do żydów i dla żydów i zasadniczo jako żyd. Plan Boży, zapowiedziany w Starym Testamencie zostaje wypełniony przez Jezusa. Za jego czasów nie używano jeszcze określenia „chrześcijaństwo”, chrześcijanie w czasach apostołskich mówili po prostu o „Drodze”. Podkreślali w ten sposób jej naturalność i uniwersalizm. — Po chwili dodał: — Znajdujemy też określenie „Słowo Boże”. Pojawia się ono w Dziejach Apostołów, rozdział szósty. „A słowo Boże rozszerzało się, wzrastała też bardzo liczba uczniów w Jerozolimie”.

— Od czego pochodzi nazwa „sadokici”? — spytała Kirsten.

— Od Sadoka, kapłana Izraela z czasów Dawida — wyjaśnił Tim. — Był założycielem kapłańskiego rodu Sadokitów. Byli potomkami Eleazara. Sadok jest wspomniany w zwojach z Qumran. Zaraz sprawdzę. — Wstał, żeby wyjąć książkę z nie rozpakowanego jeszcze pudła. — Pierwsza Księga Kronik, rozdział dwudziesty czwarty. „Także oni rzucali losy na podobieństwo braci swoich, potomków Aarona, w obecności króla Dawida, Sadoka...” Tu jest wspomniany. — Tim zamknął książkę. Była to jeszcze jedna Biblia.

— Ale teraz chyba dowiemy się dużo więcej? — spytał Jeff.

— Mam nadzieję — powiedział Tim. — Kiedy będę w Londynie. — Zgodnie ze swoim zwyczajem nagle przełączył biegi w głowie. — Organizuję na Boże Narodzenie mszę rockową w katedrze. — Zmierzywszy mnie wzrokiem, spytał: — Co sądzisz o Franku Zappie?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

— Nagramy tę mszę na żywo — ciągnął Tim. — Wypuścimy ją potem jako album. Polecano mi też Kapitana Beefhearta i zaproponowano kilka innych nazwisk. Gdzie mogę dostać płyty Franka Zappy, żeby ich posłuchać?

— W sklepie z płytami — rzekł Jeff.

— Czy Frank Zappa jest czarny? — spytał Tim.

— Nie rozumiem, co to ma do rzeczy — powiedziała Kirsten. — Według mnie to jest odwrotna dyskryminacja.

— Byłem tylko ciekaw — wyjaśnił Tim. — To jest dziedzina, o której zupełnie nie mam pojęcia. Czy któreś z was ma jakiś pogląd na temat Marca Bolana?

— On nie żyje — powiedziałam. — Mówisz chyba o T. Rexie.

— Marc Bolan nie żyje? — spytał Jeff. Wyglądał na zdziwionego.

— Mogę się mylić. Proponowałbym Raya Daviesa. Tworzy w stylu Kinks. Jest bardzo dobry.

— Zajęlibyście się tym dla mnie? — Tim zwrócił się do mnie i do Jeffa.

— Nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać — powiedziałam.

— Ja się tym zajmę — zaofiarowała się Kirsten.

— Mogłabyś ściągnąć Paula Kantnera i Gracie Slick — zaproponowałam. — Mieszkają niedaleko w Bolinas, w okręgu Marin.

— Wiem — stwierdziła Kirsten, kiwając spokojnie głową z miną wyrażającą całkowitą pewność siebie.

Gówno prawda, pomyślałam. Nawet nie wiesz, o kim mówię. Już chcesz rządzić, tylko dlatego, że zostałam wprowadzona do tego mieszkania. Które, nawiasem mówiąc, nie jest imponujące.

— Chciałbym, żeby w katedrze zaśpiewała Janis Joplin — odezwał się Tim.

— Umarła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym — powiedziałam.

— Kogo w takim razie zaproponowałabyś na jej miejsce? — Tim patrzył na mnie wyczekująco.

— Na miejsce Janis Joplin — zawahałam się. — Na miejsce Janis Joplin. Będę musiała się nad tym zastanowić. Tak na poczekaniu nikt nie przychodzi mi do głowy. Potrzebuję trochę czasu.

Kirsten przyglądała mi się z mieszanymi uczuciami, wśród których przeważała dezaprobatą.

— Ona chce, jak sędzę, powiedzieć, że nikt nigdy nie zastąpi Janis Joplin.

— Gdzie mógłbym dostać którąś z jej płyt? — spytał Tim.

— W sklepie z płytami — powtórzył Jeff.

— Mógłbyś to dla mnie zrobić? — poprosił Tim.

— Jeff i ja mamy wszystkie jej płyty — powiedziałam. — Nie ma ich tak dużo. Przyniesiemy ci je.

— Ralph McTell — rzuciła Kirsten.

— Chcę, żeby wszystkie te propozycje zostały zapisane — powiedział Tim. — Msza rockowa w katedrze Miłosierdzia Bożego wywoła duże zainteresowanie.

Nie ma żadnego Ralpa McTella, pomyślałam. Kirsten posłała mi z drugiego końca pokoju skomplikowany uśmiech. Na czymś mnie złapała, ale nie wiedziałam na czym.

— Jest na etykiecie wytwórni Paramount — powiedziała Kirsten i uśmiechnęła się szerzej.

— Naprawdę miałem nadzieję, że ściągnę Janis Joplin — mruknął Tim na wpół do siebie. Wyglądał na zdziwionego. — Słuchałem jej piosenki — może to nie ona ją napiisała — dziś rano w samochodzie. Ona jest czarna, prawda?

— Jest biała i nie żyje — zmartwił go Jeff.

— Mam nadzieję, że ktoś to wszystko zapisuje — powiedział Tim.

Uczucie mojego męża do Kirsten Lundborg nie narodziło się w jakimś szczególnym momencie określonego dnia, przynajmniej tak mi się wydaje. Początkowo Jeff utrzymywał, że Kirsten jest odpowiednią towarzyszką dla biskupa i ma ona dość życiowego realizmu, żeby oboje zakotwiczyć przy ziemi i chronić przed nieustannym unoszeniem się w niebo. Przy ocenie podobnych rzeczy koniecznie należy odróżniać swoją świadomość od tego, czego się jest świadomym. Potrafię powiedzieć, kiedy to zauważyłam, ale to wszystko, co potrafię powiedzieć.

Mimo swojego wieku Kirsten wciąż udawało się roztaczać, w rozsądnych granicach, atmosferę seksualności. Tak ją postrzegał Jeff. Z mojego punktu widzenia była starą przyjaciółką, która dzięki swojemu związkowi z biskupem Archerem uzyskała nade mną przewagę. Stopień erotycznego powabu u kobiety nie ma dla mnie znaczenia, bo nie gram, jak to się mówi, na dwie strony. Ani nie odbieram tego jako zagrożenia.

nie. Chyba, oczywiście, że w grę wchodzi mój mąż. Ale wtedy problem jest z nim.

Podczas gdy ja pracowałam w biurze prawnym i sklepie ze świecami, troszcząc się o to, żeby handlarze narkotykami wychodzili z więzienia natychmiast, jak ich tam zamkną, Jeffa pochłaniały różnorakie dodatkowe zajęcia na Uniwersytecie Kalifornijskim. W Północnej Kalifornii nie doszliśmy jeszcze do tego, żeby oferować zajęcia na temat układania własnej mantry. To pozostawiamy tym z Południa, totalnie pogardzanym przez mieszkańców Strefy Zatokowej. Jeff zajął się poważnym projektem: prześledzeniem chorób współczesnej Europy do czasów wojny trzydziestoletniej (1618-1648), która zrujnowała Niemcy, spowodowała upadek Świętego Cesarstwa Rzymskiego i doprowadziła do powstania hitleryzmu i Trzeciej Rzeszy. Ponad i poza studiami związanymi z tym zagadnieniem Jeff wysunął swoją teorię co do źródeł tego wszystkiego. Po lekturze trylogii Schillera o Wallensteinie Jeff olśniła myśl, że gdyby ten wielki wódz nie uległ wpływowi astrologii, strona cesarska odniosłaby zwycięstwo i w rezultacie nigdy nie doszłoby do drugiej wojny światowej. Trzecia część trylogii, dramat *Śmierć Wallensteina*, głęboko wstrząsnęła moim mężem. Uważał tę sztukę za równą najlepszym dziełom Szekspira i dużo lepszą niż większość jego twórczości. Co więcej, jeśli mógł stwierdzić, nikt prócz niego jej nie czytał. Wallenstein jawił mu się jako jedna z największych zagadek całej zachodniej historii. Jeff zauważył też, że podobnie jak Wallenstein, również Hitler w chwilach kryzysu odwoływał się nie do rozumu, ale do okultyzmu. Wedle Jeffa oznaczało to coś ważnego, ale nie potrafił stwierdzić co. Hitler i Wallenstein mieli, według niego, tak wiele wspólnego, że graniczyło to z niesamowitością. Obaj byli wielkimi, ale ekscentrycznymi przywódcami i obaj doprowadzili Niemcy do ruiny. Jeff planował napisanie pracy na temat tych podobieństw i wykazanie na podstawie zebranego materiału, że porzucenie chrześcijaństwa na rzecz okultyzmu torowało drogę do totalnemu zniszczeniu. Jezus i Szymon Mag (tak jak to widział Jeff) stali na przeciwnych biegunach jako absolutne przeciwieństwa.

Mało mnie to wzruszało.

Oto, co robi z człowiekiem wieczne chodzenie do szkoły. Podczas gdy ja harowałam w biurze prawnym i sklepie ze świecami, Jeff czytał wszystko, co było w bibliotece uniwersyteckiej w Berkeley na temat, powiedzmy, bitwy pod Lützen (16 listopada 1632 roku), w którym to czasie i miejscu ważyły się losy Wallensteina. Zginął tam król Szwecji Gustaw II Adolf, ale Szwedzi i tak zwyciężyli. Prawdziwe znaczenie tego zwycięstwa polegało na tym, że państwa katolickie nigdy już nie zdołały zagrozić sprawie protestantów; Jeff jednak oceniał wszystko w kategoriach Wallensteina. Studiował bez końca trylogię Schillera i usiłował na jej podstawie, oraz na podstawie dokładniejszych relacji historycznych, znaleźć ten kluczowy moment, w którym Wallenstein stracił kontakt z rzeczywistością.

— To tak jak z Hitlerem — mówił Jeff. — Czy można powiedzieć, że zawsze był szalony? Czy można w ogóle powiedzieć, że był szalony? A jeżeli był szalony, ale nie zawsze był szalony, to kiedy oszalał i co było tego przyczyną? Dlaczego człowiek u szczytu powodzenia, ktoś mający olbrzymią władzę, oszłamiającą władzę, władzę wpływu na bieg historii, dlaczego ktoś taki zbacza w niespodziewanym kierunku? Dobrze, w przypadku Hitlera to była prawdopodobnie paranoidalna schizofrenia i te zastrzyki, które mu aplikowali jego szarlatani. Ale żaden z tych czynników nie występował u Wallensteina.

Kirsten, jako Norweżka, odnosiła się z sympatycznym zainteresowaniem do studiów Jeffa nad wyprawą Gustawa Adolfa do Europy Środkowej. Okazało się, że oprócz opowiadania szwedzkich dowcipów odczuwa wielką dumę z roli, jaką ten wielki protestancki król odegrał w wojnie trzydziestoletniej. Poza tym, w przeciwieństwie do mnie, miała o tych sprawach jakieś pojęcie. Oboje z Jeffem zgadzali się, że do pierwszej wojny światowej wojna trzydziestoletnia była najstraszniejszą wojną od czasów spłądrowania Rzymu przez Hunów. W Niemczech wrócono do ludożerstwa. Żołnierze po obu stronach piekli trupy na rożnach. Źródła Jeffa wspominały też o innych odrażających praktykach, zbyt okropnych, żeby się nad nimi rozwodzić.

— Do dzisiaj płacimy cenę za tę wojnę — mówił Jeff.

— Tak, chyba rzeczywiście była okropna — powiedziałam, siedząc w rogu naszego saloniku z najświeższym numerem *Kaczora Howarda*.

— Nie wyglądasz na zbyt zainteresowaną — zauważył Jeff.

— Zmęczyłam się, płacąc kaucje za handlarzy heroiną. Zawsze wysyłają mnie z tymi kaucjami. Przepraszam cię, że nie traktuję wojny trzydziestoletniej z taką powagą jak ty i Kirsten.

— Wszystko zależało od wyniku wojny trzydziestoletniej. A wynik wojny trzydziestoletniej zależał od Wallensteina.

— Co zrobisz, kiedy oni pojedą do Anglii? Twój ojciec i Kirsten.

Wlepił we mnie wzrok.

— Ona też jedzie. Powiedziała mi. Zarejestrowali agencję, Focus Center, gdzie ona jest jego przedstawicielką, czy kimś tam.

— Jezu Chryste — powiedział Jeff przybity.

Wróciłam do lektury *Kaczora Howarda*. Był to epizod, w którym kosmici zmieniają Kaczora Howarda w Richarda Nixona. Jednocześnie Richard Nixon obrasta piórami podczas telewizyjnego orędzia do narodu. To samo dzieje się z wielkimi szychami z Pentagonu.

— I jak długo ich nie będzie? — spytał Jeff.

— Póki Tim nie zrozumie znaczenia dokumentów saducejskich i ich znaczenia dla chrześcijaństwa

— Cholera — powiedział Jeff.
— Co to jest „Q”?
— „Q”? — powtórzył Jeff.
— Tim mówił, że wstępne opracowania, oparte na fragmentarycznych tłumaczeniach niektórych dokumentów..
— „Q” to hipotetyczne źródło ewangelii synoptycznych. — Głos Jeffa był szorstki, wręcz brutalny.
— Co to są ewangelie synoptyczne?
— Pierwsze trzy Ewangelie. Mateusza, Marka i Łukasza. Zakłada się, że pochodzą z jednego źródła, prawdopodobnie aramejskiego, ale nikt nie potrafił tego udowodnić.
— Tim powiedział mi ostatnio przez telefon, kiedy ty byłeś na zajęciach, co sądzą tłumacze w Londynie. Uważają oni, że dokumenty te zawierają nie tylko Q, ale i materiał, na którym Q jest oparte. Nie są do końca pewni. Jeszcze nigdy nie słyszałam Tima tak podnieconego.
— Ale dokumenty sadokitów pochodzą z roku dwusetnego przed Chrystusem.
— Pewnie dlatego był tak podniecony.
— Ja też chcę jechać — powiedział Jeff.
— Nie możesz.
— Dlaczego? — spytał podniesionym głosem. — Dlaczego ja nie mogę jechać, skoro ona jedzie? Jestem przecież jego synem!
— I tak naciąga swój fundusz dyspozycyjny do granic wytrzymałości. Zostaną tam przez kilka miesięcy, to będzie kosztować masę pieniędzy.
Jeff wyszedł z pokoju, ja wróciłam do lektury. Po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że słyszę dziwny odgłos. Opuściłam *Howarda* na kolana i słuchałam.
W kuchni, po ciemku, mój mąż płakał.

Jedyna z najdziwniejszych i najbardziej kłamliwych relacji, jaką czytałam na temat samobójstwa mojego męża wysuwała przypuszczenie, że on, Jeff Archer, syn biskupa Timothy’ego Archera, zabił się ze strachu, że jest homoseksualistą. Niektóre książki napisane w kilka lat po jego śmierci, po śmierci ich trojga, tak gruntownie przeinaczały fakty, że po ich przeczytaniu (nie pamiętam nawet tytułu ani autora) czytelnik wiedział o Jeffie, biskupie Archerze i Kirsten Lundborg mniej niż przed przystąpieniem do lektury. Jak w teorii informacji — szum wypiera sygnał. Tyle że ten szum udaje sygnał i nie jest nawet rozpoznawany jako szum. Agencje wywiadowcze nazywają to dezinformacją i blok sowiecki przywiązuje do niej dużą wagę. Jeżeli się puści w obieg wystarczającą ilość dezinformacji, można naruszyć kontakt z rzeczywistością wszystkich ludzi, może nawet swój własny.

Jeff miał dwa wzajemnie się wykluczające poglądy na kochankę swojego ojca. Z jednej strony Kirsten działała na niego seksualnie, odczuwał więc do niej silny, ale niezdrowy pociąg. Z drugiej strony żywił do niej niechęć, wrogość i zazdrość za to, że, jak uważał, pozbawiła go uczuć i zainteresowania ojca.

Ale to jeszcze nie wyczerpywało sprawy... chociaż zorientowałam się w tym dopiero po latach. Niezależnie od zazdrości o Kirsten, Jeff był zazdrosny o... on to wszystko tak poplątał, że nie potrafię tego rozwikłać. Trzeba mieć na względzie szczególnie problemy syna kogoś, czyje zdjęcia pojawiają się na okładkach „Time’a” i „Newsweeka”, z kim przeprowadza wywiad David Frost, kto występuje w programach Johnny’ego Carsona, jest bohaterem karykatur w najpoczytniejszych gazetach. Co, na litość boską, ma robić jego syn?

Jeff pojechał do nich do Anglii na tydzień i na temat tego tygodnia wiem bardzo niewiele. Jeff wrócił milczący i zamknięty, po czym wynajął pokój w hotelu i pewnego dnia późnym wieczorem strzelił sobie w twarz. Nie mam zamiaru rozwodzić się nad tym, co sędzę o takim sposobie samobójstwa. Ściągnęło to biskupa z Londynu w ciągu paru godzin, o co, w pewnym sensie, w tym samobójstwie chodziło.

W pewnym bardzo realnym sensie wiązało się też ono z Q albo raczej ze źródłem Q, oznaczanym teraz w artykułach prasowych literami U.Q., z niemieckiego *Ur-Quelle*, źródło pierwotne. Za Q kryło się *Ur-Quelle* i to właśnie sprowadziło Tima Archera do Londynu, gdzie spędził kilka miesięcy w hotelu ze swoją kochanką, oficjalnie jego agentką i kierowniczką biura.

Nikt na świecie nie podejrzewał, że kiedykolwiek pojawią się jakieś dokumenty wychodzące poza Q, nikt nie wiedział, że jakieś U.Q. w ogóle istnieje. Ponieważ nie jestem chrześcijanką, i nigdy nią już nie będę po śmierci tych, których kochałam, nie jestem i nie byłam wtedy szczególnie sprawą zainteresowana, podejrzewam jednak, że jest to ważne z punktu widzenia teologii, zwłaszcza, że wiek U.Q. datuje się na rok dwusetny przed Chrystusem.

5

To, co najbardziej wryło mi się w pamięć z pierwszych artykułów prasowych, pierwsza informacja, jaka dotarła do kogoś poza tłumaczami, to przeświadczenie, że mamy do czynienia ze znaleziskiem jeszcze ważniejszym niż zwoje z Qumran, ze względu na użycie pewnego hebrajskiego rzeczownika. Jest on zapisany na dwa różne sposoby. Czasami pojawia się jako *anokhi*, a czasem jako *anochi*.

Słowo to występuje w Księdze Wyjścia, rozdział dwudziesty, wiersz drugi. To jest ogromnie poruszający i ważny fragment Tory, bo tu przemawia sam Bóg, który mówi:

*Ja jestem Pan, twój Bóg, który
cię wywiódł z ziemi egipskiej,
z domu niewoli.*

Pierwszym hebrajskim słowem jest tu *anokhi* albo *anochi*, które znaczy „Ja”, jak w zdaniu „Ja jestem Pan”. Jeff pokazał mi, co mówi oficjalny żydowski komentarz do tej części Tory:

„Bóg, któremu oddaje cześć judaizm, nie jest jakąś bezosobową Siłą, Czymś, o czym mówimy jako o Naturze czy Rozumie Świata. Bóg Izraela jest Źródłem nie tylko mocy i życia, ale również świadomości, osobowości, moralnego celu i etycznego działania”.

Nawet dla mnie, niechrześcijanki, albo może powinnam tu powiedzieć nieżydówki, jest to coś wstrząsającego. Jestem wzruszona i zmieniona, nie jestem już taka sama. Tym, co znalazło tu swój wyraz, wytłumaczył mi Jeff, w tym jednym słowie, w dwóch literach alfabetu, jest unikalna samoświadomość Boga:

„Tak jak człowiek wznosi się ponad wszystkimi innymi stworzeniami dzięki swojej woli i świadomemu działaniu, tak Bóg »panuje nad wszystkim, jako jedyny nieograniczenie samoposiadający się Umysł i Wola. Zarówno w świecie widzialnym, jak i niewidzialnym Bóg przejawia się jako absolutnie wolna osoba, moralna i duchowa, która nadaje wszystkiemu istnienie, formę i cel«,,.

Napisał to Samuel M. Cohon, cytując Kaufmanna Kohlera. Inny żydowski autor, Hernann Cohen, pisze:

„Bóg odpowiedział Mojżeszowi: »Jestem, który jestem«. I dodał: »Tak powiesz synom Izraela: JESTEM posłał mnie do was«. Nie ma chyba większego cudu w historii ducha, niż ten, który został objawiony w tych słowach. Tutaj bowiem w pierwotnym języku, jeszcze pozbawionym wszelkiej filozofii, wyłania się i znajduje niedoskonały jeszcze wyraz, najistotniejsze słowo każdej filozofii. Imieniem Boga jest »Jestem, który jestem«. To oznacza, że Bóg jest Bytem, że Bóg jest tym Ja, które oznacza istniejącego”.

I to właśnie zostało znalezione w pewnym uedzie* w Izraelu i datowane na rok dwusetny przed Chrystusem. Ten ued znajduje się niedaleko Qumran, a to słowo należało do najważniejszych w dokumentach saducejskich i każdy znawca języka hebrajskiego zna to słowo, a powinien je znać każdy chrześcijanin i żyd. Jednak tam, w tym uedzie słowo *anokhi* było używane w innym znaczeniu i żaden człowiek na świecie nie widział przedtem tego słowa użytego w takim sensie. Tak więc Tim i Kirsten pozostali w Londynie dwukrotnie dłużej niż zamierzali, odnaleziono bowiem coś bardzo istotnego, coś, co było w istocie sercem Dekalogu, jak gdyby Bóg pozostawił nam coś zapisanego swoją własną ręką.

* ued (częściej spotykana forma *wadi*) — suche łożyska rzek na pustyniach płd.-zach. Azji i płn. Afryki, wypełniające się wodą tylko w porze deszczowej (przyp. red.)

Podczas gdy dokonywano tych odkryć na poziomie przekładu, Jeff snuł się po kampusie uniwersytetu w Berkeley, zbierając wiadomości na temat wojny trzydziestoletniej i Wallensteina, który stopniowo oddalał się od rzeczywistości podczas najgorszej wojny, może najgorszej ze wszystkich wojen do czasu totalnych wojen naszego stulecia. Nie mogę powiedzieć, że jestem pewna, co było głównym motywem samobójstwa mojego męża, który cios z tej nawały okazał się śmiertelny, ale któryś z nich trafił, albo wszystkie razem; Jeff nie żyje, a mnie nawet przy tym nie było, nawet nie spodziewałam się tego. Moje przeczucia pojawiły się na samym początku, kiedy się dowiedziałam, że Kirsten i Tim wdali się w tajemny romans. Powiedziałam wtedy to, co musiałam, zrobiłam wszystko, co mogłam — złożyłam biskupowi wizytę w katedrze Miłosierdzia i zostałam przegadana bez żadnego wysiłku z jego strony: bez wysiłku i z profesjonalną zręcznością. Było to łatwe słowne zwycięstwo Tima Archera. Tyle w tej sprawie.

Kiedy człowiek chce się zabić, nie potrzebuje powodu w zwykłym tego słowa znaczeniu. Podobnie jak w przeciwnym przypadku, człowiek, który chce żyć, nie potrzebuje ujętego w słowa, sformalizowanego uzasadnienia, które mógłby przedstawić w dyskusji. Jeff został odrzucony. Widziałam, że jego zainteresowanie wojną trzydziestoletnią jest w gruncie rzeczy związane z Kirsten. Jego umysł, albo jakaś jego część, odnotowała jej skandynawskie pochodzenie, a inna część jego umysłu zwróciła uwagę na fakt, że armia szwedzka odegrała w tej wojnie heroiczną rolę i odniosła zwycięstwo. Jego poszukiwania emocjonalne i intelektualne splotły się w jedno, co przez jakiś czas działało na jego korzyść, ale kiedy Kirsten wyjechała do Anglii, Jeff padł ofiarą własnej chytryści. Musiał teraz stawić czoło faktowi, że tak naprawdę guzik go obchodził Tilly, Wallenstein i Święte Cesarstwo Rzymskie: był zakochany w kobiecie w wieku swojej matki, która spała z jego ojcem, na dodatek robiła to w odległości ośmiu tysięcy mil, a przede wszystkim ta dwójka, bez niego, uczestniczyła w jednym z najbardziej podniecających archeologiczno-teologicznych odkryć w historii, obserwując je z dnia na dzień w miarę posuwania się tłumaczeń, w miarę łątania i sklejanego rękopisów, patrząc, jak kolejno wyłaniają się słowa, a wśród nich raz za razem pojawia się hebrajskie słowo *anokhi* w niezwykłych kontekstach, zaskakujących kontekstach, nowych kontekstach. Dokumenty były pisane tak, jakby *anokhi* był obecny tam, w uedzie. Pisano o nim tak, jakby był tu, a nie tam, teraz, a nie kiedyś. *Anokhi* to nie było coś, o czym saduceusze myśleli albo wiedzieli. To było coś, co oni mieli. Trudno było czytać książki z biblioteki i słuchać płyty Donovana, choćby i najlepszej, podczas gdy w innej części świata dokonuje się odkrycia takiej miary, i jeżeli biorą w tym udział twój ojciec i jego kochanka, których kochasz, a chwilami wściekle nienawidzisz. Mnie natomiast doprowadzało do szału to, że Jeff puszczał w kółko pierwszy solowy album Paula McCartneya, przy czym szczególnie upodobał sobie *Teddy Boy*. Kiedy się ode mnie wyprowadził, żeby zamieszkać samotnie w hotelu (gdzie się zastrzelił), zabrał płytę ze sobą, chociaż, jak się okazało, nie miał jej

na czym słuchać. Napisał do mnie kilkakrotnie, informując, że nadal aktywnie uczestniczy w antywojennych happeningach. Pewnie tak było, myślę jednak, że głównie siedział sam w pokoju hotelowym, usiłując określić swoje uczucia wobec ojca, a co ważniejsze, wobec Kirsten. Był to więc rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, ponieważ ten album McCartneya ukazał się w roku siedemdziesiątym. Ale, widzicie, mnie to też pograżyło w samotności, w naszym domu. Dom przypadł mnie, kiedy Jeff zmarł. Mówiłam wam, żebyście nie mieszkali sami, ale tak naprawdę to mówię sama do siebie. Można robić wszystko, co się chce, ale nigdy już nie będę mieszkać sama w domu. Prędzej wezmę ludzi z ulicy, niż pozwolę, żeby mi się to znów przytrafiło, to poczucie odosobnienia.

I nie puszczajcie przy mnie żadnych płyt Beatlesów. To główna rzecz, o którą proszę. Mogę znieść Joplin, bo nadal chce mi się śmiać, kiedy sobie przypomnę, jak Tim myślał, że ona żyje i jest czarna, a ona była biała i zmarła, ale nie chcę słuchać Beatlesów, bo kojarzą mi się ze zbyt wielkim bólem, we mnie, w moim życiu, w tym, co się stało.

Sama nie jestem całkiem racjonalna, jeżeli o to chodzi, zwłaszcza w sprawie samobójstwa męża. Słyszę w głowie mieszankę Johna, Paula i George'a, podczas gdy Ringo przytupuje gdzieś w tyle, z fragmentami melodii i słów, głosu skargi dusz, które bardzo cierpią, choć nie potrafię do końca określić dlaczego. Poza, rzecz jasna, śmiercią mojego męża, potem śmiercią Kirsten i wreszcie śmiercią Tima Archera, ale to, jak sądzę, wystarczy. Teraz, kiedy zastrzelono Johna Lennona, wszyscy są zranieni tak jak ja, mogę więc, do cholery, przestać się rozczulać nad sobą i dołączyć do reszty świata, nie będąc ani w lepszej, ani w gorszej sytuacji.

Często kiedy myślę o samobójstwie Jeffa, łapię się na tym, że porządkuję daty i wydarzenia w sekwencji bardziej współbrzmiające z moim umysłem, krótko mówiąc, że dokonuję ich redakcji. Streszczam, coś wycinam, pomijam, tak że, na przykład, nie pamiętam widoku ciała Jeffa i jego identyfikacji. Udało mi się zapomnieć nazwę hotelu, w którym mieszkał. Nie wiem, jak długo tam przebywał. O ile pamiętam, wyprowadził się niedługo po wyjeździe Tima i Kirsten do Londynu. Wkrótce przyszedł od nich list, pisany na maszynie, podpisany przez oboje, ale prawie na pewno pisany przez Kirsten. Może Tim go dyktował. W tym liście błysnął pierwszy sygnał ważności znaleziska. Ja się nie zorientowałam, co ta wiadomość oznacza, ale Jeff tak. Może więc wyprowadził się zaraz po tym.

Najbardziej zdziwiło mnie, kiedy w jednej chwili zrozumiałam, że Jeff pragnął zostać kapłanem, ale wobec roli jego ojca nie miało to większego sensu. A to sytuowało go w próżni. Jeff nie chciał też robić nic innego. Nie mógł zostać duchownym, a nie wyobrażał sobie siebie w żadnej innej roli. Pozostał więc kimś, kogo w Berkeley nazywają „zawodowym studentem”; nie przestawał uczęszczać na uniwersytet. A może prze-

stał i wrócił. Nasze małżeństwo nie kleiło się od pewnego czasu. Mam białe plamy, począwszy od roku sześćdziesiątego ósmego, może zgubiłam gdzieś cały rok. Jeff przeżywał problemy emocjonalne, których nie przyjmowałam do wiadomości. Oboje udawaliśmy, że ich nie widzimy. W Strefie Zatokowej zawsze można się załapać na darmową psychoterapię i oboje z niej korzystaliśmy.

Nie sądzę, żeby Jeffa można nazwać, można było nazwać, chorym psychicznie. Po prostu nie był zbyt szczęśliwy. Czasami to nie jest popęd ku śmierci, ale zapaść bardziej subtelnej natury, utrata poczucia radości. Jeff odpadał od życia stopniowo. Kiedy napotkał osobę, której prawdziwie pragnął, ona została kochanką jego ojca, po czym oboje wyjechali do Anglii, zostawiając go sam na sam z wojną, która go tak naprawdę nie obchodziła, pozostawiając go w punkcie wyjścia. Zaczaj, nie mając po co żyć, i skończył, nie mając po co żyć. Jeden z lekarzy powiedział, że według niego Jeff w okresie między odejściem ode mnie a samobójstwem zaczął brać LSD. To tylko teoria, ale w odróżnieniu od teorii o homoseksualizmie może być prawdziwa.

W Ameryce co roku tysiące młodych ludzi popełniają samobójstwa, ale tradycyjnie większość z nich zapisuje się na konto nieszczęśliwych wypadków. To oszczędza ich rodzinom wstydu wiążącego się z samobójstwem. Rzeczywiście jest coś wstydliwego w tym, że młody mężczyzna czy kobieta, a może nastolatek, chce umrzeć i osiąga ten cel, ginąc, zanim w pewnym sensie zaczął żyć, zanim się narodził. Mężowie biją żony, policjanci zabijają czarnych i latynosów, starzy ludzie grzebią w śmietnikach albo żywią się jedzeniem dla psów; wstyd rządzi i rozdaje karty. Samobójstwo jest tylko jednym wstydliwym wydarzeniem spośród szerokiego ich wachlarza. Są czarni chłopcy, którzy nie dostaną pracy do końca życia, nie dlatego, że są leniwi, ale dlatego, że nie ma dla nich pracy, także dlatego, że te dzieci getta nie posiadają umiejętności, na które jest zapotrzebowanie. Nastolatki uciekają z domu, lądują na ulicy, w Nowym Jorku albo w Hollywood, zostają prostytutkami i kończą poćwiartowane. Jeżeli narasta w was potrzeba zabicia tych spartańskich gońców przynoszących złe wieści, takich jak wynik bitwy pod Termopilami, to bardzo proszę, zabijcie mnie. Ja jestem takim gońcem i opowiadam o tym, czego najprawdopodobniej nie chcecie słyszeć. Ja osobiście przynoszę wieść tylko o trzech śmierciach, ale to było o trzy za dużo. To jest dzień śmierci Johna Lennona, chcecie zabić też tych, którzy donoszą o jego śmierci? Jak mówi Sri Kryszna, kiedy przyjmuje swoją prawdziwą postać, swoją uniwersalną formę, formę czasu:

*Jestem Czasem sędziwym,
niosę zagładę światu.
Przybyłem tu, by [temu] światu położyć kres!
Nawet bez twego udziału zginą wszyscy wojownicy,
obecni w tych wrogich zastępach.*

Widok jest straszny. Ardżuna nie może wprost uwierzyć w to, co widzi.

*Pożerając niebo i ziemię,
ograniczasz je językiem ognistym.
Twe gwałtowne płomienie palą świat cały,
napełniwszy go blaskiem, o Wisznu!**

Ten, kogo widzi Ardżuna, to jego były przyjaciel i woźnica jego rydwanu. Człowiek, jak on sam. Ale to był tylko jeden z jego aspektów, dobrotliwe przebranie. Sri Krysna chciał go chronić, ukryć przed nim prawdę. Ardżuna poprosił, żeby Krysna okazał mu swoją prawdziwą postać i ten go wysłuchał. Teraz już Ardżuna nie będzie taki sam, jak był. To jest prawdziwy zakazany owoc, ten rodzaj wiedzy. Sri Krysna długo zwlekał, z nim pokazał Ardżunie swoje prawdziwe oblicze. Chciał mu tego oszczędzić, ale w końcu ujawnił przed nim swoją autentyczną osobowość niszczyciela światów.

Nie chciałabym sprawić wam przykrości opisami cierpienia, ale istnieje zasadnicza różnica między cierpieniem a opowieścią o cierpieniu. Opowiadam wam o tym, co się stało. Jeżeli wiedza sprawia zastępczy ból, to niewiedza stanowi realne niebezpieczeństwo. Odraza wiąże się z kolosalnym ryzykiem.

Kiedy Kirsten i biskup wrócili nad Zatokę, nie na stałe, tylko żeby załatwić sprawy związane ze śmiercią Jeffa, zauważyłam, że oboje się zmienili. Kirsten wyglądała na zmęczoną i nieszczęśliwą, i nie wydawało mi się, żeby było to spowodowane wyłącznie śmiercią Jeffa. Była wyraźnie chora w sensie czysto fizycznym. W przeciwieństwie do niej biskup Archer wydawał się jeszcze bardziej ożywiony, niż kiedy ostatnio go widziałam. Wziął w swoje ręce wszystkie sprawy związane ze śmiercią Jeffa: wybrał miejsce na grób i rodzaj nagrobka, wygłosił mowę, w biskupich szatach odprawił całą ceremonię i pokrył wszystkie koszty. Wybór napisu na nagrobku był wynikiem natchnienia. Wybrał tekst, który mogę w pełni zaakceptować. Jest to motto czy też podstawowe stwierdzenie szkoły Heraklita: „Nic nie trwa wiecznie, wszystko płynie”. Na zajęciach z filozofii uczono mnie, że są to słowa Heraklita, ale Tim wyjaśnił mi, że to podsumowanie jego myśli wyszło od jego uczniów. Wierzyli oni, że tylko ruch, czyli zmiana jest rzeczywistością. Może i mieli rację.

Zebrałiśmy się we trójkę po ceremonii pogrzebowej, wróciliśmy do mieszkania w Tenderloin i próbowaliśmy dojść do siebie. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

Z jakiegoś powodu Tim zaczął mówić o Szatanie. Miał nową teorię na temat Szatana i jego upadku, którą chciał na nas wypróbować, ponieważ Kirsten i ja byliśmy akurat pod ręką. Uważałam wtedy, że Tim zamierza włączyć tę teorię do książki, nad którą zaczął pracować.

* Przekład Joanna Sachse.

— Widzę legendę o Szatanie w nowy sposób. Szatan pragnął poznać Boga możliwie jak najpełniej. Najpełniejszą wiedzę uzyskałby, gdyby sam stał się Bogiem. Dążył do tego celu i osiągnął go, wiedząc, że karą będzie wieczne wygnanie. Mimo to się zdecydował, bo pamięć o poznaniu Boga — tak jak nikt go nie poznał i nie pozna — wynagradzała to wieczne wygnanie. Powiedźcie mi wobec tego, kto najbardziej ze wszystkich żyjących kochał Boga? Szatan dobrowolnie przyjął wieczną karę i wygnanie, żeby poznać Boga, stając się na chwilę Bogiem. Co więcej, wygląda na to, że Szatan rzeczywiście poznał Boga, ale może Bóg nie zna ani nie rozumie Szatana, bo gdyby go rozumiał, to by go nie ukarał. To dlatego powiedziane jest, że Szatan się zbuntował, co znaczy, że Szatan znalazł się poza kontrolą Boga, poza Jego królestwem, jakby w innym wszechświecie. Myślę jednak, że Szatan przyjął swoją karę z wdzięcznością, bo to był dla niego samego dowód, że znał i kochał Boga. W przeciwnym razie mógłby zrobić to, co zrobił, dla nagrody... gdyby była jakaś nagroda. „Lepiej rozkazywać w Piekło, niż służyć w Niebie” ma tu swoje znaczenie, ale nie najważniejsze. Co stanowi ostateczny cel wszelkich poszukiwań: pełne i prawdziwe poznanie Boga, w porównaniu z nim cała reszta się nie liczy.

— Prometeusz — rzuciła obojętnie Kirsten, która siedziała i paliła, zapatrzona w przestrzeń.

— Prometeusz znaczy „Przewidujący” — powiedział Tim. — Miał udział w stworzeniu człowieka. Był też najbardziej przewrotny spośród bogów. Zeus zesłał na ziemię Pandorę jako karę za to, że Prometeusz ukradł bogom ogień i dał go ludziom. Pandora oprócz tego objęła karą cały ród ludzki. Ożenił się z nią Epimeteusz, czyli „Patrzący w tył”. Prometeusz ostrzegał go, żeby się nie żenił z Pandorą, bo Prometeusz przewidywał tego konsekwencje. Wyznawcy Zaratustry uważali, że podobna absolutna znajomość przyszłości jest cechą Boga, Mądrego Umysłu.

— Orzeł wyjadał mu wątrobę — powiedziała Kirsten w zamyśleniu.

Tim kiwnął głową.

— Zeus ukarał Prometeusza, przykuwając go do skały i przysyłając orła, żeby wyszarpywał mu wątrobę, która bez końca odrastała. Uwolnił go dopiero Herkules. Prometeusz był bez wątpienia przyjacielem ludzkości. Był też mistrzem rzemiosł. Podobieństwo do legendy o Szatanie jest tu rzeczywiście widoczne. Tak jak ja to widzę, można powiedzieć, że Szatan wykradł nie ogień, ale prawdziwą wiedzę o Bogu. Nie podarował jej jednak ludziom, tak jak Prometeusz zrobił z ogniem. Może prawdziwy grzech Szatana polegał na tym, że zdobywszy tę wiedzę, zatrzymał ją dla siebie, że nie podzielił się nią z ludzkością. To interesujące... kontynuując tę linię rozumowania, można by postawić tezę, że możliwe jest poznanie Boga za pośrednictwem Szatana. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wystąpił z taką teorią. — Umilkł, wyraźnie zgłębiając tę myśl. — Zapiszesz to — zwrócił się do Kirsten.

— Będę pamiętać — odpowiedziała bezbarwnym głosem.

— Człowiek musi przyprzeć do muru Szatana i zdobyć tę wiedzę, odebrać mu ją — mówił Tim. — Szatan nie chce jej przekazać. To za jej ukrywanie, a nie za to, że ją wykradł, został ukarany. Zatem w pewnym sensie ludzie mogą odkupić Szatana, odbierając mu tę wiedzę.

— A potem zająć się studiowaniem astrologii — wtrąciłam.

— Słucham? — Tim spojrzał na mnie zdziwiony.

— Wallenstein — powiedziałam. — Stawianie horoskopów.

— Greckie słowa, od których pochodzi nasz horoskop, to *hora*, co znaczy „godzina”, i *skopos*, czyli „badacz”. „Horoskop” znaczy więc dosłownie „badacz czasu”.

— Zapalił papierosa. Po powrocie z Anglii zarówno on, jak i Kirsten palili bez przerwy.

— Wallenstein to fascynująca postać.

— To samo mówi Jeff — zauważyłam. — To znaczy mówił.

Tim czujnie przekrzywił głowę.

— To Jeff interesował się Wallensteinem? Bo ja...

— Nie wiedziałeś?

— Nie sędzę — powiedział Tim zaskoczony.

Kirsten przyglądała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Mam kilka bardzo dobrych książek na temat Wallensteina — powiedział Tim.

— Pod wieloma względami Wallenstein przypomina Hitlera.

Obie z Kirsten milczałyśmy.

— Wallenstein przyczynił się do upadku Niemiec. Był wielkim wodzem. Friedrich von Schiller, jak może wiecie, napisał o Wallensteinie trzy sztuki, zatytułowane *Obóz Wallensteina*, *Dwaj Piccolami* i *Śmierć Wallensteina*, głęboko poruszające dramaty. To wiąże się, oczywiście, z rolą samego Schillera w rozwoju myśli zachodniej. Pozwólcie, że coś wam przeczytam. — Odłożywszy papierosa, Tim podszedł do półki z książkami i po kilkuminutowych poszukiwaniach znalazł to, czego szukał. — Może to nam nieco wyjaśni sprawę. W liście do samego przyjaciela, zaraz, mam tu gdzieś jego nazwisko, w liście do Wilhelma von Humboldta, było to pod sam koniec życia Schillera, Schiller pisze: „Ostatecznie obaj jesteśmy idealistami i powinniśmy wstydzić się przyznania, że zostaliśmy ukształtowani przez świat materialny, zamiast, że to my go kształtowaliśmy”. Istotą wizji Schillera stanowiła oczywiście, wolność. Nic dziwnego, że pasjonował go wielki dramat rewolty Niderlandów, mam na myśli Holandię i... — Tim zamyślił się, poruszając wargami i patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Kirsten siedziała na kanapie, paląc w milczeniu. — Dobrze — powiedział wreszcie Tim, kartkując trzymaną w ręku książkę — coś wam przeczytam. Schiller napisał to, mając trzydzieści cztery lata. Możliwe, że w tych słowach kryje się podsumowanie znacznej części naszych aspiracji, tych najszlachetniejszych. — Zaglądając do książki, Tim przeczytał: — „Teraz, kiedy zacząłem poznawać i właściwie wykorzystywać swoje siły duchowe, choroba podkopuje

moje siły fizyczne. Mimo to zrobię co mogę, i kiedy w końcu budynek się zawali, wyniosę z niego wszystko, co zasługuje na zachowanie”. — Tim zamknął książkę i odstawił ją na półkę.

Nie odezwałyśmy się. Ja nawet nie myślałam, tylko siedziałam.

— Schiller jest bardzo ważny dla dwudziestego wieku — powiedział Tim, wrócił do swojego papierosa i zgasił go, po czym przez dłuższą chwilę wpatrywał się w popielniczkę.

— Poślę po pizzę — odezwała się Kirsten. — Nie będę robić kolacji.

— Nie szkodzi — rzekł Tim. — Powiedz im, żeby dali kanadyjski bekon. A jeżeli mają napoje...

— Ja mogę przygotować kolację — powiedziałam.

Kirsten wstała i poszła do telefonu, zostawiając mnie sam na sam z Timem.

— To naprawdę sprawa największej wagi, żeby poznać Boga — powiedział Tim z przekonaniem — albo postrzegać Istotę Absolutną, jak to ujmuje Heidegger. Używa terminu *Sein*, Byt. To, co odkryliśmy w tym uedzie, po prostu przechodzi ludzkie pojęcie.

Kiwnęłam głową.

— Jak stoisz z pieniędzmi? — spytał Tim, sięgając do kieszeni; marynarki.

— W porządku — powiedziałam.

— Pracujesz? W handlu nieruchomości... w biurze prawnym — poprawił się. — Pracujesz tam nadal, prawda?

— Tak — odrzekłam. — Ale jako zwykła pomoc biurowa.

— Moja praca w zawodzie prawnika była męcząca, ale dobrze płatna — powiedział Tim. — Osobiście radziłbym ci zostać asystentką, a potem mogłabyś to wykorzystać jako odskocznię i zostać adwokatem. Może któregoś dnia doszłabyś do stanowiska sędziego.

— Możliwe — powiedziałam.

— Czy Jeff rozmawiał z tobą na temat *anokhi*?

— Pisałeś o tym w liście. Czytaliśmy też artykuły w gazetach i czasopismach.

— Oni używali tego słowa w szczególnym znaczeniu, jakby technicznym. Nie mogło to oznaczać Boskiej Obecności, ponieważ oni mówią, że to posiadali, w sensie dosłownym. W dokumencie szóstym jest taki wiersz: „*Anokhi* ginie i odradza się co roku, i z każdym następnym rokiem jest go więcej”. Albo jest większy, więcej albo większy, może też być wyższy. Jest to niezwykle zagadkowe, ale tłumacze pracują nad tym i spodziewamy się, że zakończą pracę w ciągu pół roku... rzecz jasna, przez cały czas składają fragmenty zniszczonych zwojów. Jak się zapewne domyślasz, nie znam aramejskiego. Uczyłem się tylko greki i łaciny... wiesz, „Bóg jest ostatnią obroną przeciwko niebytowi”.

— Tillich — powiedziałam.

— Słucham?

— To powiedział Paul Tillich.

— Nie jestem tego pewien. To na pewno jeden z tych protestanckich teologów egzystencjalnych, mógł to być Reinhold Niebuhr. Jak wiesz, Niebuhr jest Amerykaninem, albo raczej był, bo niedawno umarł. To, co mnie interesuje u Niebuhra... — Tim zamilkł na chwilę. — Podczas pierwszej wojny światowej Niemöler służył w niemieckiej marynarce. Występował czynnie przeciwko nazistom i wygłaszał kazania aż do roku trzydziestego ósmego. Gestapo go aresztowało i wysłało do Dachau. Niebuhr był początkowo pacyfistą, ale zachęcał chrześcijan do udziału w wojnie przeciwko Hitlerowi. Uważam, że jedną z istotnych różnic między Wallensteinem a Hitlerem — właściwie to jest wielkie podobieństwo — polega na przysiędze, którą Wallenstein...

— Przepraszam — powiedziałam i poszłam do łazienki, żeby zobaczyć, czy w apteczce nadal stoi butla z dexamylenem. Nie było jej tam, znikły wszystkie lekarstwa. Zabrane do Anglii, uświadomiłam sobie. Są teraz w walizkach Tima i Kirsten. Cholera.

Kiedy wyszłam, zobaczyłam, że Kirsten stoi sama w pokoju.

— Jestem okropnie, ale to okropnie zmęczona — powiedziała gasnącym głosem.

— Widzę to — potwierdziłam.

— Mój żołądek za nic nie przyjmie pizzy. Czy mogłabyś dla mnie skoczyć do sklepu? Zrobiłam listę. Potrzebuję kurczaka bez kości, takiego w słoiku, ryż i makaron. Tu jest lista. Tim da ci pieniądze.

— Mam pieniądze. — Wróciłam do sypialni, włożyłam płaszcz i wzięłam torebkę. Za moimi plecami pojawił się Tim, który chciał coś jeszcze powiedzieć.

— Schiller widział w Wallensteinie człowieka, który zmówił się z losem, żeby doprowadzić do swojego upadku. W oczach niemieckich romantyków to był największy ze wszystkich grzechów, zmówić się z losem, z losem pojmowanym jako zguba. — Wyszedł za mną z sypialni do przedpokoju. — Cały duch Goethego i Schillera i... innych, cała ich orientacja opierała się na tym, że wola człowieka może pokonać los. Los traktowano niejako coś nieuniknionego, ale jako coś, na co człowiek przyzwala. Rozumiesz, o co mi chodzi? Dla Greków los był *ananke*, siłą absolutnie zdeterminowaną i bezosobową, utożsamiano ją z Nemezis, która była mściwym, karzącym losem.

— Przepraszam — przerwałam mu — ale muszę iść do sklepu.

— To nie przyniosą pizzy?

— Kirsten nie najlepiej się czuje.

— Angel, ona mnie bardzo martwi — powiedział, zniżając głos. — Nie mogę jej zmusić, żeby poszła do doktora. Ten jej żołądek, albo to, albo woreczek żółciowy. Może ty ją przekonasz, żeby się gruntownie przebadła. Ona się boi tego, co mogą stwierdzić. Wiesz chyba, że kilka lat temu przeszła raka szyjki macicy.

— Wiem.

— I hysterocleisis.

— Co to jest?

— Zabieg chirurgiczny polegający na zamknięciu ujścia szyjki macicy. Ona ma tyle lęków z tym związanych, to znaczy z tym tematem, że zupełnie nie chce o tym rozmawiać.

— Pomówię z nią — obiecałam.

— Kirsten obwinia się za śmierć Jeffa.

— Cholera — powiedziałam. — Tego się obawiałam.

Kirsten wyszła z drugiego pokoju.

— Dodaj do tej listy, którą ci dałam, piwo imbirowe — poprosiła.

— Dobrze — powiedziałam. — Czy sklep jest...

— Skręć w prawo. Cztery przecznice prosto i potem w lewo. To mały chiński sklepik, ale mają tam wszystko, czego potrzebuję.

— Nie potrzebujesz papierosów? — spytał Tim.

— Tak, możesz wziąć karton — powiedziała Kirsten. — Jakieś lekkie. Wszystko jedno jakie, wszystkie smakują tak samo.

— Dobrze.

— Odwiozę cię — rzekł Tim, otwierając drzwi. Zeszliśmy we dwójkę na dół do jego wynajętego samochodu, ale już na miejscu stwierdził, że nie wziął kluczyków.

— Będziemy musieli pójść na piechotę — powiedział i poszliśmy, przez chwilę nic nie mówiąc.

— Ładny wieczór — odezwałam się po chwili.

— Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać — powiedział Tim. — Chociaż, technicznie rzecz biorąc, to nie jest twoja dziedzina.

— Nie wiedziałam, że mam jakąś dziedzinę — mruknęłam.

— Nie jesteś w tej sprawie specjalistką. Sam nie wiem, z kim powinienem porozmawiać. Te dokumenty są pod pewnymi względami... — Zawahał się. — Powiedziałbym przygnębiające. To znaczy dla mnie osobiście. Tłumacze natrafili tam na wiele Logii, powiedzeń Jezusa, prawie na dwieście lat przed Jezusem.

— To wiem — powiedziałam.

— Ale to znaczy, że on nie był Synem Boga. Nie był w istocie Bogiem, jak nakazuje nam wierzyć doktryna trynitarna. Dla ciebie może to nie stanowi problemu, Angel.

— Rzeczywiście nie — przyznałam.

— Logia mają zasadnicze znaczenie dla naszego rozumienia i apercpcji Jezusa jako Chrystusa, to jest Mesjasza albo Pomazańca. Jeżeli, jak wszystko wydaje się teraz wskazywać, można oddzielić Logia od osoby Jezusa, to musimy spojrzeć na nowo na cztery Ewangelie, nie tylko synoptyczne, ale wszystkie cztery... musimy zadać sobie pytanie, co my właściwie wiemy o Jezusie, jeżeli w ogóle coś o nim wiemy.

— A nie możesz po prostu przyjąć, że Jezus był sadokitą? — spytałam. Takie wrażenie odniosłam na podstawie artykułów w prasie. Po odkryciu zwojów z Qumran, tak zwanych Rękopisów znad Morza Martwego, mnożyły się spekulacje, że Jezus wywodził się z eseneńczyków albo był z nimi w jakiś sposób związany. Nie widziałam, gdzie leży problem. Nie rozumiałam, czym Tim tak się przejmował, kiedy szliśmy obok siebie ulicą.

— W wielu sadokickich dokumentach pojawia się pewna tajemnicza postać. Określana jest hebrajskim słowem, którego najbliższym odpowiednikiem może być „Objasniacz”. Lecz status tej osoby, której przypisane są liczne Logia, jest niejasny.

— Wobec tego Jezus był jego uczniem albo, tak czy inaczej, korzystał z jego słów.

— Ale w takim razie Jezus nie jest Synem Bożym. Nie jest Bogiem Wcielonym, Bogiem w ludzkiej postaci.

— Może więc Bóg przekazał Logia Objasniaczowi? — zaproponowałam.

— W takim razie to Objasniacz jest Synem Bożym.

— To prawda.

— To są problemy, które mnie dręczą, chociaż to może za mocne słowo. Ale mnie niepokoją. I muszą mnie niepokoić. Oto wiele z przypowieści, przekazanych nam w Ewangeliach, odnajdujemy teraz na zwojach starszych od Jezusa o dwieście lat. To prawda, że nie mamy wszystkich Logii, ale mamy wiele i to tych najważniejszych. Występują tam również pewne zasadnicze doktryny związane ze zmartwychwstaniem, wyrażone w dobrze znanym stylu Jezusa „Jam jest”. „Jam jest chlebem życia”. „Jam jest Drogą”. „Jam jest wąską bramą”. Nie można ich po prostu oddzielić od Jezusa Chrystusa. Weźmy choćby pierwsze z nich: „Jam jest chleb życia. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskreszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim”. Rozumiesz teraz, o co mi chodzi.

— Jasne. Że saducejski Objasniacz powiedział to pierwszy.

— Wobec tego to saducejski Objasniacz obdarzył nas życiem wiecznym i to przez Eucharystię..

— Myślę, że to cudowne — powiedziałam.

— Zawsze mieliśmy nadzieję, ale nigdy nie oczekiwaliśmy, że któregoś dnia wykopimy gdzieś Q albo coś, co pozwoli nam zrekonstruować Q lub część Q, ale nikomu się nawet nie marzyło, że pokaże się gdzieś *Ur-Quelle* i to wyprzedzające Jezusa o dwa stulecia. Są też inne dziwne... — Tim przerwał. — Chcę, żebyś mi obiecała, że nie powiesz nikomu tego, co usłyszysz. Nie wspominaj o tym nikomu. Ta część nie została ujawniona.

— Niech skonam w męczarniach.

— W połączeniu ze stwierdzeniami typu „Jam jest” pojawiają się wielce osobliwe wtręty nie występujące w Ewangeliach i widocznie nie znane pierwszym chrześcijanom. W każdym razie nie doszło do nas żadne pisemne świadectwo, że coś takiego znali i że w to wierzyli. Ja... — Tu zamilkł na chwilę. — Słowo „chleb” i słowo użyte na oznaczenie „krwi” sugerują, że chodzi dosłownie o chleb i krew. Jakby esseńczycy używali jakiegoś specjalnego chleba i specjalnego napoju, który przygotowywali i który stanowił w istocie ciało i krew tego, co nazywali *anokhi*. Tego, o którym objaśniacz mówił i które reprezentował.

— Rozumiem — powiedziałam i kiwnęłam głową.

— Gdzie jest ten sklep? — spytał Tim, rozglądając się.

— Jeszcze jedna przecznica — odpowiedziałam. — Chyba.

Tim z zapalem ciągnął dalej.

— To było coś, co jedli i co pili. Jak namesjańskiej uczcie. Wierzyli, że to daje im nieśmiertelność, to połączenie tego, co jedli, z tym, co pili. Jest to wyraźna zapowiedź Eucharystii i wyraźnie wiąże się z uczta mesjańską. *Anokhi*. Wciąż to słowo. Spożywali *anokhi* i pili *anokhi*, i w rezultacie stawali się *anokhi*. Stawali się samym Bogiem.

— Zgodnie z tym, czego naucza chrześcijaństwo odnośnie do mszy — powiedziałam.

— Znajdujemy tu podobieństwa z mazdaizmem — mówił Tim. — Mazdaiści składali w ofierze bydło i łączyli to z oszałamiającym napojem zwanym *haoma*. Nie ma jednak podstaw, żeby zakładać, że w wyniku tego następowało połączenie z bóstwem. To właśnie osiąga chrześcijanin poprzez sakramenty: on, albo ona, łączy się z Bogiem reprezentowanym w Chrystusie i przez Chrystusa. Staje się Bogiem albo jednoczy się z Bogiem, upodabnia się do Boga. Mówię tu o przebóstwieniu, o apoteozie. Ale tutaj, u saduceuszy, osiąga się to za pomocą chleba i napoju uzyskanego z *anokhi* i, rzecz jasna, sam termin „*anokhi*” odnosi się do Czystej Samoświadomości, inaczej mówiąc Czystej Świadomości Jehowy, Boga Hebrajczyków.

— To cechy Brahmy — wtrąciłam.

— Słucham? Jaki Brahma?

— W Indiach. Braminizm. Brahma posiada absolutną, czystą świadomość. Czystą świadomość, czyste istnienie, czysta szczęśliwość. Jeżeli dobrze pamiętam.

— Ale co to jest to *anokhi*, które oni jedzą i piją?

— Ciało i krew Pana — powiedziałam.

— Ale co to jest? — Zrobił nieokreślony gest. — Gładko się mówi: „To jest Pan”, bo to jest to, co w logice nazywa się błędem *hysteron proteron*; to co masz udowodnić, tkwi w założeniu. To jest, oczywiście, ciało i krew Pana, słowo „*anokhi*” nie pozostawia co do tego wątpliwości, ale to nie...

— A, rozumiem. Chodzi o błędne koło. Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że to *anokhi* rzeczywiście istnieje.

— Oczywiście. — Tim zatrzymał się i stał, patrząc na mnie.

— Rozumiem. Uważasz, że to jest coś rzeczywistego.

— Bóg jest rzeczywisty.

— Nie tak naprawdę. Bóg jest kwestią wiary. Nie jest rzeczywisty w sensie, w jakim rzeczywisty jest ten samochód. — Wskazałam zaparkowany wóz, który akurat mijaliśmy.

— Trudno bardziej się mylić.

Roześmiałam się.

— Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? — spytał Tim. — Że Bóg nie jest rzeczywisty?

— Bóg jest... — Zawahałam się. — Sposobem patrzenia na świat. Interpretacją. Chodzi mi o to, że On nie istnieje. Nie w tym sensie, w jakim istnieją przedmioty. Nie można, powiedzmy, wpaść na Niego tak, jak można wpaść na ścianę.

— Czy pole magnetyczne istnieje?

— Oczywiście.

— A nie można na nie wpaść.

— Ale ujawni się, jeżeli posypać kartkę papieru żelaznymi opiłkami.

— Hieroglify Boga otaczają cię ze wszystkich stron — powiedział Tim. — Jak świat.

— To tylko pogląd. Ja go nie podzielam.

— Ale przecież widzisz świat.

— Widzę świat — powiedziałam — ale nie widzę ani śladu Boga.

— Przecież nie może być stworzenia bez stwórcy.

— A kto powiedział, że to jest stworzenie?

— Mnie chodzi o to, że jeżeli Logia są o dwieście lat wcześniejsze od Jezusa, to znaczy, że można zakwestionować Ewangelie, a jeżeli można zakwestionować Ewangelie, to nie mamy dowodu, że Jezus był Bogiem, samym Bogiem, Bogiem Wcielonym, a zatem znika podstawa naszej religii. Jezus staje się po prostu nauczycielem reprezentującym określoną żydowską sektę, która jadła i piła jakiś... cokolwiek to było, *anokhi*, i to dawało im nieśmiertelność.

— Uważali, że to daje im nieśmiertelność — poprawiłam. — To nie to samo. Ludzie wierzą, że ziołami można wyleczyć raka, ale z tego nie wynika, że to prawda.

Doszliśmy do małego sklepiku spożywczego i zatrzymaliśmy się przed wejściem.

— Rozumiem z tego, że nie jesteś chrześcijanką — powiedział Tim.

— Tim, wiesz o tym od lat. Jestem przecież twoją synową.

— Nie jestem pewien, czy ja sam jestem chrześcijaninem. Nie jestem teraz pewien,

czy coś takiego jak chrześcijaństwo w ogóle istnieje. A muszę pójść i przemawiać do ludzi, muszę dalej wypełniać swoje obowiązki kapłańskie i pastoralne. Wiedząc to, co wiem. Wiedząc, że Jezus nie był Bogiem, tylko nauczycielem i to nawet nie oryginalnym: to, czego nauczał, było zbiorową wiarą całej sekty. Produktem zbiorowym.

— To nadal mogło pochodzić od Boga — powiedziałam. — Bóg mógł objawić to sadokitom. Co jeszcze mówi się tam o Objaśniaczu?

— Że wróci w Dniach Ostatnich i będzie działać jako eschatologiczny Sędzia.

— To pasuje — powiedziałam.

— Można to znaleźć także w mazdaizmie. Tak wiele wydaje się wywodzić z religii irańskich... religia żydów nabrała wyraźnych cech irańskich podczas... — Umilkł, zwrócił się do wewnątrz, zapominając o mnie, o sklepie, o liście zakupów.

— Może uczeni i tłumacze znajdują gdzieś trochę tego *anokhi* — powiedziałam, żeby go podnieść na duchu.

— Znajdą Boga — powiedział sam do siebie.

— Znajdą coś, co rośnie. Jarzynę albo drzewo.

— Dlaczego tak mówisz? — Sprawiał wrażenie zagniewanego. — Co cię skłoniło, żeby tak powiedzieć?

— Chleb musi być z czegoś zrobiony. Nie można zjeść chleba, jeżeli się go z czegoś nie zrobi.

— Jezus mówił w przenośni. Nie chodziło mu o dosłowny chleb.

— Może Jemu nie, ale sadokitom wyraźnie tak.

— Przychodziło mi to do głowy. Sugerują to niektórzy tłumacze. Że chodzi o dosłowny chleb i dosłowny napój. „Ja jestem bramą owiec”. Jezusowi na pewno nie chodziło o to, że jest zrobiony z drewna. „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który go uprawia. Każdą latorośl, która we Mnie nie przynosi owocu, odcina, a każdą, która przynosi owoc, oczyszcza, aby przynosiła owoc obfitszy”.

— Zatem chodzi o winorośl — powiedziałam. — Szukaj winorośli.

— To absurdalne i dosłowne.

— Dlaczego? — spytałam.

— „Ja jestem krzewem winnym, wy latoroślami” — powiedział Tim ze złością. — Czy mamy przyjąć, że chodzi o roślinę? Że to jest sprawa materialna, a nie duchowa? Że chodzi o coś, co rośnie nad Morzem Martwym? — Zrobił ruch ręką. — „Ja jestem światłem świata”. Czy mamy przyjąć, że można przy nim czytać gazetę? Jak przy tej latarni?

— Niewykluczone — powiedziałam. — Dionizos był winem w pewnym sensie. Jego czciciele upijali się i wówczas Dionizos w nich wstępował, a oni biegali po polach i górach i zagryzali krowy na śmierć. Pożerali żywcem całe zwierzęta.

— Istnieją pewne podobieństwa — przyznał Tim.

Weszliśmy razem do małego sklepiku spożywczego.

6

Zanim Tim i Kirsten zdążyli wrócić do Anglii, zebrał się episkopalny synod biskupów, żeby rozpatrzyć sprawę oskarżeń Tima o herezję. Oszołomy (powinnam raczej powiedzieć „konserwatywni biskupi”, bo to brzmi uprzejmiej) występujące w roli jego oskarżycieli, okazały się całkowicie niezdolne do przeprowadzenia skutecznego ataku. Tim został oficjalnie oczyszczony z zarzutów. Wszystko to trafiło, rzecz jasna, na łamy gazet i tygodników. Całą tą sprawą Tim nigdy się zbytnio nie przejmował, zresztą z powodu śmierci Jeffa i tak cieszył się powszechną sympatią. Cieszył się nią zawsze, ale teraz, z powodu osobistej tragedii, otaczano go nią jeszcze bardziej.

Platon mówi gdzieś, że jak się strzela do króla, to trzeba mieć pewność, że się go zabije. Konserwatywnym biskupom nie udało się zniszczyć Tima i w rezultacie jeszcze wzmocnili jego pozycję, bo taki jest los nieudanych zamachów. Mówimy wtedy, że próba spaliła na panewce. Tim wiedział teraz, że nikt w Kościele episkopalnym Stanów Zjednoczonych Ameryki nie zdoła mu zagrozić. Zaszkodzić sobie mógł tylko on sam.

Co do mnie i mojego życia osobistego, to stałam się właścicielką domu, który z Jeffem kupowaliśmy na raty. Jeff na skutek nalegań ojca spisał testament. Nie zyskałam wiele, ale zachowałam to, co było można. Ponieważ to i tak ja utrzymywałam Jeffa i siebie, nie pojawiły się przede mną żadne nowe problemy finansowe. Nadal pracowałam w biurze prawnym i sklepie ze świecami. Przez jakiś czas sądziłam, że w związku ze śmiercią Jeffa stopniowo utracę kontakt z Timem i Kirsten, ale okazało się, że się myliłam. Tim chyba znajdował we mnie kogoś, z kim może porozmawiać. Ostatecznie byłam jedną z niewielu osób, które znały prawdę o jego związku z kierowniczką biura i agentką. Poza tym to ja poznałam go z Kirsten.

Oprócz tego Tim nigdy nie wyrzucał za burtę ludzi, z którymi się zaprzyjaźnił. A nas łączyło coś znacznie ważniejszego, istniała między nami więź uczuciowa, która rodziła zrozumienie. Byliśmy dosłownie dobrymi przyjaciółmi w dość tradycyjnym stylu. Ponieważ biskup Kalifornii, który głosił tak radykalne poglądy i propagował tak szalone teorie, w życiu osobistym był człowiekiem starej daty w najlepszym tego słowa znaczeniu. Kiedy się z kimś zaprzyjaźnił, do końca pozostawał lojalny, jak o tym poinformowałam panią Marion po latach, długo po tym, jak Tim i Kirsten, podobnie jak mój mąż, odeszli z tego świata. Nie pamięta się dzisiaj, że biskup Archer kochał swoich przyjaciół i był im wierny bez względu na to, czy mógł mieć z tego jakąś korzyść, czy nie — w tym sensie, że mogli oni przysłużyć się jego karierze, umocnić jego pozycję lub przysporzyć mu korzyści w świecie materialnym. Ja, na przykład, byłam w tym świecie tylko młodą kobietą zatrudnioną w biurze prawnym, do tego niezbyt znaczącym. Tim nie miał najmniejszego interesu w podtrzymywaniu naszej przyjaźni, a mimo to podtrzymywał ją aż do końca.

W okresie po śmierci Jeffa Kirsten wykazywała oznaki postępującej degradacji fizycznej, co lekarze w końcu określili prawidłowo jako zapalenie otrzewnej, które bywa śmiertelne. Biskup pokrywał wszystkie koszty jej leczenia, a narosły one do sum ogromnych. Przez dziesięć dni Kirsten wylegiwała się na oddziale intensywnej terapii jednego z najlepszych szpitali w San Francisco, uskarżając się gorzko, że nikt jej nie odwiedza i nikomu na niej nie zależy. Tim, który jeździł po całych Stanach Zjednoczonych z wykładami, odwiedzał ją, kiedy tylko mógł, ale jej to nie wystarczało. Ja też przyjeżdżałam do miasta, żeby ją jak najczęściej odwiedzać, ale podobnie jak w przypadku Tima Kirsten uważała, że jest to dalece niewystarczająca reakcja na jej chorobę. Większość spędzonego z nią czasu sprowadzała się do jednostajnego ciągu skarg na Tima i na życie w ogóle. Kirsten się postarzała.

Wydaje mi się mało sensowne powtarzanie uwag w stylu: „Masz tyle lat, na ile się czujesz”, ponieważ starość i choroba i tak w końcu zwyciężą, a to głupawe powiedzonko cieszy się wzięciem u osób zdrowych, nie mających za sobą przejść, które stały się udziałem Kirsten Lundborg. Jej syn Bill ujawnił nieograniczoną zdolność do bycia szalonym i Kirsten czuła się za to odpowiedzialna. Wiedziała też, że jednym z najważniejszych powodów samobójstwa Jeffa był jej związek z jego ojcem. To stało się powodem zacieklej niechęci Kirsten do mnie, jakby poczucie winy, jej winy, skłaniało ją do ciągłych napaści na mnie — główną ofiarę śmierci Jeffa.

Właściwie niewiele już zostało z naszej przyjaźni, niemniej, odwiedzałam ją w szpitalu, przy czym zawsze ubierałam się tak, żeby wyglądać olśniewająco, zawsze przynosiłam jej coś, czego nie wolno jej było jeść, lub coś, czego nie mogła na siebie włożyć.

— Nie pozwalają mi tu palić — oznajmiła mi kiedyś na powitanie.

— To rozumiałe — powiedziałam. — Podpaliłabyś łóżko, jak ostatnim razem.

Na kilka tygodni przed pójściem do szpitala omal się nie zaczadziła.

— Przynieś mi włóczkę — powiedziała Kirsten.

— Włóczkę.

— Zrobię sweter. Biskupowi. — Ton jej głosu zdeprecjonował to słowo. Kirsten potrafiła przekazać w ten sposób rzadko spotykany stopień wrogości. — Biskupowi — powiedziała — potrzebny jest sweter.

Jej agresja wpływała z faktu, że Tim, jak się okazało, radził sobie świetnie bez jej pomocy. Akurat teraz wygłaszał przemówienie gdzieś hen w Kanadzie. Kirsten od pewnego czasu utrzymywała, że bez niej Tim nie przeżyłby nawet tygodnia. Jej pobyt w szpitalu udowodnił coś wręcz przeciwnego.

— Dlaczego Meksykanie nie pozwalają swoim córkom wychodzić za Murzynów? — spytała Kirsten.

— Bo wnuki byłyby za leniwe, żeby kraść — odpowiedziałam.

— Kiedy czarnoskóry Amerykanin staje się czarnuchem?
— Jak tylko wyjdzie z pokoju. — Usiadłam na plastikowym krześle przy łóżku.
— Kiedy jest najlepszy czas na jazdę samochodem?
Kirsten spojrzała na mnie z wrogością.
— Wkrótce stąd wyjdiesz — powiedziałam, żeby ją podnieść na duchu.
— Nigdy już stąd nie wyjdę. Biskup pewnie... mniejsza z tym. Obmacuje jakiś tyłek w Montrealu, czy gdzie on tam jest. Mnie zaciągnął do łóżka po drugim spotkaniu. Pierwsze było w restauracji w Berkeley.
— Byłam przy tym.
— Dlatego nie mógł tego zrobić od razu. Gdyby mógł, zrobiłby to. Czy to cię nie zaskakuje w biskupie? Jest parę rzeczy, które mogłabym ci opowiedzieć... ale tego nie zrobię. — Umilkła i siedziała nabydyczna.
— To dobrze — powiedziałam.
— Co dobrze? Że ci nie powiem?
— Jeśli zaczniesz mówić, wstanę i wyjdę. Mój terapeuta poradził mi, żeby w stosunku do ciebie zakreślić wyraźne granice.
— A, prawda, ty też do nich należysz. Do osób przechodzących terapię. Tak jak mój syn. Powinniście się poznać. Moglibyście razem lepić węże z plasteliny na terapii zajęciowej.
— Wychodzę — powiedziałam, wstając.
— O Jezu — powiedziała Kirsten z irytacją. — Siadaj.
— Co się stało ze szwedzkim kretyńcem, który uciekł z zakładu psychiatrycznego w Sztokholmie?
— Nie wiem.
— Jak go złapali, był już nauczycielem w Norwegii.
— Pierdol się — powiedziała Kirsten ze śmiechem.
— Nie muszę. Mam to załatwione.
— Pewnie tak. — Kirsten kiwnęła głową. — Chciałabym już być w Londynie. Byłaś kiedyś w Londynie?
— Zawsze brakowało pieniędzy w funduszu dyspozycyjnym biskupa. Dla Jefa i dla mnie.
— A, prawda. Wszystko ja zużyłam.
— Prawie.
— Nie miałam co robić. Tim przesiadywał z tymi starymi pedałami tłumaczami. Czy powiedział ci, że Jezus to lipa? Zdumiewające. Oto po dwóch tysiącach lat dowiadujemy się, że ktoś zupełnie inny jest autorem Logii i wszystkich tych „Jam jest”. Nigdy nie widziałam Tima tak przygnębionego. Siedział w naszym mieszkaniu, dzień za dniem, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Nic na to nie odpowiedziałam.

— Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? Że Jezus to fikcja? — spytała.

— Dla mnie nie.

— Najważniejszej części nie opublikowano. O grzybach. Będą to utrzymywać w tajemnicy najdłużej jak się da. Jednak...

— O jakich grzybach?

— *Anokhi*.

— *Anokhi* to grzyb? — spytałam z niedowierzaniem.

— Grzyb. Wtedy to był grzyb. Saduceusze hodowali je w podziemnych grotach.

— Jezu Chryste — powiedziałam.

— Robili z nich grzybowy chleb. Robili też wywar, który pili. Jedli chleb i pili wywar. Z tego wzięły się dwie postacie hostii, ciało i krew. Prawdopodobnie grzyby *anokhi* były trujące, ale saduceusze znaleźli sposób unieszkodliwienia trucizny, przynajmniej częściowo, tak że nie umierali po ich zjedzeniu. Mieli tylko halucynacje.

Wybuchnęłam śmiechem.

— Byli więc...

— Tak, narkotyzowali się. — Kirsten też nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — A Tim musi co niedziela wstawać i udzielać komunii, wiedząc, że tamci po prostu wprawiali się w trans jak hipisi w Haight-Ashbury. Myślałam, że to go zabije, kiedy się dowiedział.

— Z tego wynika, że Jezus był handlarzem narkotyków — powiedziałam.

Kirsten kiwnęła głową.

— Uczniowie, według tej teorii, szmuglowali *anokhi* do Jerozolimy i zostali złapani. To potwierdza spostrzeżenia Johna Allegra... jeżeli czytałaś jego książkę. To jeden z największych specjalistów od języków bliskowschodnich... był oficjalnym tłumaczem zwójów z Qumran.

— Nie znam książki, ale wiem, kto to jest. Jeff często o nim mówił.

— Allegro ustalił, że pierwsi chrześcijanie byli tajną sektą grzybiarzy. Stwierdził to na podstawie interpretacji Nowego Testamentu. Znalazł też fresk... w każdym razie rysunek naskalny przedstawiający wczesnych chrześcijan z wielkim grzybem *amanita muscaria*.

— *Amanita muscaria* — poprawiłam. — To ten czerwony w białe kropki. Są strasznie trujące. Zatem pierwsi chrześcijanie znaleźli sposób na ich odtrucie.

— Tak twierdzi Allegro. Widzieli też malunki. — Zaczęła chichotać.

— Czy naprawdę istnieje grzyb *anokhi*? — spytałam. Miałam pewne pojęcie o grzybach, bo zanim wyszłam za Jeffa, chodziłam z grzyboznawcą amatorem.

— Pewnie tak, ale dziś nikt nie wie, co to może być. Jak na razie w dokumentach nie znaleziono jego opisu. Nie można stwierdzić, jaki to był grzyb i czy jeszcze istnieje.

— Może on nie tylko wywoływał halucynacje — powiedziałam.

— A co na przykład?

W tym momencie podeszła do mnie pielęgniarka.

— Musi pani już iść — powiedziała.

Wstałam, wzięłam płaszcz i torebkę.

— Pochyl się — powiedziała Kirsten, przyzywając mnie gestem, po czym szepnęła mi prosto w ucho: — Orgie.

Pocałowawszy ją na do widzenia, wyszłam ze szpitala.

Kiedy wróciłam do Berkeley i dojechałam autobusem do starego wiejskiego domu, w którym mieszkaliśmy z Jeffem, idąc ścieżką, zobaczyłam młodego człowieka przykucniętego w rogu ganku. Zatrzymałam się, zastanawiając się, kto to może być.

Jasnowłosy chłopiec z pyzată twarzą głąskał mojego kota Magnificata, który, uszczęśliwiony, zwinął się pod drzwiami. Przyglądałam się temu przez chwilę: domokrażca jakiś, czy co? Młody człowiek miał na sobie za duże spodnie i jaskrawą kolorową koszulę. Na jego twarzy, kiedy głąskał Magnificata, malował się najłagodniejszy wyraz, jaki kiedykolwiek widziałam na twarzy człowieka. Ten chłopak, który przecież nigdy wcześniej nawet nie widział mojego kota, promieniował rodzajem czułości, jakiejś namacalnej wręcz miłości, która była dla mnie czymś zupełnie nowym. Taki słodki uśmiech znajdujemy na niektórych bardzo wczesnych posągach Apolla. Chłopiec, całkowicie pochłonięty zabawą z Magnificatem, nie zauważał mnie, nie reagował na moją bliską obecność. Przyglądałam się temu zafascynowana, choćby dlatego, że Magnificat był wojowniczym starym kocurem, który zazwyczaj nie dopuszczał do siebie obcych.

Wreszcie chłopak podniósł głowę. Na mój widok uśmiechnął się nieśmiało i wstając niezgrabnie, powiedział: — Cześć.

— Cześć. — Zbliżyłam się do niego ostrożnie, bardzo powoli.

— Znalazłem tego kota. — Chłopak zamrugał, nie przestając się uśmiechać. Miał niewinne błękitne oczy, pozbawione wszelkiej chytrności.

— To mój kot — powiedziałam.

— Jak się nazywa?

— To kocur i nazywa się Magnificat.

— Jest bardzo piękny — powiedział chłopak.

— A kto ty jesteś? — spytałam.

— Jestem Bill, syn Kirsten.

To tłumaczyło błękitne oczy i jasne włosy.

— Ja jestem Angel Archer.

— Wiem. My się już spotkaliśmy, ale to było... — Zawahał się. — Nie jestem pewien, jak dawno. Robili mi elektrowstrząsy i nie mam najlepszej pamięci.

— Tak — powiedziałam. — Chyba się kiedyś spotkaliśmy. Właśnie wracam ze szpitala, gdzie odwiedzałam twoją mamę.

— Czy mogę skorzystać z łazienki?

— Jasne — powiedziałam. Wyjęłam z torebki klucze i otworzyłam drzwi. — Przepraszam za bałagan. Pracuję i nie mam czasu na utrzymanie porządku. Łazienka jest za kuchnią, w tyle. Idź prosto, to trafisz.

Bill Lundborg nie zamknął za sobą drzwi łazienki i słyszałam, jak głośno oddaje moc. Nalałam do czajnika wody i postawiłam go na gazie. Dziwne, pomyślałam. To jest ten syn, z którego ona się wyśmiewa. Tak jak z nas wszystkich.

Wróciwszy, Bill Lundborg stał niepewnie z przymilnym uśmiechem, wyraźnie speszony. Nie spuścił wody. I wtedy nagle pomyślałam: przecież on wyszedł prosto ze szpitala, ze szpitala dla umysłowo chorych. To widać.

— Czy napijesz się kawy? — spytałam.

— Chętnie.

Do kuchni wkroczył Magnificat.

— Ile ona ma lat? — spytał Bill.

— Nie mam pojęcia, ile on ma lat. Uratowałam go przed psem, kiedy był już dorosły. Pewnie mieszkał gdzieś w sąsiedztwie.

— Jak się czuje Kirsten?

— Bardzo szybko dochodzi do siebie — powiedziałam i wskazałam mu krzesło. — Siadaj.

— Dziękuję. — Usiadł, opierając ręce na stole i splatając dłonie. Był bardzo blady. Nie wypuszczali go na dwór, pomyślałam. Trzymali go jak w klatce. — Podoba mi się pani kot.

— Możesz go nakarmić — powiedziałam. Otworzyłam lodówkę i wyjęłam puszkę kocięgo jedzenia.

Bill karmił Magnificata, a ja obserwowałam ich obu. Staranność, z jaką nabierał łyżką jedzenie... systematycznie, w pełnym skupieniu, jakby to było jakieś ogromnie ważne zajęcie. Przez cały czas wpatrywał się z uwagą w Magnificata i w pewnej chwili uśmiechnął się znów tym uśmiechem, który mnie tak poruszył, który tak mną wstrząsnął.

Roztrzaskaj mnie, o Boże, pomyślałam, przypomniawszy to sobie, nie wiadomo dlaczego. Roztrzaskaj i zabij mnie. Okaleczyli to słodkie, dobre dziecko tak, że prawie nic z niego nie zostało. Pod pretekstem leczenia spalili mu obwody w mózgu. Pierdoleni sadyści w sterylnych kitlach. Co oni wiedzą o ludzkich sercach? Zbierało mi się na płacz.

I on tam wróci, pomyślałam, tak jak mówi Kirsten. Do końca życia będzie wychodził ze szpitala i wracał do szpitala. Pierdolone sukinsyny.

*Roztrzaskaj serce moje, Boże Trójjedyny,
Boś dotąd pukał jeno, szeptał, błyskał, winy
Me przeliczał, naprawiał. Lecz bym wznieść się mógł,
Musisz Zgiąć mnie z wszechsiły i obalić z nóg,
Złamać, zmiażdżyć, przepalić i nowym uczynić.*

*Jam jak miasto pod szturmem wroga, cytadela
Zdobyta, trudzę się, by przyjąć odsiecz Bożą,
Gdy Rozsądek, Twój we mnie namiestnik zatrwożon,
Przez zło opętan, słaby i udręczon wiela,
Miota się, zniewolony od nieprzyjaciela*

*Nie broni mnie. Jam, Panie, wroga oblubieniec,
Lecz ogromnie Cię kocham. I miłości wzajem
Pragnę Twojej, choć czasem niewiernym się staję.
Rozwiedź mnie. Rozszarp węzeł. Weź mnie jak w więzieniu
W siebie. I od małości uwolń. Zwiąż przybędę —
I posiądź — zgwałć — bo jeno wtedy czysty będę*.*

Mój ulubiony wiersz Johna Donne'a. Wszedł we mnie, wszedł w mój umysł, kiedy patrzyłam, jak Bill Lundborg karmi mojego starego kota.

Śmieję się Bogu w twarz, pomyślałam, nie rozumiem nic z tego, czego Tim naucza i w co wierzy, nie rozumiem rozterek, jakie odczuwa w związku z tymi różnymi sprawami. Nie, sama się oszukuję. Na swój własny pokrętny sposób rozumiem wszystko. Popatrzcie na niego, jak obsługuje tego głupiego kota. To dziecko mogłoby zostać weterynarzem, gdyby go nie okaleczono, nie poszatkowano mu mózgu. Co mówiła Kirsten? Że boi się prowadzić auto, przestaje wynosić śmieci, nie kąpie się i potem płacze. Ja też płaczę, pomyślałam, i czasami pozwalam, żeby mi się nabierało śmieci, a kiedyś na Hoffmana o mało mnie nie potracono i musiałam zjechać do krawężnika, by się uspokoić. Zamknijcie mnie, pomyślałam, zamknijcie nas wszystkich. To jest więc nieszczęście Kirsten, to, że ten chłopiec jest jej synem.

— Czy jest jeszcze coś, co mogę jej dać? — spytał Bill. — Jest nadal głodna.

— Wszystko, co znajdziesz w lodówce. A ty chciałbyś coś zjeść?

— Nie, dziękuję. — I znów głaskał tego okropnego starego kocura, który nigdy nikomu nie okazywał sympatii. Oblaskawił tego zwierzaka, pomyślałam, i sam jest taki: obłaskawiony.

— Czy przyjechałeś tu autobusem? — spytałam.

— Tak. — Kiwnął głową. — Musiałem oddać prawo jazdy. Kiedyś prowadziłem, ale... — Umilkł.

— Ja też jeżdżę autobusem — powiedziałam.

*Przekład Aleksander Mierzejewski.

— Miałem naprawdę wspaniały wóz — mówił Bill. — Chevy pięćdziesiąt sześć. Dzwignia biegów z ósemką. To był dopiero drugi rok, kiedy robili ósemkę. Pierwszy był pięćdziesiąty piąty.

— To są bardzo cenne samochody — powiedziałam.

— Tak. Chevrolet zmienił potem styl karoserii. Po starej, wyższej i krótszej karoserii, którą robili przez tyle lat. Modele pięćdziesiąt pięć i pięćdziesiąt sześć różnią się atrapą. Jeżeli atrapa obejmuje kierunkowskazy, to wiadomo, że to pięćdziesiąt sześć.

— Gdzie mieszkasz? — spytałam. — W mieście?

— Nigdzie nie mieszkam. Wyszedłem z Napa w zeszłym tygodniu. Wypuścili mnie, bo Kirsten jest chora. Przyjechałem tu autostopem. Jeden mężczyzna podwiózł mnie swoim stingrayem. — Uśmiechnął się. — Te korwety trzeba co tydzień wyprowadzać na autostradę, bo im się w tłumiku gromadzi węgiel. Przez całą drogę ciągnął się za nami czarny dym. Nie podoba mi się w tych korwetach, że mają karoserię z włókna szklanego i nie można ich reperować. Ale wyglądają ładnie — dodał. — Jego była biała. Zapomniałem z jakiego roku, chociaż mi mówił. Dociągnęliśmy do setki, ale gliny polują na korwety, licząc na to, że się przekroczy szybkość. Jechał za nami patrol drogowy, ale musiał włączyć syrenę i przyśpieszyć, widocznie zdarzył się jakiś wypadek. Pokazaliśmy mu, kiedy nas mijał. Był wściekły, ale nie mógł nas spisać, bo za bardzo się spieszył.

W tym momencie spytałam go najbardziej taktownie, jak umiałam, po co do mnie przyjechał.

— Chciałem panią o coś spytać — powiedział Bill. — Poznałem kiedyś pani męża. Pani nie było w domu, pracowała pani czy coś. Mąż był tutaj sam. Czy on miał na imię Jeff?

— Tak — odpowiedziałam.

— Chciałem się dowiedzieć... — Bill się zawahał. — Mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego on się zabił?

— Przy czymś takim zawsze wchodzi w grę wiele czynników. — Usiadłam przy stole na wprost niego.

— Wiem, że kochał się w mojej matce.

— O, więc wiesz.

— Tak. Kirsten mi powiedziała. Czy to był główny powód?

— Może.

— A jakie były inne powody?

Nie odpowiedziałam.

— Może mi pani powiedzieć jedną rzecz? — spytał Bill. — Czy on miał zaburzenia psychiczne?

— Leczył się, ale nie było to nic poważnego.

— Zastanawiałem się nad tym — mówił Bill. — Był zły na ojca z powodu Kirsten. Dużo zależało od tego. Widzi pani, kiedy się jest w szpitalu, w szpitalu psychiatrycznym, poznaje się wiele osób, które próbowały się zabić. Przeguby rąk mają całe pocięte. Po tym od razu można poznać. Najlepszy sposób, kiedy się to robi, to ciąć wzdłuż żyły w górę ręki. — Pokazał mi na swoim przedramieniu. — Większość ludzi robi błąd i tnąc prostopadle do żyły na przegubie. Mieliśmy tam jednego człowieka, który rozciął sobie rękę na jakieś siedem cali i... — Zamilkł, dokonując obliczenia. — Może na ćwierć cala szeroko. Ale i tak go zeszyli. Był tam od wielu miesięcy. Powiedział kiedyś na terapii grupowej, że chciałby być tylko parą oczu wystających ze ściany, żeby on mógł widzieć wszystkich, a jego nikt. Być tylko obserwatorem i nie uczestniczyć w tym, co się dzieje. Tylko patrzeć i słuchać. W takim razie musiałby też być parą uszu.

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Paranoicy boją się spojrzeń — mówił Bill. — Dla nich niewidzialność byłaby najlepsza. Była tam jedna pani, która nie mogła jeść przy ludziach. Zawsze zabierała tacę do pokoju. Widocznie uważała, że jedzenie to coś nieprzyzwoitego — powiedział z uśmiechem. Udało mi się odpowiedzieć mu lekkim skrzywieniem ust.

Jakie to dziwne, pomyślałam. Co za niesamowita rozmowa, jakaś zupełnie nierzeczywista.

— Jeff był bardzo wrogo nastawiony — mówił Bill. — Do ojca i do Kirsten i może do pani, ale chyba do pani najmniej. Rozmawialiśmy o pani wtedy, jak przyszedłem. Zapomniałem, kiedy to było. Miałem dwudniową przepustkę. Wtedy też przyjechałem autostopem. To nie takie trudne. Zabrała mnie ciężarówka, chociaż był na niej napis „Zakaz przewozu pasażerów”. Wiozła jakieś chemikalia, ale nie trujące. Kiedy wiozą materiały łatwopalne albo trujące, nikogo nie zabierają, bo jeżeli dojdzie do wypadku i pasażer zginie albo zostanie otruty, mogą stracić ubezpieczenie.

Znów nie wiedziałam, co powiedzieć. Kiwnęłam tylko głową.

— Prawo mówi, że kiedy autostopowicz zostaje ranny albo zabity w wypadku, zakłada się, że jechał na własną odpowiedzialność. Sam podjął ryzyko. Dlatego w razie wypadku autostopowicz nie może wystąpić do sądu. Tak jest w Kalifornii. Nie wiem, jak jest w innych stanach.

— Tak — powiedziałam. — Jeff był bardzo zły na swojego ojca.

— A czy pani czuje wrogość do mojej matki?

— Tak — powiedziałam po chwili namysłu. — Z pewnością tak.

— Dlaczego? Przecież to nie była jej wina. Każdy, kto odbiera sobie życie, musi wziąć za to pełną odpowiedzialność. Tego nas uczono. Człowiek dużo się uczy w szpitalu. Wie masę rzeczy, o których ludzie z zewnątrz nigdy się nie dowiedzą. Przechodzimy tam przyspieszony kurs rzeczywistości, co jest... — tu zrobił nieokreślony ruch ręką — wielkim paradoksem. Bo ludzie, którzy tam trafiają, podobno nie mają kontaktu z rzeczy-

wistością, a lądują w szpitalu, w szpitalu psychiatrycznym takim jak Napa, i nagle muszą stanąć wobec rzeczywistości znacznie bardziej brutalnej, niż dla innych, i wywiązują się z tego bardzo dobrze. Widziałem rzeczy, z których byłem bardzo dumny, pacjentów pomagających innym pacjentom. Kiedyś jedna pani, tak koło pięćdziesiątki, spytała mnie, czy może mi zaufać. Kazała mi dać słowo, że nikomu nie powiem. Obiecałem dotrzymać tajemnicy. Powiedziała mi wtedy, że tej nocy się zabije. Powiedziała mi też, jak to zrobi. To nie był oddział zamknięty. Ona miała na parkingu samochód i kluczyk, o którym oni nie wiedzieli. Oni, to znaczy personel, myśleli, że mają wszystkie jej klucze, ale ona sobie jeden zostawiła. Zastanawiałem się, co mam robić. Czy powiedzieć doktorowi Gutmanowi? On był ordynatorem oddziału. Zrobiłem tak, że wymknąłem się na parking, wiedziałem, który samochód jest jej, i usunąłem przewód, który łączy... pani i tak nie wie... przewód między cewką zapłonową a rozdzielaczem. Jak nie ma tego przewodu, nie można uruchomić silnika. Łatwo to zrobić. Kiedy się zostawia samochód w podejrzanym miejscu i nie chce się, żeby go ukradziono, można ten przewód wyciągnąć, wychodzi bardzo łatwo. Ta kobieta próbowała uruchomić silnik, póki jej się nie wyczerpał akumulator, i musiała wrócić. Była wściekła, ale potem mi podziękowała. — Zamyślił się na chwilę, a potem powiedział na wpół do siebie: — Chciała się zderzyć na moście z samochodem jadącym z przeciwnej strony. Uratowałem więc i tamtego, w tym drugim aucie. Mogło to być kombi pełne dzieciaków.

— Wielki Boże — wyszeptalam.

— To była decyzja, którą musiałem podjąć natychmiast. Jak tylko się dowiedziałem, że ona ma kluczyki, musiałem coś zrobić. To był wielki mercedes. Srebrny, prawie nowy. Ona miała dużo pieniędzy. Kiedy się w takiej sytuacji nic nie robi, to tak, jakby się im pomagało.

— Może lepiej byłoby powiedzieć doktorowi? — spytałem.

— Nie. — Bill potrząsnął głową. — Wtedy ona... trudno to wytłumaczyć. Ona wiedziała, że zrobiłem to, żeby uratować jej życie a nie, żeby narobić jej kłopotów. Gdybym powiedział komuś z personelu, zwłaszcza doktorowi Gutmanowi, pomyślałaby, że chcę ją tam zatrzymać na następne dwa miesiące. A tak oni nic nie wiedzieli i nie zatrzymali jej dłużej, niż początkowo planowali. Kiedy wyszedłem... ona wyszła przede mną... odwiedziła mnie w moim mieszkaniu, dałem jej adres. Przyjechała tym samym mercedesem, poznałem go, kiedy podjechała, chciała się dowiedzieć, jak sobie radzę.

— A jak sobie radziłeś? — spytałem.

— Kiepsko. Nie miałem pieniędzy na komorne i mieli mnie wyrzucić. Ona miała dużo pieniędzy, jej mąż był bogaty. Mieli domy w całej Kalifornii, aż do San Diego. Poszła do samochodu i wróciła z rulonem, jak myślałem, pięciocentówek. Wie pani, taki rulon monet. Kiedy wyszła, otworzyłem rulon z jednego końca i zobaczyłem, są w nim złote monety. Powiedziała mi później, że trzyma większość swoich pieniędzy w złocie.

Te monety były z jakiejś kolonii brytyjskiej. Powiedziała mi, że kiedy będę sprzedawał monety, mam podkreślić, że są prosto z mennicy. To znaczy nowe w żargonie handlarzy. Taka moneta jest więcej warta od używanej. Dostałem około dwunastu dolarów za sztukę, kiedy je sprzedawałem. Jedną sobie zatrzymałem, ale ją zgubiłem. Dostałem coś około sześciuset dolarów za ten rulon bez jednej monety. — Odwróciwszy się, spojrział na kuchenkę. — Woda się pani gotuje.

Nalałam wody do kubka.

— Kawa filtrowana — powiedział Bill — nie gotowana, jest dużo zdrowsza niż kawa z maszynki, gdzie tryska do góry i spływa na dół.

— To prawda — przyznałam.

— Dużo myślałem o śmierci pani męża — powiedział Bill. — Sprawiał wrażenie naprawdę miłego człowieka. Czasami jest z tym kłopot.

— Dlaczego? — spytałam.

— Wiele chorób psychicznych bierze się z tego, że ludzie tłumią w sobie wrogość i starają się być mili za wszelką cenę. Wrogości nie da się tłumić bez końca. Każdy ją w sobie nosi i w końcu musi się ujawnić.

— Jeff był bardzo spokojny — powiedziałam. — Trudno go było sprowokować do kłótni w małżeńskich sprzeczkach, to ja zwykle się wściekałam.

— Kirsten mówi, że on brał prochy.

— Nie myślę, żeby to była prawda.

— Wiele osób ma kłopoty psychiczne z powodu narkotyków. W szpitalu jest ich pełno. Nie zawsze im to zostaje, wbrew temu, co się słyszy. Główną przyczyną tego jest niedożywienie. Ludzie, którzy zażywają narkotyki, zapominają o jedzeniu, a jak już jedzą, to takie śmieciowe jedzenie. Mięśnie. Każdy, kto bierze narkotyki, ma niedowłady, chyba że, oczywiście, biorą amfetaminę, i wtedy nie jedzą wcale. Wiele z tego, co u narkomanów wygląda na psychozy na tle zatrucia mózgu, to w istocie brak odpowiednich jonów, które można łatwo uzupełnić.

— Gdzie pracujesz? — spytałam.

Wydawał się teraz mniej onieśmielony. Pewniejszy tego, co mówił.

— Jestem malarzem.

— Do którego z artystów...

— Maluję samochody — uśmiechnął się łagodnie. Sprayem. U Leo Shine'a w San Mateo. „Polakieruję twój samochód na dowolny kolor za czterdzieści dziewięć pięćdziesiąt i dam ci półroczną gwarancję na piśmie”. — Roześmiał się, ja też. Widziałam reklamy Leo Shine'a w telewizji.

— Bardzo kochałam mojego męża — powiedziałam.

— Czy miał zostać pastorem?

— Nie. Nie wiem, kim miał być.

— Może nie miał zostać nikim. Ja chodzę na kurs dla programistów komputerowych. Teraz uczę się algorytmów. Algorytm to nic innego jak przepis, jak przy pieczeniu ciasta. Jest to sekwencja kolejnych kroków, czasami wykorzystujących wbudowane powtórzenia, bo niektóre kroki trzeba powtarzać. Najważniejszą rzeczą w algorytmie jest, żeby był rozwiązywalny. Bardzo łatwo można niechcący zadać komputerowi pytanie, na które nie potrafi odpowiedzieć. Nie dlatego, że jest głupi, ale dlatego, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

— Rozumiem — powiedziałam.

— Czy uznałaby pani za rozwiązywalne pytanie „Podaj mi największą liczbę pierwszą minus dwa”?

— Tak — powiedziałam. — To jest rozwiązywalne.

— Otóż nie. Nie ma takiej liczby.

— Ja znam tę liczbę. To jest jeden przecinek dziewięć, plus... — umilkłam.

— Musiałyby pani kontynuować ten ciąg cyfr do nieskończoności. To pytanie jest pozbawione sensu, a więc algorytm jest błędny. Żąda pani od komputera, żeby zrobił coś, czego zrobić nie może. Jeżeli zagadnienie jest nierozwiązywalne, komputer nie może dać odpowiedzi, ale będzie próbował do nieskończoności.

— Kto wkłada śmieci, ten śmieci wyjmuje.

— Otóż to. — Kiwnął głową.

— Teraz ja ci zadam pytanie. W rewanżu. Powiem ci przysłowie. Znane przysłowie. Jeżeli go nie znasz...

— Ile będę miał czasu?

— To nie jest na czas. Powiesz mi tylko, co to przysłowie znaczy, „Nowa miotła do brze zamiata”. Co to znaczy?

Bill zastanowił się przez chwilę.

— To znaczy, że stare miotły się zdzierają i trzeba je wyrzucić.

— „Kto się raz oparzy, ten na zimne dmucha”.

Bill znów milczał przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

— Łatwo się jest oparzyć, zwłaszcza przy takim piecu jak ten. — Wskazał mój piec kuchenny.

— „Wpaść z deszczu pod rynnę”. — Ale już wiedziałam. Bill Lundborg nie był zdolny do prawidłowego myślenia i nie potrafił wyjaśnić przysłowia. Zamiast tego powtarzał je w kategoriach konkretnych, w jakich właśnie zostało sformułowane.

— Czasami — powiedział z wahaniem — bardzo pada. Zwłaszcza, jak się nie spodziewamy.

— „Próżności, tyś jest kobietą”.

— Kobiety są próżne. To nie jest przysłowie, to cytat z czegoś.

— Masz rację — powiedziałam. — Odpowiedziałeś bardzo dobrze. — Ale naprawdę, zaprawdę, jak by powiedział Tim, jak mawiał Jezus, jak mówili sadokitów, ten chłopiec na podstawie Testu Przysłów Benjamina był totalnym schizofrenikiem. Uświadomiwszy to sobie, poczułam nieokreślony dojmujący ból, patrząc, jak siedzi naprzeciwko mnie taki młody i fizycznie zdrowy, i tak niezdolny do przejścia z poziomu symboli i abstrakcyjnego myślenia do rzeczy konkretnych. Cierpiał na klasyczne schizofreniczne zaburzenie procesu poznawczego. Jego myślenie ograniczało się wyłącznie do konkretów.

Możesz zapomnieć o programowaniu komputerowym, pomyślałam. Będziesz natryskiwać lakierem samochody do dnia Sądu Ostatecznego, który uwolni nas od naszych trosk. Uwolni mnie, ciebie, nas wszystkich. I wtedy twój biedny umysł zostanie zapewne uleczony. Przeniesiony w pierwszą przechodzącą świnie, która skoczy z urwiska w nicłość. Tam gdzie jej miejsce.

— Przepraszam na chwilę — powiedziałam i wyszłam do kuchni w drugi koniec domu, jak najdalej od Billa Lundborga, i przywarłam do ściany z twarzą wtuloną w ramie. Czułam na skórze swoje ciepłe łzy, ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku.

7

Wyobraziłam sobie, że jestem Jeffem, płaczącym w samotności gdzieś w ustronnym kącie domu, płaczącym nad kimś, kogo Kocham. Kiedy to się skończy? — zastanawiałam się. To się musi skończyć, a tymczasem końca nie widać; trwa ciąg eksplozji, jakby komputer Billa Lundborga usiłował wyliczyć, ile to jest największa liczba minus jeden, beznadziejne zadanie.

Niedługo potem Kirsten wyszła ze szpitala. Stopniowo odzyskiwała siły po chorobie przewodu pokarmowego, na którą znaleziono lekarstwo, kiedy ona i Tim wrócili z Anglii. Przed jej wyjazdem ze Stanów dowiedziałam się od niej, że Bill trafił do więzienia. Znalazł pracę na poczcie, skąd go następnie zwolniono. Jego reakcją na to zwolnienie było stłuczenie szyby w oddziale pocztowym w San Mateo. Wybił ją gołą pięścią. Wyraźnie znów popadł w szaleństwo. Jeżeli można powiedzieć, że kiedykolwiek z niego wyszedł.

W ten sposób straciłam kontakt ze wszystkimi: nie widziałam Billa od dnia, kiedy mnie wtedy odwiedził, kilka razy spotkałam się z Kirsten i Timem, częściej z nią niż z Timem, a potem znalazłam się zupełnie sama, niezbyt szczęśliwa, pogrążona w rozmyślaniach o sensie świata — zakładając, że ma on jakiś sens. Podobnie jak zdrowie psychiczne Billa Lundborga była to rzecz mocno wątpliwa.

Pewnego dnia biuro prawne i sklep ze świecami zakończyły działalność. Moi dwaj pracodawcy zostali zamknięci pod zarzutem handlu narkotykami. Spodziewałam się

tego prędzej czy później. Handel kokainą był bardziej opłacalny niż handel świecami. Kokaina nie była wówczas tak modna jak dzisiaj, ale mimo to popyt stanowił pokusę, której moi pracodawcy nie potrafili się oprzeć. Władze skwitowały ich brak odporności na pokusę dużej gotówki, dając im po pięć lat więzienia. Przez kilka miesięcy byłam zawieszona w próżni i pobierałam zasiłek dla bezrobotnych, a potem udało mi się dostać pracę sprzedawczyni płyt w sklepie muzycznym na Telegraph Avenue niedaleko Channing, gdzie pracuję do teraz.

Psychoza ma wiele postaci. Można wykazywać psychotyczny stosunek do wszystkiego, a można się skupić na jednym temacie. Bill reprezentował demencję wszechobecną: szaleństwo przeniknęło do wszystkich zakamarków jego życia; tak mi się przynajmniej wydaje.

Szaleństwo ograniczone do jednej idei jest fascynujące, jeżeli ktoś znajduje upodobanie w przyglądaniu się czemuś, co jest absolutnie niemożliwe, a mimo to istnieje. Nadwartościowość jest pojęciem dotyczącym możliwości ludzkiego umysłu, możliwości popsucia się czegoś, czego nie można by wymyślić, gdyby nie istniało. Chcę przez to po prostu powiedzieć, że trzeba zobaczyć taką nadwartościową ideę w działaniu, żeby ją w pełni docenić. Dawniej nazywano to *idée fixe*. Określenie „idea nadwartościowa” zostało zaczerpnięte z mechaniki, chemii i biologii i jest bardziej obrazowe, a także wiąże się z pojęciem mocy. Istotą wartościowości jest moc, i to jest to, o co mi chodzi. Mówię o idei, która raz zagnieżdżisz się w ludzkim umyśle, w umyśle konkretnego człowieka, nie tylko go już nie opuszcza, ale pożera wszystko inne w tym umyśle, tak że w końcu przestaje istnieć dana osoba, przestaje istnieć umysł jako taki i pozostaje wyłącznie ta nadwartościowa idea.

Skąd się coś takiego bierze? Kiedy się to zaczyna? Jung pisze gdzieś — zapomniałam, w której z jego książek jest o tym mowa — w każdym razie mówi o człowieku, o normalnym człowieku, któremu przychodzi do głowy pewna myśl i nigdy już go nie opuszcza. Co więcej, mówi Jung, z chwilą kiedy ta myśl przeniknie do umysłu tego człowieka, w tym umyśle ani z tym umysłem nigdy już nie dzieje się nic nowego. Czas się dla niego zatrzymuje, jest martwy. Ten umysł jako żyjąca, rozwijająca się całość umarł, a jednak osoba w pewnym sensie żyje nadal.

Czasami, jak sądzę, nadwartościowa myśl zakrada się do umysłu jako problem lub też wymaginowany problem. To nie jest wcale takie rzadkie. Powiedzmy, że późno wieczorem szykujesz się do spania i nagle przychodzi ci do głowy myśl, że nie wyłączyłaś świateł w samochodzie. Wyglądasz przez okno i widzisz, że w samochodzie, zaparkowanym przed domem w dobrze widocznym miejscu, światła się nie palą. Ale wtedy myślisz: „Może jednak zostawiłam światła, które paliły się tak długo, że wyczerpał się akumulator”. Żeby się więc upewnić, musisz wyjść i sprawdzić. Wkładasz szlafrok, wycho-

dzisz, otwierasz drzwi, wsiadasz i włączasz światła. Zapalają się. Wyłączasz je, wysiadasz, zamykasz samochód i wracasz do domu. Stało się — zwariowałaś, zostałaś psychotyczką. Dlatego, że odrzuciłaś świadectwo zmysłów. Widziałaś przez okno, że światła się nie palą, a mimo to i tak wyszłaś sprawdzić. To jest czynnik decydujący: widziałaś, ale nie uwierzyłaś. Albo na odwrót, nie widziałaś, a uwierzyłaś. Teoretycznie mogłabyś tak wędrować między sypialnią a samochodem bez końca, uwięziona w nieskończonej zamkniętej pętli otwierania samochodu, sprawdzania świateł, wracania do domu, Pod tym względem stałabyś się odtąd maszyną. Nie byłabyś już człowiekiem.

Nadwartościowa myśl może się również zrodzić niejako pytanie, ale jako odpowiedź.

Jeżeli taka myśl pojawia się jako problem, twój umysł będzie się przed nią bronił, bo nikt nie pożąda nowych problemów. Ale jeśli nadwartościowa myśl pojawia się jako rozwiązanie problemu, oczywiście rozwiązanie fałszywe, wówczas nie będziesz się przed nią bronił ze względu na jej wartość użytkową. Jest to coś, czego potrzebujesz i co sama wyczarowałaś, żeby tę potrzebę zaspokoić.

Istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, że wpadniesz w pętli; między swoim zaparkowanym samochodem a sypialnią na resztę życia, ale jest wielka szansa, że jeżeli jest się dręczonym przez poczucie winy, ból i wątpliwość, jeżeli codziennie przygniata człowieka nawałnica samooskarżeń, to *idée fixe*, która się pojawi jako rozwiązanie, może pozostać. To właśnie ujrzałam w przypadku Kirsten i Tima po ich powrocie z Anglii do Stanów, po ich drugim powrocie, kiedy Kirsten wyszła ze szpitala. Podczas ich kolejnego pobytu w Londynie opanowała ich umysły pewna myśl, nadwartościowa idea, i było po wszystkim.

Kirsten przyleciała kilka dni przed Timem. Nie odebrałam jej na lotnisku, spotkałam się z nią w jej pokoju na najwyższym piętrze hotelu St. Francis, na tym wzniosłym wzgórzu San Francisco, które chlubi się też Katedrą Miłosierdzia. Zastałam ją zajęta rozpakowywaniem licznych toreb i pomyślałam: mój Boże, jak ona odmłodziła! W przeciwieństwie do tego, jak wyglądała ostatnim razem, teraz... promieniała. Co się stało? Miała mniej zmarszczek na twarzy, poruszała się zręcznie i energicznie, a kiedy weszłam do pokoju, spojrzała na mnie z uśmiechem bez tych kwaśnych podtekstów i różnych ukrytych oskarżeń, do których przywykłam.

— Cześć — powiedziała.

— Świetnie wyglądasz.

Kiwnęła głową.

— Rzuciłam palenie. — Wyjęła z otwartej walizki zawiniętą paczuszkę.
— Przywiozłam ci parę rzeczy. Reszta płynie statkiem, zdołałam zabrać tylko to. Chcesz zaraz otworzyć?

— Nie mogę się nadziwić, jak dobrze wyglądasz.

— Nie uważasz, że zeszczuplałam? — Podeszła do jednego z luster.
— Chyba tak — powiedziałam.
— Wysłałam statkiem wielki kufer. Ach, ty go widziałaś. Pomagałaś mi się przecież pakować. Mam ci dużo do opowiedzenia.
— Przez telefon wspominałaś coś..
— Tak — powiedziała Kirsten.
Przysiadła na łóżku, sięgnęła po torebkę, otworzyła ją i wyjęła paczkę playerów. Uśmiechając się do mnie, zapaliła.
— Myślałam, że rzuciłaś — powiedziałam.
Mechanicznie zgasła papierosa.
— Czasami palę z przyzwyczajenia. — Przez cały czas uśmiechała się do mnie w jakiś szalony, ale zamaskowany, tajemniczy sposób.
— No dobrze. Mów, o co chodzi.
— Zobacz tutaj, na stole.
Spojrzałam. Na stole leżał duży notes.
— Otwórz go — powiedziała Kirsten.
— Dobrze. — Wzięłam do ręki notes i otworzyłam go. Niektóre strony były puste, ale większość była zapisana pismem Kirsten.
— Wrócił do nas Jeff. Z innego świata — powiedziała Kirsten.

Gdybym wtedy powiedziała: „Zupełnie ci odbiło, moja droga”, nie miałyby to najmniejszego znaczenia, toteż nie mam do siebie pretensji, że tego nie zrobiłam.

Powiedziałam zamiast tego: — O, co ty powiesz. — Spróbowałam odczytać jej pismo, ale bez skutku. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zjawiska psychiczne. Tak to z Timem nazywamy. Wbijają mi w nocy igły pod paznokcie i nastawia budziki na szóstą trzydzieści, godzinę swojej śmierci.

— Coś takiego.

— Prowadziliśmy zapis — powiedziała Kirsten. — Nie chcieliśmy pisać ci o tym w liście ani mówić przez telefon, chcieliśmy opowiedzieć ci o tym osobiście. Dlatego czekałam do dzisiaj. — W podnieceniu uniosła ręce. — Angel, on do nas wrócił!

— Ja pierdolę — powiedziałam bez zastanowienia.

— Setki zdarzeń. Setki zjawisk. Zejdźmy do baru. Zaczęło się to zaraz po naszym powrocie do Anglii. Tim poszedł do medium. Medium potwierdziło, że to prawda. Sami wiedzieliśmy, że to prawda, nikt nie musiał nam tego mówić, ale chcieliśmy się upewnić, bo należało wykluczyć możliwość, że to tylko *poltergeist*. Ale tak nie jest! To Jeff!

— Niech mnie diabli — powiedziałam.

— Myślisz, że żartuję?

— Nie — powiedziałam całkiem szczerze.

— Bo oboje widzieliśmy to na własne oczy. Winchellowie także widzieli, nasi przyjaciele z Londynu. A teraz, kiedy już jesteśmy w Stanach, chcemy, żebyś ty też to zobaczyła i zrobiła notatki do nowej książki Tima. Pisze o tym książkę, bo to jest ważne nie tylko dla nas, ale dla wszystkich, gdyż dowodzi, że po śmierci tutaj człowiek żyje w innym świecie.

— Tak — powiedziałam. — Chodźmy do tego baru.

— Książka Tima ma tytuł *Z tamtego świata*. Dostał już dziesięć tysięcy dolarów za liczkę, jego wydawca uważa, że to będzie bestseller.

— Jestem wstrząśnięta.

— Wiem, że mi nie wierzysz. — Jej głos brzmiał teraz sucho, z odcieniem gniewu.

— Skąd miałyby mi przyjść do głowy, żeby ci nie wierzyć? — spytałam.

— Bo ludzie nie mają wiary.

— Może jak przeczy tam ten notatnik.

— On, to znaczy Jeff, szesnaście razy podpalał mi włosy.

— Coś takiego!

— I potłukł wszystkie lustra w naszym mieszkaniu. Nie raz, ale kilka razy. Wstawaliśmy rano i wszystkie lustra były roztrzaskane, a my nic nie słyszeliśmy, żadne z nas nic nie słyszało. Doktor Mason — to on jest tym medium, do którego poszliśmy — mówi, że Jeff chce nam dać do zrozumienia, że nam przebacza. Tobie też przebacza.

— Och!

— Możesz sobie darować ten sarkazm — powiedziała Kirsten.

— Naprawdę szczerze próbuję nie być sarkastyczna, ale, jak widzisz, jest to dla mnie zbyt wielkim zaskoczeniem. Brak mi słów. Zapewne po jakimś czasie dojdę do siebie.

Poszłam w stronę drzwi.

Edgar Barefoot w jednym ze swoich radiowych wykładów omawiał formę logiki konkluzywnej wypracowanej przed wiekami w Indiach. Budziła ona wielkie zainteresowanie nie tylko w Indiach, ale i na Zachodzie. Jest to alternatywna metoda poznania, za pomocą której człowiek może osiągnąć prawidłowe poznanie, i nazywa się w sanskrycie *anumana*, czyli „mierzenie poprzez jakąś inną rzecz, pośrednio”. Ma ona pięć stopni i nie będę się wdawać w zawiłe szczegóły, ale ważne jest to, że jeżeli się prawidłowo przejdzie przez te pięć stopni (a system jest wyposażony w zabezpieczenia pozwalające precyzyjnie określić, czy się ich rzeczywiście przestrzegało), ma się pewność dojścia od założenia do prawidłowego wniosku.

To, co szczególnie wyróżnia *anumanę*, to krok trzeci, objaśnienie (*udaharana*), wymagający niewątpliwej zbieżności (*vyapti*, dosłownie „ogarnięcie”). Ta forma rozumowania dedukcyjnego działa wyłącznie, jeżeli człowiek jest absolutnie pewien, że naprawdę chodzi o *vyapti* — nie o zbieżność, ale o niewątpliwą zbieżność. Na przykład, późnym wieczorem słyszysz głośny, ostry odgłos wybuchu i mówisz sobie: „To w samochodzie

strzela silnik, bo kiedy następuje samozapłon, powstaje taki właśnie dźwięk”. Tu właśnie załamuje się rozumowanie konkluzywne, to jest idące od skutku do przyczyny. Dlatego też wielu zachodnich logików uważa, że rozumowanie indukcyjne jest podejrzane jako takie, i że można polegać wyłącznie na rozumowaniu dedukcyjnym. Hinduska *anumana* dąży do tego, co nazywa się wystarczającym uzasadnieniem. Dowód wymaga realnej, a nie domyślnej obserwacji, przy czym nie wolno założyć związku między zdarzeniami, który nie zostanie wykazany. Na Zachodzie nie mamy sylogizmu, który byłby dokładnym odpowiednikiem *anumany*, i wielka szkoda, bo gdybyśmy rozporządzali tak rygorystycznym narzędziem do kontrolowania naszego myślenia indukcyjnego, biskup Timothy Archer pewnie by je znał, a gdyby je znał, wiedziałby, że kiedy jego kochanka budzi się z nadpalonymi włosami, to nie wynika z tego, iż duch jego zmarłego syna wrócił z za grobu, że przybył z innego świata. Biskup Archer mógł szermować takimi terminami, jak *hysteron proteron*, ponieważ ten błąd logiczny jest znany myśli greckiej, czyli zachodniej. Ale *anumana* pochodzi z Indii. Hinduscy logicy wyróżniali typowy błąd rujnujący *anumanę* i nazwali go *hetvabhāsa* („pozorne uzasadnienie”), a to dotyczy tylko jednego z pięciu kroków *anumany*. Zbadali oni najróżniejsze sposoby podważenia tej pięciopiętrowej budowli i człowiek z inteligencją i wykształceniem biskupa Archera powinien każdą z nich przejrzeć bez trudu. Fakt, że parę dziwnych, nie wyjaśnionych wydarzeń mogło go przekonać, iż Jeff nie tylko gdzieś tam żyje, ale usiłuje jakoś porozumieć się z żyjącymi, dowodzi, że podobnie jak z Wallensteinem i jego astrologicznymi wykresami w czasie wojny trzydziestoletniej, zdolność do prawidłowej oceny sytuacji jest zmienna i w ostatecznym rachunku zależy od tego, w co chcemy wierzyć. Hinduski logik sprzed wielu stuleci na pierwszy rzut oka dostrzegłby podstawowy błąd w rozumowaniu prowadzącym do przekonania o nieśmiertelności Jeffa. W ten sposób chęć wiary wypiera racjonalny umysł, ilekroć zachodzi między nimi konflikt. Do takiego wniosku doszłam, patrząc na to, co się działo.

Myślę, że postępujemy tak wszyscy i to często, ale ta sprawa była zbyt jaskrawa, zbyt oczywista, żeby przejść nad tym do porządku dziennego. Pomyłony syn Kirsten, jawny schizofrenik, potrafił wyjaśnić, dlaczego pytanie komputera, ile wynosi największa liczba minus jeden, jest zadaniem pozbawionym sensu, ale biskup Timothy Archer, prawnik, uczony, zdrowy na umyśle dorosły człowiek, mógł zobaczyć szpilkę na przesćcieradle obok swojej kochanki i wyciągnąć z tego wniosek, że jego zmarły syn daje mu znak z zaświatów. Co więcej, Tim spisywał to wszystko w książce, która miała być opublikowana i czytana; on w to wszystko wierzył w sposób jawny.

„Poczekaj, aż świat o tym usłyszy”, mówili biskup Archer i jego kochanka. Może zwycięstwo w procesie o herezję przekonało biskupa, że jest nieomylny, a jeżeli nawet w czymś pobłądzi, to i tak nikt mu tego nie udowodni! Nie miał racji w obu sprawach: mógł się mylić i byli ludzie, którzy mogli go obalić. Jeżeli o to chodzi, sam mógł się pograżyć.

Widziałam to wszystko jasno, siedząc tamtego dnia z Kirsten w jednym z barów hotelu St. Francis. I nic nie mogłam poradzić. Ich *idée fixe*, będąc nie problemem, ale rozwiązaniem, nie podlegała perswazji, mimo że w ostatecznym rozrachunku sama stawała się problemem. Usiłowali rozwiązać jeden problem za pomocą innego. To nie jest metoda, nie rozwiązuje się problemu za pomocą innego, większego problemu. Hitler, który niepokojąco przypominał Wallensteina, chciał w ten sposób wygrać drugą wojnę światową. Tim mógł mi wypominać rozumowanie *hysteron proteron* do upadłego, a potem samemu paść ofiarą okultystycznych nonsensów z tandetnych broszurek. Równie dobrze mógłby uwierzyć, że Jeff wrócił na ziemię ze starożytnymi astronautami z innego układu gwiazdowego.

Myślenie o tym sprawiało mi ból. Czułam ból w nogach, wszędzie. Biskup Archer, który mnie hysteronował proteronował tam i z powrotem, on biskup, a ja młoda kobieta po wydziale humanistycznym uniwersytetu — słyszałam, jak któregoś wieczoru Edgar Barefoot mówił o tej hinduskiej sztuczce, i więcej wiedziałam, więcej mogłam zrobić niż biskup Kalifornii. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo biskup Kalifornii nie miał zamiaru mnie słuchać, tak samo jak kogokolwiek poza swoją kochanką, która podobnie jak on, tak była przejęta poczuciem winy i tak pogrążona w intrygach i kłamstwach wynikających z ich ukrywanego związku, że od dawna już nie była w stanie myśleć normalnie. Bill Lundborg, siedzący teraz w więzieniu, mógłby ich wyprowadzić z błędu. Pierwszy lepszy taksówkarz mógłby im powiedzieć, że z premedytacją rujną sobie życie. Nie tylko dlatego, że w coś takiego wierzą, chociaż już samo to jest wystarczająco destrukcyjne, ale dlatego, że postanowili to opublikować. Świetnie, biskupie. Zrób to. Zniszcz swoje cholerne życie. Wykreślaj mapy nieba, stawiaj horoskopy, podczas gdy na świecie szaleje najbardziej niszczycielska ze wszystkich wojen. To ci zapewni miejsce w historii — na oślej ławce. Posadzą cię w kącie na wysokim stołku, dadzą spiczastą czapkę z papieru, zmarnujesz całą tę gównianą działalność społeczną, którą prowadziłeś wspólnie z najlepszymi umysłami naszych czasów. Za to oddał życie doktor Martin Luther King junior. Po to maszerowałeś w Selmie: żeby uwierzyć, i publicznie oświadczyć, że wierzysz, iż duch twojego zmarłego syna wbija w nocy igły pod paznokcie twojej kochance. Koniecznie to opublikuj. Zrób to dla mnie.

Błąd logiczny polega, rzecz jasna, na tym, że Kirsten i Tim rozumują wstecz, od skutku do przyczyny. Nie widzieli przyczyny, widzieli tylko to, co nazywają „zjawiskami”, i na podstawie tych zjawisk doszli do przekonania, że to Jeff jest tajną przyczyną działającą z „innego świata”. Metoda *anumany* wykazuje, że to indukcyjne rozumowanie nie jest w ogóle żadnym rozumowaniem. W *anumanie* zaczyna się od przesłanki i przechodzi się przez pięć poziomów do wniosku, a każdy poziom jest hermetycznie oddzielony od poprzedniego i następnego. Nie ma natomiast żadnej logiki we wnioskowaniu na podstawie potrzaskanych luster, nadpalonych włosów, zatrzymanych zegarków i po-

dobnych bzdur o istnieniu innej rzeczywistości, w której zmarli nie są zmarłymi. To dowodzi tylko, że jest się łatwowiernym i rozumuje się na poziomie sześciolatniego dziecka: nie bada się rzeczywistości, ale jest się pogrążonym w chciejstwie, w autyzmie. Tyle że jest to dziwny rodzaj autyzmu, bo obraca się wokół jednej myśli, nie obejmuje całej działalności umysłowej, nie pochłania całej uwagi. Poza zasięgiem tej jednej fałszywej przesłanki, tego jednego błędnego wniosku, człowiek pozostaje przytomny i zdrowy na umyśle. Jest to szaleństwo umiejscowione, pozwalające przez większość czasu normalnie mówić i funkcjonować. Dlatego takiego człowieka się nie zamyka, bo może on nadal zarabiać na życie, kąpać się, prowadzić samochód, wynosić śmieci. Nie jest szalony w tym sensie, w jakim szalony jest Bill Lundborg, a nawet (w zależności od tego, jak się zdefiniuje słowo „szaleństwo”) nie jest w ogóle szalony.

Biskup Archer mógł nadal wykonywać swoje obowiązki duszpasterskie. Kirsten mogła nadal robić zakupy w najlepszych sklepach w San Francisco. Żadne z nich nie wybiła gołą pięścią szyb na pocztę. Nie można aresztować kogoś za przekonanie, że jego syn przesyła mu wiadomości z innego świata ani, na przykład, za wiarę, że inny świat istnieje. Tutaj *idée fixe* przechodzi płynnie w religię, staje się częścią zaświatowej orientacji objawionych religii świata. Czym się różni wiara w niewidzialnego Boga od wiary w niewidzialnego syna? Co odróżnia jedną niewidzialność od drugiej niewidzialności? A jednak różnica istnieje, tyle że delikatna. Wiąże się ze śliską strefą powszechnej opinii. Wiele osób wierzy w Boga, ale mało kto wierzy, że Jeff Archer wbija igły pod paznokcie śpiącej Kirsten Lundborg. To jest cała różnica i kiedy się ją w ten sposób przedstawi, jej subiektywizm jest oczywisty. Ostatecznie Kirsten i Tim mają te cholerne igły, spalone włosy i rozbite lustro, nie mówiąc o stojących zegarach. Ale przy tym wszystkim ci dwoje popełniają logiczny błąd. Nie wiem, czy ludzie, którzy wierzą w Boga, popełniają błąd, bo ich system wierzeń nie podlega weryfikacji. To jest po prostu wiara.

A teraz zostałam oficjalnie zaproszona, żeby jako pełen nadziei widz oczekiwać na dalsze „zjawiska”, razem z Timem i Kirsten zaświadczyć, co widziałam, znaleźć się w przygotowywanej przez Tima książce, książce, która — jak powiedział jego wydawca — niewątpliwie przebije wszystkie jego poprzednie dzieła oparte na mniej sensacyjnym materiale. Jednak nie mogłam pozostać na uboczu. Jeff był moim mężem. Kochałam go i chciałam uwierzyć. Gorzej, wy czuwałam psychologiczny mechanizm napędzający wiarę Tima i Kirsten. Nie chciałam niszczyć ich wiary, albo łatwowierności, ponieważ wiedziałam, co zrobiliby z nimi cynizm: postawiliby ich przed pustką, postawiliby ich, ponownie, wobec przytłaczającego poczucia winy, z którą żadne z nich nie potrafiło sobie poradzić. Znalazłam się więc w sytuacji, w której nie mogłam odmówić. Musiałam udawać wiarę, udawać zainteresowanie, udawać zapał. Neutralność by tu nie wystarczyła, potrzebny był entuzjazm. Szkody powstały w Anglii, zanim ja zostałam w to wciągnięta. Decyzja zapadła beze mnie. Gdybym powiedziała, że to bzdury, robiliby swo-

je dalej, tylko ze złością. Pieprzyć cynizm, pomyślałam, siedząc tamtego dnia w barze hotelu St. Francis. Nie ma nic do stracenia ani do zyskania, zresztą i tak nie gra to roli: książka Tima zostanie napisana i wydana, ze mną czy beze mnie.

To jest niewłaściwe rozumowanie. Człowiek nie powinien dobrowolnie przyłączać się do czegoś tylko dlatego, że ma to aspekt nieuchronności. Ale w ten sposób wtedy rozumowałam. Widziałam to tak: gdybym powiedziała Kirsten i Timowi, co myślę, mogłabym ich już nigdy nie zobaczyć. Zostałabym odcięta, odrąbana i odrzucona, miałabym swoją pracę w sklepie z płytami, ale moja przyjaźń z biskupem Archerem byłaby skończona. Nie mogłam z niej zrezygnować, znaczyła dla mnie zbyt wiele.

To była moja błędna motywacja, moje pobożne życzenia. Chciałam ich nadal widywać. I dlatego zgodziłam się wziąć udział w zmoście, wiedząc, że biorę udział w zmoście. Owego dnia w hotelu St. Francis postanowiłam się zamknąć, zachować swoje opinie dla siebie, i zgodziłam się rejestrować spodziewane zjawiska, biorąc udział w czymś, co uważałam za głupotę. Biskup Archer rujnował swoją karierę, a ja wielokrotnie usiłowałam go przed tym przestrzec. Próbowałam przecież bezskutecznie wyperswadować mu romans z Kirsten. W tej sprawie nie tylko by mnie przegadał, ale by ze mną zerwał. Cena byłaby dla mnie zbyt wysoka.

Nie podzielałam ich *idée fixe*, ale postępowałam tak jak oni i mówiłam tak jak oni. Biskup Archer wymienia mnie w swojej książce; dziękuje mi za „nieocenioną pomoc” w „zapisywaniu i dokumentowaniu codziennych przejawów obecności Jeffa”, których przecież nie było. Podejrzewam, że na tym opiera się mechanizm świata, na ludzkiej słabości. Wszystko to sprowadza się do wiersza Yeatsa, w którym mówi, że „najlepsi tracą wszelką wiarę”, czy jak on tam ujmuje. Znasz ten wiersz, nie muszę go przytaczać.

„Kiedy strzelasz do króla, musisz go zabić”. Kiedy masz zamiar powiedzieć sławnemu na cały świat człowiekowi, że jest głupi, musisz liczyć się z faktem, że stracisz to, na stratę czego nie możesz sobie pozwolić. Trzymałam więc cholerny dziób na kłódkę, wypijałam swojego drinka, zapłaciłam za siebie i za Kirsten, podziękowałam za prezenty, które przywiozła mi z Londynu i obiecałam mieć oczy otwarte na niecodzienne zjawiska oraz na wszystko, co się będzie działo.

I gdybym musiała, zrobiłabym to jeszcze raz, bo bardzo ich oboje kochałam, i Kirsten, i Tima. Zależało mi na nich o wiele bardziej niż na mojej wiarygodności. Przyjaźń jawiła mi się jako coś wielkiego, a znaczenie wiarygodności — i stąd sama wiarygodność — kurczyło się, aż wreszcie znikło całkowicie. Pożegnałam się z prawdomównością, żeby podtrzymać przyjaźń. Ktoś inny będzie musiał ocenić, czy postąpiłam słusznie, bo ja wciąż nie potrafię spojrzeć na to obiektywnie. Nadal widzę tylko dwoje przyjaciół, którzy świeżo wrócili z kilkumiesięcznego pobytu za granicą, przyjaciół, za którymi tęskniłam... zwłaszcza po śmierci Jeffa... przyjaciół, niezbędnych mi do życia.

A gdzieś w głębi mnie tkwił ukryty czynnik, którego długo nie chciałam przyjąć do wiadomości: byłam dumna z tego, że znam kogoś, kto maszerował z doktorem Kingiem w Selmie, z kim przeprowadzał wywiad David Frost, czyje opinie współkształtowały współczesny świat intelektualny. Oto, gdzie kryła się istota wszystkiego. Określałam się sama wobec siebie jako synowa i przyjaciółka biskupa Archera.

To jest niewłaściwa motywacja i uświadomienie jej sobie stało się dla mnie ciosem. „Jestem znajomą biskupa Archera” mówił mój umysł sam do siebie w mroku nocy. Szeptał mi te słowa do ucha, umacniając moje dobre mniemanie o sobie. Ja też czułam się winna śmierci Jeffa i uczestnicząc w życiu i czasach, zwyczajach i obyczajach biskupa Archera, zapomniałam o własnych rozterkach, albo przynajmniej odczuwałam je mniej dotkliwie.

Ale w moim rozumowaniu kryje się błąd logiczny — jak również etyczny — którego nie dostrzegłam. Poprzez swoją łatwowierność i przesadną głupotę biskup Kalifornii miał zamiar roztrwonić swój autorytet, swoją moc wpływania na opinię publiczną, tę moc, która mnie tak w nim pociągała. Powinnam była to przewidzieć tamtego dnia w hotelu St. Francis — i postąpić inaczej. Biskup nie miał już długo pozostać wielkim człowiekiem, na własne życzenie przekształcał się bowiem z kapłana w błazna. W ten sposób wiele z tego, co mnie w nim pociągało, miało wkrótce zniknąć. Tak więc, pod tym względem żyłam podobnie jak on w świecie ułudy. Wtedy umknęło to mojej uwadze. Widziałam go wyłącznie takim, jaki był wówczas, a nie takim, jaki miał być za kilka lat. Ja też myślałam na poziomie sześciolatka. Nie popełniłam nic złego, ale nie zdziałałam też nic dobrego i niepotrzebnie tylko robiłam z siebie wariatkę. Nic dobrego z tego nie wyszło i kiedy oglądam się za siebie, gorzko żałuję, że nie wiedziałam wtedy tego, co wiem teraz. Biskup Archer pociągał nas za sobą, bo go kochałyśmy i wierzyłyśmy w niego, nawet kiedy wiedziałyśmy, że się myli, i świadomość tego jest straszna, jest czymś, co powinno budzić moralną i duchową grozę. Odczuwam ją teraz, ale nie odczuwałam jej wtedy. Poczucie grozy przyszło zbyt późno, przyszło po szkodzie.

Może dla kogoś to jest męcząca paplanina, ale dla mnie to coś zupełnie innego, to głos zrozpaczonego serca.

8

Władze nie trzymały Billa Lundborga w więzieniu długo. Biskup Archer postarał się o jego zwolnienie, wykorzystując historię chronicznej choroby umysłowej Billa, i nadszedł dzień, kiedy chłopiec zjawił się w ich mieszkaniu w Tenderloin, ubrany w zrobiony przez Kirsten wełniany sweter i workowate spodnie, z pozbawioną wyrazu pyzată twarzą.

Jego widok sprawił mi niekłamaną przyjemność. Myślałam o nim wielokrotnie, zastanawiając się, jak sobie radzi. Wyglądało na to, że więzienie specjalnie mu nie zaszkodziło. Może nie odróżniał go od okresowych pobytów w szpitalu. Z mojego punktu widzenia różnica była niewielka: nie byłam ani tu, ani tam.

— Cześć, Angel — powiedział do mnie, kiedy weszłam do pokoju. Musiałam pozostawić moją nową hondę, żeby nie dostać mandatu. — Czym teraz jeździsz?

— Honda civic — powiedziałam.

— Ma dobry silnik. Nie boi się wysokich obrotów w odróżnieniu od większości tych małych wozów. I jest dobrze resorowana. Masz cztery biegi czy pięć?

— Cztery. — Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go w szafie.

— Jak na tak krótki wóz, dobrze trzyma się drogi. Ale przy zderzeniu, jeżeli wpadnie na ciebie amerykański samochód, jesteś załatwiona. Prawdopodobnie będziesz dachować.

Następnie przedstawił mi statystykę wypadków śmiertelnych z udziałem jednego samochodu. Obraz był ponury, jeżeli chodzi o małe wozy zagranicznej produkcji. Miałam znikome szansę w porównaniu na przykład z mustangiem. Bill mówił z entuzjazmem o nowym oldsmobilu z napędem na przednie koła, który przedstawiał jako wybitne osiągnięcie techniczne w dziedzinie trakcji i zdolności manewrowych. Wyraźnie zależało mu, żebym sobie sprawiła większy samochód, okazywał troskę o moje bezpieczeństwo. Wzruszyło mnie to, a poza tym Bill wiedział, co mówi. Straciłam dwoje przyjaciół w volkswagenie, kiedy się przekoziółkował na autostradzie. Bill wytłumaczył mi, że po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym konstrukcję poprawiono, stosując sztywne zawieszenie.

Mam nadzieję, że właściwie przekazuję tę terminologię. Jeżeli chodzi o tego rodzaju informacje o samochodach, polegam całkowicie na Billu. Kirsten nie ukrywała znudzenia, biskup Archer demonstrował przynajmniej udawaną uwagę, chociaż miałam wrażenie, że to tylko poza. Wydawało mi się niemożliwe, żeby rozumiał albo żeby go to obchodziło; dla biskupa takie kwestie techniczne są tym, czym dla nas zagadnienia metafizyczne: czystą spekulacją i w dodatku zupełnie czczą.

Kiedy Bill wyszedł do kuchni po puszkę piwa, wargi Kirsten ułożyły się w skierowane do mnie słowo.

— Co? — spytałam, przykładając dłoń do ucha.

— Obsesja. — Zdegustowana kiwnęła poważnie głową.

Wróciwszy z piwem, Bill mówił dalej.

— Twoje życie zależy od zawieszenia twojego samochodu. Poprzeczny drążek skrętny zapewnia...

— Jeżeli usłyszę jeszcze jedno słowo o samochodach, zacznę krzyczeć — przerwała mu Kirsten.

— Przepraszam — powiedział Bill.

— Słuchaj, Bill — odezwał się biskup Archer — gdybym chciał kupić nowy samochód, to jaki powinienem wybrać?

— Ile pieniędzy...

— Mam pieniądze.

— BMW — powiedział Bill. — Albo mercedes-benz. Przewagą mercedesa jest to, że trudno go ukraść. — Następnie poinformował nas o niebywale skomplikowanych zamkach w mercedesie. — Nawet nabywcy używanych wozów mają kłopoty z dostaniem się do środka. Złodziej może obrobić sześć cadillaców i trzy porsche w czasie potrzebnym na dostanie się do mercedesa. Dlatego zwykle dają im spokój i można zostawić w aucie stereo, w każdym innym samochodzie trzeba je zawsze zabierać ze sobą — Następnie powiedział nam, że to Carl Benz zaprojektował i zbudował pierwszy zdalny do użytku samochód z silnikiem spalinowym. W tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku Benz połączył swoją firmę z Daimler-Motoren-Gesellschaft, tworząc zakłady Daimler-Benz które zaczęły produkować samochody Mercedes-Benz. Nazwa Mercedes” pochodzi od imienia małej dziewczynki, ale Bill nie pamiętał, czy Mercedes była córką, wnuczką czy tylko znajomą Carla Benza.

— Zatem „Mercedes” to nie jest nazwisko projektanta ani budowniczego samochodów, tylko imię dziecka. A teraz imię tego dziecka oznacza jeden z najlepszych samochodów na świecie.

— To prawda — potwierdził Bill i opowiedział nam inną mało znaną historię o samochodach. Doktor Porsche, który zaprojektował zarówno volkswagena jak i, oczywiście, porsche, nie wynalazł umieszczonego z tyłu i chłodzonego powietrzem silnika, ale napotkał go w czeskich zakładach samochodowych, kiedy Niemcy zajęli ten kraj w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Bill nie pamiętał nazwy tego czeskiego samochodu, ale był to wóz potężnym ośmiocylindrowym silnikiem, tak szybki i zrywny, że niemieckim oficerom zabroniono z niego korzystać. Doktor Porsche zmodyfikował ten ośmiocylindrowy silnik wielkiej mocy na osobiste polecenie Hitlera. — Hitler chciał, żeby samochód był chłodzony powietrzem — mówił Bill — bo spodziewał się, że volkswagen będzie używany na sowieckich *autobahnach* po zwycięstwie Niemiec, a ze względu na niskie temperatury...

— Uważam, że powinieneś kupić jaguara — przerwała mu Kirsten, zwracając się do Tima.

— O, nie — zaprotestował Bill. — Jaguar to jeden z najmniej stabilnych, najbardziej narażonych na wypadki samochodów na świecie. Jest zbyt skomplikowany i większość czasu stoi w warsztacie. Ale jego górnozaworowy silnik jest prawdopodobnie cackiem najwyższej klasy, jakie kiedykolwiek zbudowano, poza szesnastocylindrowymi wozami turystycznymi z lat trzydziestych.

— Szesnaście cylindrów? — spytałam zdumiona.

— Chodziły bardzo gładko — ciągnął Bill. — W latach trzydziestych istniała przepaść między zwykłą gablotą a drogimi wozami turystycznymi. Teraz nie ma takiej różnicy... istnieje płynne przejście od, powiedzmy, twojej hondy, która jest środkiem transportu powszechnego użytku, do rollsa. Cena i jakość wzrastają stopniowo, co jest dobre dla klienta. To jest świadectwo przemian społecznych między tamtym czasem a naszym. — Potem zaczął nam opowiadać o samochodach parowych i o wadach ich konstrukcji. Kirsten patrzyła na niego ze złością i w końcu wstała.

— Chyba pójde już spać — powiedziała.

— O której mam jutro wystąpienie w Klubie Lwów? — spytał Tim.

— O Boże, nie skończyłam jeszcze tego przemówienia — powiedziała Kirsten.

— Mogę improwizować — stwierdził Tim.

— Jest nagrane. Muszę je tylko przepisać.

— Możesz to zrobić rano.

Spojrzała na niego przeciągle.

— Jak powiedziałem, mogę improwizować — powtórzył Tim.

— Może improwizować — powiedziała Kirsten do Billa i do mnie. Nadal wpatrywała się w biskupa, który kręcił się niespokojnie. — Jezu — dorzuciła.

— O co chodzi? — spytał Tim.

— O nic. — Zrobiła krok w stronę łazienki. — Przepiszę je do końca. To byłby niezły pomysł, żebyś... Nie wiem, dlaczego musimy do tego wracać. Obiecuj mi, że nie wdasz się znów w jakąś tyradę o zaratustrianach.

— Jeżeli mam prześledzić źródła myśli patrystycznej... — zaczął Tim cicho, ale zdecydowanie.

— Nie sądzę, żeby Lwy chciały słuchać o Ojcach Pustyni i życiu klasztornym w drugim wieku.

— Wobec tego o tym właśnie będę mówił — stwierdził Tim. — Wysłano raz do miasta mnicha z lekarstwem dla chorego świętego... imiona nie są istotne. Trzeba wiedzieć, że ten chory święty był bardzo wielkim świętym, jednym z najbardziej kochanych i szanowanych w północnej Afryce. Kiedy mnich przyszedł do miasta po długiej podróży przez pustynię...

— Dobranoc — rzuciła Kirsten i znikła za drzwiami sypialni.

— Dobranoc — odpowiedzieliśmy wszyscy.

Po chwili Tim podjął swoją opowieść, mówiąc cichym głosem do Billa i do mnie.

— Kiedy mnich przyszedł do miasta, nie wiedział, dokąd się udać. Potykając się w ciemności, bo była to noc, trafił na leżącego w rynsztoku żebraka, bardzo chorego. Mnich, rozważywszy duchowy aspekt sprawy, zajął się żebrakiem i dał mu lekarstwo, po którym ten wkrótce poczuł się lepiej. Teraz jednak mnich nie miał nic dla wielkiego

świętego, wrócił więc do klasztoru, z którego przyszedł, w wielkim strachu, co na to powie opat. Kiedy opowiedział opatowi o tym, co zrobił, opat stwierdził: „Postąpiłeś słusznie”.

Tim umilkł. Przez chwilę siedzieliśmy wszyscy troje w milczeniu.

— Czy to koniec — spytał Bill.

— W chrześcijaństwie nie ma różnicy między skromnym a moźnym, ubogim a nie tak ubogim. Ten mnich, dając lekarstwo pierwszemu potrzebującemu, a nie zachowując go dla wielkiego i sławnego świętego, patrzył w serce swego Zbawiciela. W czasach Jezusa funkcjonowało pogardliwe określenie prostych ludzi... zbywano ich jako *Am ha-aretz*, „wieśniaków”, rozumiejąc przez to, że są bez znaczenia. To do tych ludzi, *Am ha-aretz*, Jezus przemawiał, wśród nich przebywał, z nimi jadł i spał, to znaczy, spał w ich domach, chociaż zdarzało mu się też sypiać w domach ludzi bogatych, bo nawet bogaci nie są odtrąceni. — Zauważyłam, że Tim wygląda na przygnębitego.

— Bisz — powiedział przez śmiech Bill. — Kirsten tak o panu mówi, kiedy pan nie słyszy.

Tim nie zareagował. Słyszeliśmy Kirsten krzątającą się w drugim pokoju. Coś jej upadło i zaklęła.

— Dlaczego pan myśli, że jest Bóg? — spytał Bill.

Tim przez chwilę nie odpowiadał. Wydawał się mocno zmęczony, a mimo to czułam, że szuka odpowiedzi. Znużonym ruchem przetarł oczy. — Istnieje dowód ontologiczny... — zaczął niewyraźnie. — Dowód ontologiczny świętego Anzelma, że jeżeli możemy sobie wyobrazić byt... — Umilkł, podniósł głowę i zamrugał.

— Mogę przepisać twoje wystąpienie — powiedziałam. — Na tym polegała moja praca w biurze prawnym. Jestem w tym dobra. — Wstałam. — Pójdę i powiem Kirsten.

— Nie ma problemu — powiedział Tim.

— Czy nie lepiej, żebyś miał tekst napisany?

— Chcę im powiedzieć o... — umilkł na chwilę. — Wiesz, Angel, ja ją naprawdę kocham. Tyle dla mnie zrobiła. Gdyby jej nie było przy mnie po śmierci Jeffa... nie wiem, co bym począł, chyba mnie rozumiesz. — Zwrócił się do Billa: — Strasznie lubię twoją matkę. Jest dla mnie najbliższą osobą na świecie.

— Czy jest jakiś dowód na istnienie Boga? — spytał Bill.

— Przytacza się wiele argumentów — odezwał się Tim po chwili namysłu. — Może najlepszy jest argument z biologii, wysuwany na przykład przez Teilharda de Chardina. Ewolucja, istnienie ewolucji wydaje się wskazywać na twórcę planu. Jest też argument Morrisona, wskazujący, że nasza planeta w sposób niezwykle sprzyja skomplikowanym formom życia. Prawdopodobieństwo, że do czegoś takiego doszło przez przypadek, jest bardzo niewielkie. — Potrząsnął głową.

— Nie czuję się najlepiej. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Powiem tylko krótko, że argument teleologiczny, argument z planu w przyrodzie, jest argumentem najsilniejszym.

— Bill, biskup jest zmęczony — powiedziałam.

Stając w drzwiach do sypialni, Kirsten, która miała teraz na sobie szlafrok i domowe pantofle, powiedziała:

— Tak, biskup jest zmęczony. Biskup jest zawsze zmęczony. Biskup jest zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć na pytanie: „Czy jest jakiś dowód na istnienie Boga?” Nie, nie ma żadnego dowodu. Gdzie jest Alka-Seltzer?

— Zużyłem ostatnią paczkę — powiedział Tim.

— Mam coś jeszcze w torebce — zaproponowałam.

Kirsten zamknęła drzwi do sypialni. Głośno.

— Są dowody — powiedział Tim.

— Ale Bóg z nikim nie rozmawia.

— To prawda — przyznał Tim i jakby się obudził. Widziałam, jak się mobilizuje. — Jednak w Starym Testamencie mamy wiele przykładów, kiedy Jahweh zwraca się do ludzi za pośrednictwem proroków. Jednak to źródło objawienia wyschło ostatecznie. Bóg nie przemawia już do człowieka. Nazywa się to „długim milczeniem”, i; bo trwa od dwóch tysięcy lat.

— Wiem, że Bóg mówił do ludzi w Biblii — powiedział Bill — w dawnych czasach, ale dlaczego nie mówi do nich teraz? Dlaczego przestał mówić?

— Nie wiem — powiedział Tim i zamilkł.

Nie wolno ci teraz przestać, pomyślałam. To nie jest miejsce, w którym można przerwać rozmowę.

— Mów dalej — powiedziałam.

— Która jest godzina? — spytał Tim i rozejrzał się po pokoju.

— Nie mam zegarka.

— Co to za bzdury, że Jeff wrócił z innego świata? — spytał Bill.

O Boże, pomyślałam i zamknęłam oczy.

— Bardzo bym chciał, żeby mi pan to wyjaśnił — zwrócił się Bill do Tima. — Bo to niemożliwe. To nie jest mało prawdopodobne, to niemożliwe. — Czekał. — Kirsten mi o tym opowiadała. To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem.

— Jeff porozumiewał się z nami obojgiem — powiedział Tim. — Za pośrednictwem pewnych zjawisk. Wiele razy i na wiele sposobów. — Nagle poczerwieniał i wyprostował się, demonstrując głęboko dotąd ukryty autorytet. Na naszych oczach zmienił się ze zmęczonego starszego człowieka, dręczonego kłopotami osobistymi, w uosobienie siły, siły przekonania, płynącej ze słów i wyrażającej się w słowach. — To sam Bóg oddziałuje na nas i przez nas, żeby rozjaśnić nasze dni. Mój syn jest teraz z nami, jest w tym

pokoju. Nigdy nas nie opuścił. Umarło tylko materialne ciało. Każda rzecz materialna ulega zniszczeniu. Giną całe planety. Cały fizyczny wszechświat przestanie istnieć. Czy chcesz z tego wyciągnąć wniosek, że nic nie istnieje? Bo do tego prowadzi twoja logika. Nie można udowodnić, że istnieje jakaś rzeczywistość zewnętrzna. Odkrył to Kartezjusz, to jest podstawa nowoczesnej filozofii. Jedyne, co możesz wiedzieć na pewno, to to, że istnieje twój własny umysł, twoja własna świadomość. Możesz powiedzieć „Ja jestem” i to wszystko. I to właśnie Jahweh każe Mojżeszowi powiedzieć ludziom, kiedy będą go pytać, z kim rozmawiał.

„Ja jestem”, mówi Jahweh. *Ehyeh* po hebrajsku. Ty też możesz to powiedzieć i to jest wszystko, co możesz powiedzieć. To wyczerpuje wszystkie możliwości. To, co widzisz, to nie jest świat, ale wyobrażenie będące wytworem twojego mózgu. Wszystko, czego doświadczasz, bierzesz na wiarę. Możesz też śnić. Pomyślałeś o tym? Platon opowiada, że pewien stary mędrzec, prawdopodobnie orfik, powiedział mu: „Teraz jesteśmy martwi i przebywamy w czymś na kształt więzienia”. Platon nie uważa tego za wypowiedź absurdalną, powiada nam, że to jest coś ważnego, nad czym warto się zastanowić. „Teraz jesteśmy martwi”. Możliwe, że w ogóle nie mamy żadnego świata. Mamy takie same dowody, twoja matka i ja, na to, że Jeff do nas wrócił, jak i na to, że świat istnieje. My nie przypuszczamy, że on wrócił, my tego doświadczamy. Przeżyliśmy to i przeżywamy nadal. Nie jest to więc nasza opinia. To coś rzeczywistego.

— Rzeczywistego dla was — powiedział Bill.

— Czego więcej można chcieć od rzeczywistości?

— Chodzi mi o to — odparł Bill — że ja w to nie wierze.

— Problem nie polega na naszym doświadczeniu w tej sprawie. Problem leży w twoim systemie przekonań. Na gruncie twojego systemu przekonań coś takiego jest niemożliwe. A kto, tak naprawdę, może powiedzieć, co jest możliwe? Nie wiemy, co jest, a co nie jest możliwe. Nie my określamy granice możliwości, to Bóg je ustala. — Tim wymierzył w Billa palec wskazujący. Palec ani drgnął. — To, w co człowiek wierzy i co wie, w ostatecznym rachunku zależy od Boga. Nie można życzyć sobie własnej zgody albo odmowy, to jest dar od Boga, przykład naszej od Niego zależności. Bóg daruje nam świat i wymusza naszą zgodę na ten świat, sprawia, że jest on dla nas światem rzeczywistym — to jeden z przykładów jego mocy. Czy wierzysz, że Jezus był Synem Bożym, był samym Bogiem? W to też nie wierzysz. Jak więc mam ci udowodnić, że Jeff wrócił do nas z tamtego świata? Nie potrafię nawet dowieść, że Syn Człowieczy chodził po tej ziemi dwa tysiące lat temu, że żył i umarł za nas, za nasze grzechy, i zmartwychwstał w chwale trzeciego dnia. Temu też zaprzeczasz, czy nie mam racji? W co zatem wierzysz? W przedmioty, do których wsiadasz i jeździsz nimi dookoła bloku? Może nie ma tego przedmiotu ani bloku. Ktoś wskazał Kartezjuszowi, że złośliwy demon może skłaniać nas do akceptacji świata, który nie istnieje, może podsuwać nam imitację jako rze-

komy obraz świata. Gdyby tak było, nie potrafilibyśmy jej rozpoznać. Dlatego musimy zaufać Bogu. Wierzę, że Bóg by mnie nie oszukał. Ufam, że Bóg jest wierny, prawdziwy i niezdolny do kłamstwa. Dla ciebie to zagadnienie w ogóle nie istnieje, bo ty nie chcesz przyznać, że On istnieje. Ty żądasz dowodu. Gdybym ci w tej chwili powiedział, że usłyszałem głos Boga, który do mnie przemówił, czy byś w to uwierzył? Oczywiście nie. Nazywamy ludzi, którzy mówią do Boga, pobożnymi, a ludzi, do których mówi Bóg — wariatami. Żyjemy w wieku małej wiary. To nie Bóg umarł, to nasza wiara umarła.

— Ale... — Bill zrobił nieokreślony ruch ręką. — To nie ma żadnego sensu. Po co on miałby wracać?

— Powiedz mi wprawdzie, po co Jeff żył. Wtedy może będę mógł ci odpowiedzieć, po co wrócił. Po co ty żyjesz? W jakim celu zostałeś stworzony? Nie wiesz, kto cię stworzył, zakładając, że zostałeś stworzony, i nie wiesz, w jakim celu, zakładając, że jest jakiś cel. Może nikt cię nie stworzył i twoje życie nie ma celu. Nie ma świata, nie ma celu, nie ma Stwórcy i Jeff do nas nie wrócił. Czy to jest twoja logika? Czy tak przeżywasz swoje życie? Czy tym jest dla ciebie Byt w sensie heideggerowskim? To jest zubożony rodzaj nieautentycznego Bytu. Który jest, moim zdaniem, słaby, bezpłodny i w końcu daremny. Chyba jest coś, w co wierzysz, Bill? Czy wierzysz w siebie? Czy przyznajesz, że ty, Bill Lundborg, istniejesz? Jeżeli się na to zgodzisz, to dobrze. To już jest coś. Mamy coś na początek. Zacznijmy od twojego ciała. Czy masz organy zmysłowe? Oczy, uszy, smak, dotyk i powonienie? Zatem ten system postrzegania powstał, żeby odbierać informacje. Jeżeli tak, to można przyjąć, że istnieje informacja. Jeżeli istnieje informacja, to prawdopodobnie jest z czymś związana. Może więc istnieje świat, nie na pewno, ale może, a ty jesteś podłączony do tego świata za pośrednictwem swoich organów zmysłów. Czy wytwarzasz sam swoje pożywienie? Czy sam z siebie, ze swojego ciała, produkujesz pożywienie potrzebne ci do życia? Nie. A zatem logika nakazuje ci przyjąć, że jesteś zależny od tego zewnętrznego świata, o którego istnieniu posiadasz wiedzę tylko prawdopodobną, nie wystarczającą. Świat jest dla nas tylko prawdą możliwą, nie prawdą konieczną. Z czego składa się ten świat? Co tam jest? Czy twoje zmysły kłamią? Jeżeli zmysły kłamią, to w jakim celu powstały? Czy sam stworzyłeś swoje organy zmysłów? Nie. Zrobił to ktoś albo coś. Kim jest ten ktoś, kto nie jest tobą? Widocznie nie jesteś sam, nie jesteś jedyną istniejącą rzeczywistością, widocznie są też inni i jeden z nich zaprojektował twoje ciało tak, jak Carl Benz zaprojektował i zbudował pierwszy samochód. Skąd wiem, że istniał jakiś Carl Benz? Czy dlatego, że ty mi to powiedziałeś? Ja ci powiedziałem, że mój syn Jeff wrócił...

— Kirsten mi powiedziała — poprawił Bill.

— Czy Kirsten ci zazwyczaj kłamie? — spytał Tim.

— Nie.

— Co ona i ja możemy zyskać, opowiadając, że Jeff wrócił do nas z tamtego świata? Wiele osób nam nie wierzy. Ty sam nam nie wierzysz. Mówimy o tym, bo wierzymy, że to prawda. I mamy powody, żeby wierzyć, że to prawda. Oboje widzieliśmy pewne rzeczy, byliśmy świadkami pewnych rzeczy. Nie widzę w tym pokoju Carla Benza, ale wierzę, że kiedyś istniał. Wierzę, że Mercedes Benz został nazwany na cześć pewnej małej dziewczynki i pewnego mężczyzny. Jestem prawnikiem i znam kryteria, za pomocą których sprawdza się dane. My, Kirsten i ja, mamy dowód na istnienie Jeffa i pewnych zjawisk.

— Tak, ale wszystkie te wasze zjawiska niczego nie dowodzą. Przypuszczacie tylko, że to Jeff jest ich powodem, ale tego nie wiecie.

— Pozwól, że dam ci pewien przykład — powiedział Tim. — Zaglądasz pod zaparkowany samochód i widzisz kałużę wody. Nie wiesz, że ta woda wyciekła z twojego silnika, ale zakładasz to. Bo masz dowód. Jako adwokat wiem, co stanowi dowód. Ty jako mechanik samochodowy...

— Czy ten samochód jest zaparkowany na pańskim własnym miejscu? — spytał Bill. — Czy na jakimś publicznym parkingu, na przykład przy supermarkecie?

— Nie rozumiem — rzekł Tim nieco zbity z tropu.

— Jeżeli jest to pański prywatny parking albo garaż, gdzie tylko pan parkuje, to woda prawdopodobnie pochodzi z pańskiego samochodu. Tak czy owak nie z silnika tylko z chłodnicy albo z pompy wodnej, albo z któregoś z przewodów.

— Ale jest to coś, co zakładasz na podstawie dowodów — powiedział Tim.

— Mógłby to być też płyn z układu kierowania wspomaganego. Wygląda bardzo podobnie jak woda. Jest trochę różowawy. Mogłaby to też być skrzynia biegów, jeżeli ma pan automatyczną skrzynię biegów. Stosuje się w niej ten sam płyn. Czy ma pan kierownicę ze wspomaganiami?

— Nie wiem — powiedział Tim. — Mówiłem o hipotetycznym samochodzie.

— Albo mógłby to być olej silnikowy — ciągnął Bill — ale wtedy byłby różowy. Trzeba odróżniać, czy to jest woda czy olej, czy to jest z układu kierowniczego czy ze skrzyni biegów, przyczyny mogą być różne. Jeżeli stoi pan na parkingu publicznym i widzi kałużę pod samochodem, to prawdopodobnie nic nie znaczy, bo wiele osób parkuje na tym samym miejscu, mogło to pochodzić z samochodu, który stał tam poprzednio. Najlepiej jest...

— Ale możesz tylko przyjąć założenie — powiedział Tim. — Nie masz pewności, czy to jest z twojego samochodu.

— Nie wie się od razu, ale można sprawdzić. Powiedzmy, na przykład, że to pański garaż i nikt inny tam nie parkuje. Najpierw trzeba się zorientować, co to za płyn. Sięga się pod samochód... może trzeba go trochę cofnąć... i zanurza się palec w płynie. Czy jest różowy czy brązowy? Czy to olej czy woda? Może to być normalne. Po wyłączeniu silnika woda czasem się jeszcze nagrzewa i przelewa się przez rurkę odpływową.

— Nawet jeżeli określimy, że to jest woda — upierał się Tim — nie możemy mieć pewności, że wyciekła z naszego samochodu.

— A skąd jeszcze mogła się wziąć?

— To jest właśnie czynnik nieznan. Rozporządzasz tylko poszlakami, nie widziałeś wody wyciekającej z twojego samochodu.

— No dobrze, to trzeba włączyć silnik i popatrzeć, czy kapie.

— Czy to nie zajmie dużo czasu? — spytał Tim.

— I tak trzeba to wiedzieć. Należy skontrolować poziom płynu w układzie kierowniczym, poziom płynu w skrzyni biegów, chłodnicę, poziom oleju. Należy te rzeczy sprawdzać rutynowo. Jak się już tam stoi, można je sprawdzić. Przy okazji można też sprawdzić ciśnienie w oponach. Jakie ma pan ciśnienie?

— Gdzie? — spytał Tim.

— W oponach — uśmiechnął się Bill. — Jest ich pięć. Jedna, zapasowa, w bagażniku. Pewnie pan o niej zapomina, kiedy pan sprawdza te inne. Nie będzie pan wiedział, czy jest powietrze w zapasowym kole, póki panu kiedyś nie nawali dętka w drodze. Jaki ma pan podnośnik? Jakim pan jeździ samochodem?

— To chyba buick — powiedział Tim.

— Chrysler — poprawiłam cicho.

— Możliwe — stwierdził Tim.

Kiedy Bill wyszedł, Tim i ja pozostaliśmy we dwoje w saloniku mieszkania w Tenderloin i Tim rozmawiał ze mną otwarcie i szczerze.

— Kirsten i ja — mówił — przeżywamy pewne trudności. — Siedział obok mnie na kanapie, mówiąc ścisłym głosem, żeby nie słyszała Kirsten w sypialni.

— Ile ona bierze prochów? — spytałam.

— Chodzi ci o barbiturany?

— Tak, chodzi mi o barbiturany.

— Naprawdę nie wiem. Ma lekarza, który daje jej wszystko, czego ona chce. Dostaje setkę za jednym razem. Seconal. Ma też amytał. Myślę, że amytał dostaje od innego lekarza.

— Lepiej dowiedz się, ile ona bierze.

— Dlaczego Bill nie chce przyjąć do wiadomości, że Jeff do nas wrócił?

— Bóg jedyny wie — powiedziałam.

— Celem mojej książki jest dostarczenie pociechy zrozpaczonym ludziom, którzy stracili swoich najbliższych. Co może być bardziej pocieszającego niż świadomość, że istnieje życie po bolesnym doświadczeniu śmierci, tak samo, jak istnieje życie po bolesnym doświadczeniu narodzin? Mamy zapewnienie Jezusa, że czeka nas życie wieczne, od tego zależy cała obietnica zbawienia. „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto

we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. A potem Jezus mówi do Marty: „Wierzysz w to?” Na co Marta odpowiada: „Tak, Panie. Ja mocno wierzę, żeś Ty jest Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat”. Później Jezus mówi: „Nie mówiłem bowiem sam od siebie, ale Ten który Mnie posłał, Ojciec. On Mi nakazał, co mam powiedzieć i oznajmić. A wiem, że przykazanie Jego jest życiem wiecznym”. Niech wezmę Biblię. — Tim sięgnął po egzemplarz Biblii leżący na końcu stołu. — Pierwszy List do Koryntian, piętnaście, dwanaście. „Jeżeli zatem głosi się, że Chrystus zmartwychwstał, to dlaczego twierdzą niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczyliśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa. Skoro umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach. Tak więc i ci, co pomarli w Chrystusie, poszli na zatracenie. Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteście bardziej od wszystkich ludzi godni politowania. Tymczasem jednak Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy spośród tych, co pomarli”. — Tim zamknął Biblię. — To mówi jasno i wyraźnie. Nie może być najmniejszej wątpliwości.

— Chyba tak — powiedziałam.

— Tyle dowodów odkryto w dokumentach saducejskich. Rzucają one światło na cały kerygmat wczesnego chrześcijaństwa. Tak dużo teraz wiemy. Paweł wcale nie mówił metaforycznie, ludzie wstają z martwych dosłownie. Oni znali techniki. To była nauka. Dzisiaj nazwalibyśmy to medycyną. Oni tam w uedzie mieli *anokhi*.

— Grzyby — powiedziałam.

Tim przyjrzał mi się.

— Tak, grzyb *anokhi*.

— Ciasto i zupę — powiedziałam.

— Tak.

— Ale my tego teraz nie mamy.

— My mamy Eucharystię.

— Ale ty wiesz i ja wiem, że w Eucharystii nie ma tej substancji. To przypomina kult cargo, w którym krajowcy budują kopie samolotów.

— Nic podobnego.

— A czym to się różni?

— Duch Święty... — umilkł.

— O to właśnie chodzi — powiedziałam.

— Uważam, że Jeff wrócił za sprawą Ducha Świętego — powiedział Tim.

— Wierzysz zatem, że Duch Święty jednak nadal istnieje, zawsze istniał i jest Bogiem, jedną z postaci Boga?

— Ja wiem — powiedział Tim. — Teraz, kiedy widziałem dowód. Nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem: zegary nastawione na godzinę śmierci Jeffa, spalone włosy Kirsten, roztrzaskane lustra, szpilki pod jej paznokciami. Sama widziałaś wtedy jej porzrzucone ubrania, sprowadziliśmy cię, żebyś zobaczyła na własne oczy. My tego nie zrobiliśmy. Żaden żywy człowiek tego nie zrobił, nie fałszowalibyśmy przecież dowodów. Czy sądzisz, że bylibyśmy do czegoś takiego zdolni?

— Nie — powiedziałam.

— A ten dzień, kiedy książki wyskoczyły z półki i spadły na podłogę? Nikogo w pobliżu nie było, sama widziałaś.

— Czy myślisz, że ten grzyb *anokhi* nadal istnieje? — spytałam.

— Nie wiem. Pliniusz Starszy w księdze ósmej swojej *Historia Naturalis* wspomina o grzybie *Vita verna*. Pliniusz żył w pierwszym wieku... czas by się zgadzał. I tego opisu nie zapożyczył od Teofrasta, to był grzyb, który sam widział w rzymskich ogrodach. To mógł być *anokhi*, ale to tylko przypuszczenie. Wielka szkoda, że nie możemy mieć pewności. — Zgodnie ze swoim zwyczajem zmienił temat. Umysł Tima Archera nigdy nie utrzymywał się długo przy jednym przedmiocie. — To, co ma Bill, to schizofrenia, prawda?

— Tak — potwierdziłam.

— Ale może pracować?

— Kiedy nie jest w szpitalu. Albo nie zapada się w głąb siebie przed pójściem do szpitala.

— Teraz chyba jest w porządku. Zauważam tylko niezdolność do teoretycznego myślenia.

— Ma trudności z abstrahowaniem — powiedziałam.

— Zastanawiam się, gdzie i jak on skończy. Prognozy... nie są najlepsze, jak mówi Kirsten.

— Na powrót do zdrowia? Zero. Nic. Beznadzieja. Ale ma dość oleju w głowie, żeby się trzymać z daleka od narkotyków.

— Nie ma tej przewagi, jaką daje wykształcenie.

— Nie jestem pewna, czy wykształcenie daje jakąś przewagę. Ja, na przykład, sprzedaję płyty. I nie zostałam zatrudniona z powodu czegoś, czego nauczyłam się na uniwersytecie.

— Miałem cię spytać, które nagranie *Fidelia* powinniśmy kupić.

— Klemperera — powiedziałam. — U mnie. Z Christą Ludwig w partii Leonory.

— Uwielbiam jej arię.

— „*Abscheulicher! Wo Eilst Due Hin?*” Bardzo piękne wykonanie. Ale nikt nie może się równać ze starym nagraniem Friedy Leider. To dziś rarytas... jeżeli zostało przeniesione na płytę długogrającą, to ja się z nią nie spotkałam. Słyszałam ją kiedyś przed laty w radiu. Zapamiętałam ją na zawsze.

— Beethoven był największym geniuszem, największym artystą, jakiego wydał świat. On przekształcił naszą koncepcję samych siebie.

— Tak — powiedziałam. — Kiedy więźniowie w *Fidelio* zostają wypuszczeni z ciemnicy... To jeden z najpiękniejszych fragmentów w całej muzyce.

— To wykracza poza piękno. To dotyka pojmowania samej istoty wolności. Jak to możliwe, że czysto abstrakcyjna muzyka, taka jak w jego późnych kwartetach, potrafi bez słów zmieniać istoty ludzkie w kategoriach ich własnego postrzegania samych siebie, w kategoriach ich ontologicznej natury? Schopenhauer wierzył, że sztuka, a muzyka w szczególności, miała... ma moc powodowania, że wola, instynktowna wola walki zwraca się jakoś ku sobie samej i wyrzeka się walki. Uważał to za doświadczenie religijne, chociaż przejściowe. W jakiś sposób sztuka, zwłaszcza muzyka, ma moc przekształcania człowieka z istoty irracjonalnej w osobę racjonalną, nie kierowaną impulsami biologicznymi, które z definicji nie mogą być zaspokojone. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy usłyszałam ostatnią część *Trzynastego Kwartetu* Beethovena, nie *Grosse Fuge*, ale *allegro*, którym później zastąpił *Grosse Fuge*. To takie niesamowite małe чудо, to *allegro*... takie energiczne i pogodne, takie radosne.

— Czytałam gdzieś, że to ostatnia rzecz, jaką napisał — powiedziałam. — To małe *allegro* byłoby pierwszym utworem Beethovena z czwartego okresu twórczości, gdyby nie umarł. To nie jest już rzecz z trzeciego okresu.

— Skąd Beethoven wziął tę całkowicie nową i oryginalną koncepcję ludzkiej wolności, którą wyraża jego muzyka? — spytał Tim. — Czy był odczytany?

— Należał do tego samego okresu co Goethe i Schiller. *Aufklärung*, niemieckie oświecenie.

— Zawsze ten Schiller. Wszystko wraca do niego. A od Schillera do powstania Holendrów przeciwko panowaniu hiszpańskiemu. Które występuje w części drugiej *Fausta* Goethego, kiedy to Faust wreszcie znajduje coś, co go zadowala, i woła: „Chwilo, trwaj!” Kiedy widzi Holendrów wydzierających ziemię Morzu Północnemu. Przetłumaczyłem kiedyś ten fragment, bo nie byłem zadowolony z żadnego dostępnego mi przekładu angielskiego. Nie wiem, co z tym zrobiłem... to było lata temu. — Wstał, podszedł do półki z książkami, znalazł właściwy tom i wrócił z nim, otwierając go po drodze.

Wzdłuż gór ciągnące się mokradła,
Zapowietrzają nowe ziemie;
Więc osuszenie grząskich bagien
Ostatnim wielkim jest dorobkiem.
Przestrzenie stwarzam dla milionów,
Niepewne wprowadzicie, ale na czynny, wolny byt.
Zielone są pola, żyzne; człowiek i stada
Wraz wygodnie na ziemi najnowszej

*Osiadły obok watów mocnych,
Które usypał śmiały, pilny lud.
Lecz wewnątrz tu krajobraz iście rajski,
Niech goni fala aż po szczyt,
I gdy lasuje, chcąc się gwałtem wedrzeć,
Tak! tej idei oddany jestem całkiem,
To jest mądrości wniosek ostateczny:
Ten wart wolności jak i życia...*

— „Kto je codziennie zdobyć musi!” — dokończyłam.

— Tak — powiedział Tim, zamykając egzemplarz *Fausta*. — Szkoda, że gdzieś zgubiłem to swoje tłumaczenie. — Powtórnie otworzył książkę. — Pozwolisz, że przeczytam do końca?

— Proszę — powiedziałam.

*Tu wiek swój młody, męski i sędziwy
przeżyją w walce i harcie mozolnym.
Pragnę zobaczyć trud rzeszy ruchliwej!
Na wolnej ziemi mieszkać z ludem wolnym!*

I wtedy mógłbym rzec: trwaj chwilo, o chwilo, jesteś piękną!

— W tym momencie Bóg wygrał zakład w Niebie — wtrąciłam.

— Tak — potwierdził Tim, kiwając głową.

*Czyny dni moich czas przesilą,
u wrót wieczności klękną.*

*W przeczuciu szczęścia, w radosnym zachwycie,
stanąłem oto już na życia szczycie!**

— To bardzo piękny i przejrzysty przekład — powiedziałam.

— Goethe napisał drugą część zaledwie na rok przed śmiercią. Pamiętam tylko jedno niemieckie słowo z tego fragmentu: *verdienen*. Zdobywa. „Zdobywa wolność”. To pewnie będzie *Freiheit*, wolność. Może to było „*Verdient seine Freiheit...*” — Zamilkł na chwilę. — Więcej nie pamiętam. „Jeno ten godzien życia i wolności, kto je codziennie zdobyć musi!” Oto szczyt niemieckiego oświecenia. Od którego zaczyna się tak tragiczny upadek. Od Goethego, Schillera, Beethovena do Trzeciej Rzeszy i Hitlera. Niewiarygodne.

— A jednak zapowiedź tego znajdujemy w postaci Wallensteina.

— Który dobierał sobie generałów na podstawie horoskopów. Jak mógł inteligentny, wykształcony człowiek, wielki człowiek, naprawdę, jeden z najpotężniejszych ludzi

*Przekład Emil Zegadłowicz.

swoich czasów... jak ktoś taki jak on mógł wierzyć w coś takiego? — powiedział biskup Archer. — Dla mnie to zagadka, tajemnica, na którą pewnie nigdy sobie nie odpowiemy.

Zobaczyłam, jak bardzo jest zmęczony, wzięłam więc płaszcz i torebkę, powiedziałam dobranoc i wyszłam.

Za wycieraczką tkwił mandat. Cholera, pomyślałam, wkładając mandat do kieszeni. Podczas gdy czytaliśmy Goethego, Uroczą Rita Automatowa Parkingowa wlepiła mi karę. Cóż to za dziwny świat, pomyślałam. Albo raczej dziwne światy, liczba mnoga. Nie mają ze sobą nic wspólnego.

9

Biskup Timothy Archer po długich modlitwach i rozmyślaniach, po zaangażowaniu swoich nieprzeciętnych zdolności analitycznych, doszedł do wniosku, że musi ustąpić ze stanowiska biskupa episkopalnej diecezji Kalifornii i przejść, jak to określił, do sektora prywatnego. Omawiał tę kwestię ze mną i Kirsten bardzo gruntownie.

— Nie wierzę w realność Chrystusa. Ani trochę — poinformował nas. — Sumienie nie pozwala mi głosić dalej kerygmatu Nowego Testamentu. Ilekroć staję przed zgromadzeniem wiernych, mam poczucie, że ich oszukuję.

— Niedawno powiedziałaś Billowi Lundborgowi, że powrót Jeffa jest dowodem na realność Chrystusa — przypomniałam.

— Nie jest — powiedział Tim. — Rozważyłem to dogłębnie i stwierdziłem, że to nie jest dowód.

— Czego to w takim razie dowodzi? — spytała Kirsten.

— Istnienia życia po śmierci. Ale nie realności Chrystusa. Jezus był nauczycielem, którego nauczanie nie było nawet oryginalne. Mam nazwisko doktora Garreta, medium, które mieszka w Santa Barbara. Polecę tam, żeby się z nim skonsultować i spróbować porozmawiać z Jeffem. Poleciał mi go pan Mason. — Wyjął z kieszeni — kartkę papieru. — O! — powiedział. — Doktor Garret to kobieta. Rachel Garret. Hmm... Byłem pewien, że to mężczyzna. — Spytał, czy chcemy mu towarzyszyć do Santa Barbara. Miał zamiar, jak wyjaśnił, spytać Jeffa o Chrystusa. Jeff mógł mu powiedzieć za pośrednictwem medium, doktor Rachel Garret, czy Chrystus rzeczywiście istnieje, czy jest naprawdę Synem Bożym i całą resztę tych rzeczy, o których uczą Kościoły. To miała być ważna wyprawa, od jej wyniku zależała decyzja Tima, czy zrezygnować ze stanowiska biskupa.

Co więcej, w grę wchodziła wiara Tima. Przez dziesięciolecia awansował w hierarchii Kościoła episkopalnego, a teraz miał poważne wątpliwości co do ważności chrze-

ścijaństwa. To było jego określenie: „ważność”. Uznałam za słabe i powierzchowne, tragicznie nie wystarczające wobec potężnych sił, zmagających się w sercu i umyśle Tima. Takiego jednak określenia użył. Mówił spokojnie, bez cienia jakichś historycznych akcentów. Zupełnie jakby się zastanawiał nad kupnem garnituru.

— Chrystus — mówił — to jest rola, a nie osoba. To słowo jest błędną transliteracją hebrajskiego *Messiah*, co dosłownie znaczy Pomazaniec, czyli Wybrany. Mesjasz, rzecz jasna, przychodzi na koniec świata i ustanawia Złoty Wiek, zastępujący Wiek Żelaza, w którym teraz żyjemy. Znajduje to swój najpiękniejszy wyraz w *Eklodze Czwartej* Wergiliusza. Zaraz... mam ją tutaj. — Sięgnął do swoich ksiąg, jak zawsze w chwilach doniosłych.

— Nie chcemy słuchać Wergiliusza — zaprotestowała Kirsten zgrzytliwym tonem.

— O, jest tutaj — powiedział Tim, nie zwracając na nią uwagi.

*Ultima Cumaei venit lam carminis aetas;
Magnus...*

— Wystarczy — przerwała mu brutalnie Kirsten.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Uważam, że ten pomysł z rezygnacją jest szaleńczo głupi i egoistyczny — powiedziała Kirsten.

— Pozwól, że przynajmniej przetłumaczę tę eklogę — zaproponował Tim. — Wtedy może lepiej zrozumiesz...

— Dobrze rozumiem, że chcesz zniszczyć życie sobie i mnie. A co będzie ze mną? Tim potrząsnął głową.

— Będę zatrudniony w Fundacji Wolnych Instytucji.

— A cóż to, do diabła, jest? — spytała Kirsten.

— To trust mózgow — powiedziałam. — W Santa Barbara.

— Będiesz więc z nimi rozmawiał, kiedy tam pojedziesz? — spytała Kirsten.

— Tak. — Kiwnął głową. — Mam spotkanie z Pomeroyem, który tym kieruje, Felton Pomeroy. Miałbym być ich konsultantem w sprawach teologicznych.

— Są bardzo cenieni — powiedziałam.

Kirsten rzuciła mi spojrzenie, od którego uschłoby drzewo.

— Nic nie zostało jeszcze postanowione — powiedział Tim. — I tak mamy się widzieć z Rachel Garret... Nie wiem, dlaczego nie mielibyśmy tego połączyć. W ten sposób będę tam musiał lecieć tylko raz.

— To ja mam ustalać twoje spotkania — powiedziała Kirsten.

— Właściwie będzie to zupełnie niezobowiązująca rozmowa. Zjemy lunch... poznam pozostałych konsultantów. Zobaczę ich domy i ogrody. Mają urocze ogrody. Widziałem

je kilka lat temu i nadal je pamiętam. Spodobają ci się, Angel — zwrócił się do mnie. — Są tam wszystkie odmiany róż, zwłaszcza Róża Pokoju. Wszystkie pięciogwiazdkowe róże, czy jak tam oznacza się hierarchię u róż. Czy mogę wam przeczytać tłumaczenie eklogi Wergiliusza?

*Już ostatni kumejskiej wróżby rok nadchodzi,
Wielki wieków porządek na nowo się rodzi,
Wraca Astrea, wraca i Saturn na ziemię
I z górnych niebios na świat nowe schodzi plemię.*

*O ty, czysta Lucyno, chciej sprzyjać dziecinie,
Pod którą nam dopiero wiek żelazny zginie,
A z nowym rodem na świat złoty wiek nastanie,
Sprzyjaj! Już twój Apollo objął panowanie*.*

Kirsten i ja wymieniliśmy spojrzenia. Widziałam, że Kirsten porusza wargami, ale nie słyszałam żadnego dźwięku. Bóg jedyny wie, co mówiła i myślała w tym momencie, patrząc, jak Tim przekreśla swoją karierę i życie z przekonania, a raczej z braku przekonania, braku wiary w Zbawiciela.

Problem Kirsten polegał na tym, że nie widziała żadnego problemu. Dla niej dylemat Tima był pozorny, całkowicie wydumany. Tak jak ona to widziała, mógł się uwolnić od tego problemu w każdej chwili. Według jej analizy, Timowi po prostu znudziła się praca biskupa i rozglądał się za czymś nowym. Powoływanie się na utratę wiary w Chrystusa było tylko pretekstem do zmiany zajęcia. Ponieważ było to głupie z punktu widzenia kariery, ona tego nie akceptowała. Tyle przecież skorzystała dzięki jego stanowisku; tak jak powiedziała, Tim nie myślał o niej, myślał tylko o sobie.

— Doktor Garret ma świetne rekomendacje — powiedział Tim niemal prosząco, jakby zwracał się do którejś z nas o pomoc.

— Tim — powiedziałam — naprawdę myślę...

— Ty myślisz kroczeniem — przerwała mi Kirsten.

— Że co? — spytałam.

— To, co słyszałaś. Wiem o tych waszych rozmówkach, które prowadzicie, kiedy ja pójdę spać. Kiedy zostajecie sami. I wiem, że chodzicie na randki.

— Z kim?

— Ze sobą.

— Jezu.

— Tak, Jezu — powtórzyła Kirsten. — Zawsze ten Jezus. Zawsze wzywacie Syna Wszechmogącego Boga, żeby usprawiedliwić swój egoizm i to, co macie ochotę zrobić. Uważam, że to obrzydliwe. Uważam, że oboje jesteście obrzydliwi. Wiem, że w zeszłym tygodniu byłeś w jej cholernym sklepie — zwróciła się do Tima.

* Przekład Kajetan Koźmian.

— Żeby kupić album — powiedział Tim. — *Fidelio*.

— Mogłeś go kupić tutaj w mieście. Albo mogłeś to zlecić mnie.

— Chciałem zobaczyć, co ona ma...

— Nie ma nic takiego, czego ja nie mam — powiedziała Kirsten.

— *Missa Solemnis* — wybąknął Tim. Wyglądał na oszołomionego, spojrzął na mnie.

— Czy ty możesz jej wytłumaczyć?

— Sama mogę sobie wytłumaczyć — mówiła Kirsten. — Doskonale mogę sobie wytłumaczyć, co się tu dzieje.

— Lepiej przestań brać te prochy, Kirsten — powiedziałam.

— A ty lepiej przestań tu przyłazić pięć razy dziennie. — Biła od niej taka wściekła nienawiść, że nie mogłam uwierzyć własnym oczom. — Palisz więcej trawy... — Urwała. — Więcej niż cała policja w San Francisco wypala przez miesiąc. Przepraszam. Nie czuję się najlepiej. Zostawię was. — Wyszła do sypialni, drzwi zamknęły się za nią cicho. Słyszeliśmy, jak kręci się po pokoju, potem poszła do łazienki. Odkręciła wodę, brała prochy, pewnie barbiturany.

— To barbiturany powodują takie zmiany osobowości — powiedziałam do Tima, który stał osłupiały. — To nie ona, to prochy.

— Myślę... — Próbował się skupić. — Naprawdę chcę polecieć do Santa Barbara, żeby zobaczyć się z doktor Garret. Myślisz, że to dlatego, że ona jest kobietą?

— Kto? Kirsten czy ta Garret?

— Garret. Byłbym przysięgł, że to mężczyzna, dopiero teraz zauważyłem imię. Może źle zapisałem. Chyba to ją zdenerwowało. Uspokoi się. Dojdziemy do ładu. Doktor Mason mówił o doktor Garret jako o osobie starszej, schorowanej i rzadko już przyjmującej, nie powinna więc stanowić żadnego zagrożenia, kiedy Kirsten ją zobaczy.

— Czy słuchałeś już tej *Missa Solemnis*, którą u mnie kupiłeś? — spytałam, żeby zmienić temat.

— Nie — powiedział Tim obojętnie. — Nie miałem czasu.

— Nie jest to najlepsze nagranie. Columbia stosuje specyficzne rozmieszczenie mikrofonów. Rozrzucają je wśród orkiestry z myślą o wydobyciu poszczególnych instrumentów. Pomysł jest dobry, ale w ten sposób ginie nastrój sali koncertowej.

— Ona się przejmuje moją rezygnacją ze stanowiska biskupa.

— Powinieneś się nad tym jeszcze zastanowić — powiedziałam. — Zanim się zdecydujesz. Czy jesteś pewien, że chcesz się poradzić tego medium? Czy w Kościele nie ma kogoś, do kogo człowiek idzie, kiedy przeżywa kryzys duchowy?

— Będę się radził Jeffa. Medium działa jako bierny pośrednik; trochę tak, jak przez telefon. — Tu wdał się w wyjaśnienia, jak niewłaściwie rozumiane są media. Słuchałam jednym uchem, bez zainteresowania. Wrogość Kirsten wyprowadziła mnie z równowagi, mimo że nie była dla mnie nowością. Tym razem jednak wykroczyła poza swoją

chroniczną złośliwość. Potrafię rozpoznać ofiarę środków uspokajających na pierwszy rzut oka, pomyślałam. Przemiana osobowości, błyskawiczne wybuchy gniewu, paranoja. Ona wysiada na naszych oczach. Tonie. Gorzej, bo nie idzie pod wodę sama, wczepiła się w nas pazurami i wciąga nas za sobą. Cholera. To straszne. Ktoś taki jak Tim Archer nie powinien się temu poddawać. Ja też nie powinnam się temu poddawać.

W drzwiach sypialni pokazała się Kirsten.

— Chodź tutaj — powiedziała do Tima.

— Przyjdę za chwilę — odpowiedział.

— Przyjdiesz zaraz.

— To ja wychodzę — powiedziałam.

— Nie, nigdzie nie pójdziesz. Mam jeszcze z tobą do pomówienia. Uważasz, że nie powinienem rezygnować ze stanowiska biskupa? Kiedy wyjdzie moja książka o Jeffie, i tak będę musiał to zrobić. Kościół nie pozwoli mi opublikować tak kontrowersyjnej książki. Jest dla nich zbyt radykalna albo, ujmując rzecz inaczej, to oni są zbyt reakcyjni. Książka wyprzedza swoje czasy, a oni pozostają w tyle za czasami. Nie ma różnicy między moim stanowiskiem w tej sprawie, a moim stanowiskiem w sprawie wojny w Wietnamie. Postawiłem na swoim w tamtej sprawie i teoretycznie powinienem móc postawić na swoim w kwestii życia pozagrobowego, ale w sprawie wojny popierała mnie amerykańska młodzież, a w tej sprawie nie popiera mnie nikt.

— Ja cię popieram — powiedziała Kirsten — ale to się nie liczy.

— Chodzi mi o poparcie publiczne. O poparcie tych, którzy mają władzę, którzy, na nieszczęście, kontrolują ludzkie umysły.

— Moje poparcie się nie liczy — powtórzyła Kirsten.

— Ależ bardzo się liczy — powiedział Tim. — Bez ciebie nie mógłbym... nie odważyłbym się napisać tej książki. Bez ciebie bym nawet nie uwierzył. To ty dajesz mi siłę. I zdolność zrozumienia. A od Jeffa, kiedy nawiążemy z nim kontakt, dowiem się w ten czy inny sposób o Jezusie Chrystusie. Dowiem się, czy sadokickie dokumenty rzeczywiście dowodzą, że Jezus tylko powtarzał to, czego go nauczono... albo może Jeff powie mi, że Chrystus jest z nim albo on z Chrystusem w tym innym świecie, w górnym królestwie, do którego wszyscy kiedyś pójdziemy, a w którym on jest teraz i stara się z nami porozumieć najlepiej, jak potrafi, niech go Bóg ma w swojej opiece.

— Widzę, że dla ciebie cała ta sprawa z Jeffem stała się okazją do wyjaśnienia twoich wątpliwości co do znaczenia sadokickich rękopisów...

— Chyba wyraziłem się w tej sprawie jasno — przerwał mi Tim opryskliwie. — Dlatego rozmowa z nim jest taka ważna.

Jakie to dziwne, pomyślałam. Wykorzystywać swojego syna... wykorzystywać w sposób wyrachowany swojego nieżyjącego syna dla rozwiązania problemu historycznego. Ale dla Tima Archera to coś więcej niż problem historyczny, to cały jego kodeks, *sum-*

ma jego wiary. Wiara albo utrata wiary. To, o co tutaj toczy się gra, to wiara albo nihilizm, dla Tima utrata Chrystusa to utrata wszystkiego. A on Go utracił. To, co powiedział do Billa tamtej nocy, mogło być dla niego ostatnią próbą obrony forticy przed jej poddaniem. Mógł skapitulować wtedy albo nawet wcześniej. Swoje argumenty czerpał z pamięci jak z otwartej książki. Miał przed sobą zapisany tekst, jak wtedy, kiedy czyta z mszału podczas celebracji Ostatniej Wieczerzy.

Syn, jego syn, a mój mąż podporządkowany jakiejś kwestii intelektualnej... ja nigdy bym nie potrafiła tak do tego podejść. To oznacza odczłowieczenie Jeffa Archera, przekształcenie go w instrument, w narzędzie zdobywania wiedzy... tak, Jeff zostaje zmieniony w gadającą książkę! Jak te wszystkie książki, po które Tim sięga, zwłaszcza w chwilach kryzysu. Wszystko, co ważne, jest zapisane w książkach, dlatego też, jeżeli Jeff jest ważny, to jest ważny jako książka, a nie jako człowiek. Są to zatem książki dla książek, a nie nawet wiedza dla wiedzy. Książka jest rzeczywistością. Jeżeli Tim ma kochać i cenić swojego syna, musi, choć wydaje się to niemożliwe, traktować go jako coś w rodzaju książki. Dla Tima Archera wszechświat jest jedną wielką biblioteką podręczną, po której jego niespokojny umysł buszuje w poszukiwaniu cytatów, stale poszukując czegoś nowego, stale odwracając się od tego, co stare. To coś wręcz przeciwnego do tego cytatu z *Fausta*, który odczytał: Tim nie znalazł chwili, której mógłby kazać stanąć, ona mu wciąż umyka, jest stale w ruchu.

A ja niewiele się od niego różnię, uświadomiłam sobie. Ja, która ukończyłam wydział anglistyki na Uniwersytecie w Berkeley. Tim i ja jesteśmy z tej samej gliny. Czyż nie zostałam odmieniona tamtego dnia w szkole, kiedy po raz pierwszy przeczytałam ostatnią pieśń *Komedii* Dantego? Pieśń trzydziestą trzecią z *Raju*, dla mnie najważniejszą, w której Dante mówi:

*W jej łonie widzę wszystkich bytów przedze:
Kochanie wiąże jednolitym splotem
To, co oddzielnie stoi w świata księdze.
Treść i przejawy rzeczy z ich przymiotem,
Złożone razem w takie pełne dziwo,
Że z mojej mowy trudno sądzić o tem*.*

A potem komentarz C.H. Grandgenta do tego fragmentu:

„Księgą świata jest Bóg”.

Na co inny komentator, zapomniałam który, stwierdził: „To jest pogląd platoński”. Platoński czy nieplatoński, jest to ciąg słów, który mnie ukształtował, który uczynił mnie tym, czym jestem: to jest moje źródło, ta wizja i świadectwo, to spojrzenie na rze-

* Przekład Edward Porębowicz

czy ostatnie. Nie uważam się za chrześcijankę, ale nie potrafię zapomnieć tego widoku, tego zachwytu. Pamiętam wieczór, kiedy czytałam tę ostatnią pieśń *Raju*, czytałam ją, naprawdę czytałam po raz pierwszy. Bolał mnie ząb, okropnie, nie do wytrzymania, siedziałam więc przez całą noc, pijąc nie rozcieńczonego bourbona i czytając Dantego, a następnego dnia o dziewiątej rano pojechałam bez zapowiedzi do dentysty, weszłam do gabinetu ze łzami kapiącymi po policzkach i zażądałam, żeby doktor Davidson coś ze mną zrobił... co też się stało. Tak więc ta ostatnia pieśń dobrze wryła mi się w pamięć, łącząc się ze strasznym bólem, z bólem, który trwał przez wiele godzin w nocy, przez co nie mogłam nikomu o tym opowiedzieć, i wyszłam z tego z własną miarą rzeczy ostatecznych, nie jakąś formalną czy oficjalną, ale mimo to z jakąś miarą.

*Przezeń nauczon jest człek,
Że mądrość li zdobył świat,
Gdy wie, co znaczy ból*.*

Czy jakoś tak. Ajschylos? Zapomniałam już. Jeden z tych trzech, którzy pisali tragedie.

Mogę więc jak najbardziej zgodnie z prawdą powiedzieć, że dla mnie chwila największego zrozumienia, w której zetknęłam się z rzeczywistością duchową, nadeszła w związku z kanałowym leczeniem zęba, z dwiema godzinami na fotelu dentystycznym. I z dwudziestoma godzinami picia bourbona, kiepskiego bourbona na dodatek, i po prostu czytania Dantego, bez słuchania stereo albo jedzenia (nie mogłam myśleć o jedzeniu)... i cierpienia. I warto było, nigdy tego nie zapomnę. Nie różnię się zatem od Tima Archera. Dla mnie też książki są rzeczywiste i żywe. Przemawiają z nich głosy ludzi i domagają się mojej zgody, tak jak Bóg domaga się od nas zgody na świat, jak powiedział Tim. Ktoś, kto przeżył taką noc, nigdy nie zapomni tego, co robił, widział, myślał i czytał tej nocy. Ja nic nie robiłam, nic nie widziałam i nic nie myślałam, pamiętam, co czytałam. Nie był to *Kaczor Howard* ani żaden inny komiks, czytałam *Komedie* Dantego, od *Piekle* przez *Czyścić*, aż w końcu doszłam do trzech barwnych pierścieni światła... i była dziewiąta rano i mogłam wsiąść do mojego cholernego samochodu, rzucić się w wir ruchu i wpaść do gabinetu doktora Davidsona, płacząc i klęcząc przez całą drogę, bez śniadania i nawet bez kawy, cuchnąc potem i bourbonem, w stanie naprawdę godnym politowania, budząc zdziwienie recepcjonistki.

Tak więc dla mnie w pewien niezwykle sposób, z pewnych niezwykle powodów, książki są przemieszane z rzeczywistością. Łączą się przez jeden przypadek: pewnej nocy moje życie intelektualne i moje życie praktyczne splotły się w jedno (nie ma nic bardziej realnego niż bolący ząb) i potem już nigdy się tak całkiem nie rozdzieliły. Gdybym wierzyła w Boga, powiedziałabym, że zademonstrował mi coś tamtej nocy, pokazał mi pełnię: ból, fizyczny ból kropla po kropli, a potem, i w tym jest jego przeraża-

* Przekład Jan Kasproicz.

jąca łaska, przyszło zrozumienie... I cóż takiego zrozumiałam? Że wszystko to jest rzeczywiste, bolący ząb i leczenie kanałowe, i ni mniej, ni więcej:

*Oto w głębinie materii przejrzystej
Światła zjawiał się rys Trojga Obręczy,
Równych w obwodzie, lecz barwy troistej.*

To była Dantego wizja Boga jako Trójcy. Większość ludzi, którzy próbują czytać *Komedie*, grzęźnie w *Piekle* i uważa, że jego wizja to taki gabinet okropności: ludzie posyją w gównie, ludzie głową w dół w gównie i lodowe jezioro (co sugeruje wpływy arabskie, bo to jest piekło muzułmańskie), ale to jest zaledwie początek podróży, to się tylko tak zaczyna. Tamtej nocy przeczytałam *Komedie* od deski do deski, a potem pognąłam do doktora Davidsona i nigdy już nie byłam taka sama. Nigdy już nie wróciłam do tego, czym byłam przedtem. Tak więc dla mnie też książki są rzeczywiste. Dzięki nim kontaktuję się nie tylko z innymi umysłami, lecz także z wizjami tych innych umysłów, z tym, co te umysły widzą i rozumieją. Widzę ich światy tak samo, jak widzę swoje. Ból, płacz, pot, zaduch i tani bourbon Jim Bean stały się moim *Piekłem* i nie było to nic wyimaginowanego. To, co czytałam, nosiło etykietkę „Raj” i to był Raj. I to jest tryumf wizji Dantego: że wszystkie te krainy są realne, nie mniej niż inne i nie bardziej niż inne. I wszystkie przechodzą jedna w drugą za pośrednictwem tego, co Bill nazwałby „stopniowym przerastaniem”, i co jest rzeczywiście właściwym określeniem. Jest w tym harmonia, bo jak w dzisiejszych samochodach w przeciwieństwie do samochodów z lat trzydziestych, nie ma gwałtownego przeskoku.

Niech mnie ręka boska broni przed jeszcze jedną taką nocą. Ale, do licha, gdybym nie przeżyła tej nocy, pijąc i płacząc, czytając i skręcając się z bólu, nigdy bym się tak naprawdę nie narodziła. To był czas moich narodzin w realnym świecie, a świat realny stanowi dla mnie mieszanka bólu i piękna, i to jest jedyne właściwe podejście, ponieważ to są elementy, z których składa się rzeczywistość. A ja miałam je wszystkie tamtej nocy, włącznie z paczuszką środków przeciwbólowych, które dostałam od dentysty, kiedy już skończyła się moja męka. Wróciłam do domu, zażyłam proszek, napiłam się kawy i poszłam do łóżka.

Podejrzewam, że to jest coś, czego Tim nie zrobił. Albo nie scalił książki z bólem, albo zrobił to w jakiś niewłaściwy sposób. Znał melodię, ale nie znał słów. A właściwie znał słowa, ale te słowa nie odnosiły się do świata, tylko do innych światów, co filozofowie i logicy nazywają „błędnym kołem”. Czasami w książkach i artykułach mówi się, że komuś „grozi popadnięcie w błędne koło”, co oznacza, że myśliciel znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Zazwyczaj nie zdaje sobie z tego sprawy. Krytyczny komentator z bystrym okiem i umysłem przychodzi i wytyka mu to. Albo nie. Ja nie mogłam ode-

grać roli tego komentatora wobec Tima Archera. A kto mógł? Bill podjął całkiem udaną próbę i został odesłany do swojego mieszkania w East Bay dla nabrania rozumu.

Jeff zna odpowiedzi na moje pytania — stwierdził Tim. Tak, powinnam odpowiedzieć, tyle że Jeff nie istnieje. A najprawdopodobniej same pytania są też nierzeczywiste.

Pozostawał więc tylko Tim. A on z zapałem pracował nad swoją książką o powrocie Jeffa z tamtego świata, książką, która, jak Tim wiedział, będzie oznaczać koniec jego kariery w Kościele episkopalnym, a ponadto wyeliminuje go z wpływu na opinię publiczną. To bardzo wysoka cena, to bardzo błędne koło. Które rzeczywiście groziło. Było tuż-tuż. Zbliżał się czas wyprawy do Santa Barbara i spotkania z medium, doktor Rachel Garret.

Uważam Santa Barbara za jedną z najbardziej urzekająco pięknych miejscowości w tym kraju. Chociaż technicznie (czyli geograficznie) stanowi ona część Południowej Kalifornii, to duchowo do niej nie należy. Albo to, albo my na północy całkowicie nie rozumiemy południa. Przed paroma laty protestujący przeciwko wojnie studenci z uniwersytetu stanowego w Santa Barbara spalili ku cichej radości wszystkich Bank Amerykański. Z tego wynika, że miasto nie jest zupełnie odcięte od świata, nie żyje w izolacji, chociaż jego uroczne ogrody sugerują raczej łagodny charakter mieszkańców.

Poleciliśmy w trójkę z Międzynarodowego Lotniska San Francisco na małe lotnisko w Santa Barbara. Musieliśmy lecieć dwumotorowym samolotem śmigłowym, bo pas startowy jest tam za krótki dla odrzutowców. Prawo nakazuje zachowanie hiszpańskiego stylu kolonialnego typu *adobe*. Kiedy jechaliśmy taksówką do domu, w którym mieliśmy się zatrzymać, zauważyłam dominujący styl hiszpański we wszystkim, włącznie z galeriowymi centrami handlowymi. To jest miejsce, w którym mogłabym mieszkać, pomyślałam. Jeżeli kiedykolwiek opuścę Strefę Zatokową.

Znajomi Tima, u których się zatrzymaliśmy, nie zrobili na mnie wrażenia: zamknięci w sobie, wyniośli, zamożni ludzie, którzy nie wchodzili nam w drogę. Zatrudniali służbę. Kirsten i Tim dostali wspólny pokój, ja spałam w osobnym, dość małym pokoiku, wykorzystywanym wyraźnie tylko wtedy, kiedy pozostałe były zajęte.

Następnego dnia rano Tim, Kirsten i ja pojechaliśmy taksówką na wizytę do doktor Rachel Garret, która bez wątpienia potrafi kontaktować się ze zmarłymi, z tamtym światem, uzdrawiać chorych, przemieniać wodę w wino i dokonywać wszystkich innych cudów zależnie od potrzeb. Tim i Kirsten byli wyraźnie podnieceni, ja nie czułam nic szczególnego, może tylko niejasne przecucie tego, co chcieliśmy zrobić, tego, co nas czekało, nawet nie ciekawość: coś, co może odczuwać rozcwiasta na dnie kałuży po odpływie.

Doktor Garret okazała się dość żwawą, małą starą Irlandką, ubraną mimo ciepłego dnia w czerwony sweter, pantofle na niskim obcasie i wygodną spódnicę, wskazującą, że sama wykonuje prace domowe.

— Nie dosłyszałam, kim jesteście? — spytała, przykładając dłoń do ucha. Nie potrafiła nawet zgadnąć, kto stoi przed nią na ganku. Niezbyt zachęcający początek, pomyślałam.

Po chwili siedzieliśmy we czwórkę w przyciemnionym saloniku, pijąc herbatę i słuchając entuzjastycznej opowieści doktor Garret o bohaterstwie Irlandzkiej Armii Powstańczej, na którą, jak nam z dumą powiedziała, przeznaczają wszystkie honoraria z seansów. Jednak „seans”, jak nas poinformowała, jest nieodpowiednim słowem, gdyż sugeruje coś okultystycznego. To natomiast, co ona robi, mieści się całkowicie w świecie naturalnym, można to wręcz nazwać nauką. W rogu pokoju, między innymi archaicznymi sprzętami, zobaczyłam radioadapter Magnavox z lat czterdziestych, z tych dużych, z dwoma identycznymi dwudziestocalowymi głośnikami. Po obu stronach Magnavoxa leżały stosy starych płyt z Bingiem Crosby, Natem Colem i innym śmieciem z tego okresu. Zastanawiałam się, czy doktor Garret nadal ich słucha. Zastanawiałam się też, czy w jakiś nadprzyrodzony sposób dotarła do niej wiadomość o płytach długogrających i współczesnych muzykach. Pewno nie.

— A ty jesteś ich córką? — zwróciła się do mnie doktor Garret.

— Nie — powiedziałam.

— To moja synowa — wyjaśnił Tim.

— Masz indiańskiego przewodnika — poinformowała mnie pogodnie doktor Garret.

— Naprawdę? — mruknęłam.

— Stoi tuż za tobą z lewej strony. Ma bardzo długie włosy. A z prawej strony stoi twój prapradziadek ze strony ojca. Oni są zawsze z tobą.

— Tak mi się wydawało — powiedziałam.

Kirsten posłała mi jedno ze swoich niejasnych spojrzeń i więcej się nie odzywała. Poprawiłam się na kanapie obłożonej poduszkami, przyjrzałam się paproci rosnącej w wielkim glinianym naczyniu obok drzwi wychodzących na ogród... Zauważyłam na ścianach zdjęcia słynnych przegranych polityków z lat dwudziestych.

— Chodzi o syna? — spytała doktor Garret.

— Tak — potwierdził Tim.

Poczułam się, jakbym została przeniesiona do opery Gian Carla Menottiego *Medium*, o której Menotti pisze w notce na płycie, że dzieje się w „dziwacznym i obskurnym gabinecie madame Flory”. To są kłopoty wynikające z wykształcenia, uświadomiłam sobie; wszędzie się już było, wszystko się widziało z drugiej ręki, wszystko się już zdarzyło. Jesteśmy państwem Gobineau, którzy odwiedzają madame Florę, oszustkę i wariat-

kę. Państwo Gobineau przychodzili na seanse — czy raczej sesje naukowe — madame Flory raz w tygodniu przez prawie dwa lata, jeśli dobrze pamiętam. Co za nuda. A co najgorsze, pieniądze, które Tim zapłaci, pójdą na zabijanie brytyjskich żołnierzy, ona przecież zbiera fundusze dla terrorystów. Wspaniale.

— Jak ma na imię wasz syn? — spytała doktor Garret. Siedziała w starym wiklinowym fotelu, odchyłona na oparcie, dłonie spłotła na kolanach, oczy się jej powoli zamykały. Zaczęła oddychać przez usta, jak osoba bardzo chora; jej skóra z małymi kępkami włosów, rosnącymi tu i ówdzie niczym usychające wątle roślinki, przypominała mrozonego kurczaka. Cały ten pokój i wszystko w nim miało w sobie coś roślinnego, bez cienia jakiegokolwiek witalności. Czułam, że jestem znużona i dalej pozbawiana energii, jakby coś ją ze mnie wysysało. Może to oświetlenie, czy raczej brak światła, stwarzał takie wrażenie. Nie było to przyjemne.

— Jeff — odezwał się Tim. Siedział spięty, z oczami utkwionymi w doktor Garret. Kirsten wyjęła z torebki papierosa, ale go nie zapalała. Ona też wpatrywała się w doktor Garret z wyraźną nadzieją.

— Jeff przeszedł na tamten brzeg — powiedziała doktor Garret. Jak doniosły gazety, pomyślałam. Spodziewałam się po doktor Garret długiego wstępu dla stworzenia nastroju. Pomyliłam się. Przeszła od razu do rzeczy.

— Jeff chce, żebyście wiedzieli, że... — umilkła, jakby nasłuchiwała. — Nie powinniście się czuć winni. Jeff usiłował się z wami skomunikować od pewnego czasu. Chciał wam powiedzieć, że wam przebacza. Próbował różnych sposobów, żeby przyciągnąć waszą uwagę. Wbijał wam szpilki pod paznokcie, tłukł różne rzeczy, zostawiał do was liściki... — Doktor Garret szeroko otworzyła oczy. — Jeff jest bardzo wzburzony. On... — Umilkła. — On sobie odebrał życie.

Idziesz na całość, pomyślałam złośliwie.

— Tak, to prawda — potwierdziła Kirsten, jakby stwierdzenie doktor Garret było jakimś objawieniem albo w zaskakujący sposób potwierdzało coś, co dotychczas tylko podejrzewano.

— I to w sposób gwałtowny — mówiła doktor Garret. — Mam takie wrażenie, jakby użył broni palnej.

— Zgadza się — potwierdził Tim.

— Jeff chce, żebyście wiedzieli, że nie odczuwa już bólu. Kiedy sobie odebrał życie, odczuwał wielki ból. Nie chciał, żebyście o tym wiedzieli. Cierpiał na skutek głębokich wątpliwości co do sensu życia.

— A co mówi do mnie? — spytałam.

Doktor Garret otworzyła na chwilę oczy, żeby sprawdzić, kto mówi.

— Był moim mężem — powiedziałam.

— Jeff mówi, że cię kocha i modli się za ciebie. Chce, żebyś była szczęśliwa.

Za to plus pięćdziesiąt centów możesz sobie kupić kubek kawy, pomyślałam.

— To nie wszystko — oświadczyła doktor Garret. — Jest dużo więcej. To istna powódź. O rety! Jeff, co ty usiłujesz nam powiedzieć? — Słuchała przez chwilę w milczeniu, a na jej twarzy malowało się wzburzenie. — Kim był ten człowiek w restauracji? — Znow szeroko otworzyła oczy. — Mój Boże, to agent sowieckiej policji.

Jezu, pomyślałam.

— Ale nie musicie się przejmować — powiedziała doktor Garret z ulgą i oparła się wygodnie. — Bóg ześle na niego karę.

Spojrzałam pytająco na Kirsten, usiłując zwrócić na siebie jej uwagę. Chciałam się dowiedzieć, czy rozmawiała z doktor Garret. Kirsten jednak siedziała wpatrzona w starszą panią wyraźnie oniemiała. Chyba więc miałam odpowiedź.

— Jeff mówi — ciągnęła doktor Garret — że związek jego ojca z Kirsten stanowi dla niego źródło wielkiej radości. To jest dla niego wielkim pocieszeniem. Chce, żebyście to wiedzieli. Kto to jest Kirsten?

— To ja — powiedziała Kirsten.

— Jeff mówi — kontynuowała starsza pani — że cię kocha.

Kirsten milczała, ale słuchała w napięciu, jakiego nigdy dotąd u niej nie widziałam.

— Uważał, że to coś złego — mówiła doktor Garret. — Przykro mu, ale... to było silniejsze od niego. Czuje się winny i chciałby was prosić o przebaczenie.

— Ma je — powiedział Tim.

— Jeff mówi, że sam sobie nie może przebaczyć. Był też zły na Kirsten za to, że wkroczyła między niego, a ojca. Czuł się odcięty od ojca. Mam wrażenie, że jego ojciec i Kirsten wyjechali w długą podróż do Anglii, a jego zostawili. Odczuł to bardzo boleśnie. — Starsza pani znow zamilkła na chwilę. — Angel ma już nie brać narkotyków. Za dużo pali... o co chodzi, Jeff? Nie odbieram tego wyraźnie. Za dużo numerków. Nie wiem, co to znaczy.

Roześmiałam się. Wbrew sobie.

— Czy ty coś z tego rozumiesz? — spytała doktor Garret.

— Z grubsza — powiedziałam, nie chcąc jej dostarczać żadnych dodatkowych informacji.

— Jeff mówi, że cieszy się z twojej pracy w sklepie z płytami, ale — roześmiała się — za mało ci tam płacą. Wolał, kiedy pracowałeś w sklepie... w jakimś sklepie. Z butelkami?

— Biuro prawne i sklep ze świecami.

— Dziwne — powiedziała doktor Garret zdumiona. — Biuro prawne i sklep ze świecami.

— To było w Berkeley — wyjaśniłam.

— Jeff ma coś bardzo ważnego do powiedzenia Kirsten i swojemu ojcu. — Głos doktor Garret osłabł, przechodząc prawie w ochryply szept. Jakby dochodził z wielkiej odległości. Wędrując po niewidzialnych przewodach rozciągniętych między gwiazdami. — Jeff ma do przekazania wam dwojgu straszne wiadomości. To dlatego tak bardzo chciał się z wami skomunikować. To dlatego te szpilki, podpalenia, tłuczenie luster, nieporządki i napisy. On ma powód, straszny powód.

Potem cisza.

Pochyliłam się do Tima i powiedziałam:

— To jest decydująca piłka, ale ja wychodzę.

— Nie — powiedział Tim, kręcąc głową. Na jego twarzy malowało się udręczenie.

10

Cóż za szczególna mieszanina nonsensu i niesamowitości, pomyślałam, podczas gdy czekaliśmy, aż doktor Rachel Garret podejmie wątek. Wie o Fredzie Hillu, agencie KGB... wie, że Jeff nie lubił, kiedy pałę. Pewnie wiadomości pozbierane z gazet, ze spekulacji wokół prawdopodobnych motywów samobójstwa. *Lumpen* psychoanaliza i śmieci z prasy brukowej, a jednak tu i ówdzie jakiś fragment, jakiś okruch, którego nie da się wytłumaczyć.

Niewątpliwie doktor Garret miała łatwy dostęp do większości wiedzy, którą nam demonstrowała, ale pozostawała też nie wyjaśniona reszta, od której ciarki chodziły po grzbiecie. Reszta w rachunkach to coś, co „pozostaje po odjęciu udokumentowanych wydatków”, i miałam dużo czasu, wiele długich lat, żeby się zastanawiać, skąd się wzięła ta reszta. Głowiłam się nad tym i nie znalazłam żadnego wyjaśnienia. Skąd doktor Garret mogła wiedzieć o restauracji Pech? A jeżeli nawet dowiedziała się, że Kirsten i Tim poznali się w tym miejscu, to skąd mogła wiedzieć o Fredzie Hillu i o naszych podejrzeniach co do jego osoby?

Jeff i ja nieustannie żartowaliśmy na temat tego, że właściciel restauracji Pech w Berkeley jest agentem KGB, ale fakt ten nie został nigdzie zapisany, poza może komputerami FBI i, rzecz jasna, centralą KGB w Moskwie, a poza tym były to tylko domysły. Sprawa moich narkotyków mogła być przenikliwym domysłem, ponieważ mieszkałam i pracowałam w Berkeley, gdzie, jak każdy wie, wszyscy się narkotyzują, prawdę mówiąc, aż do przesady. Każde medium tradycyjnie opiera się na mieszance przeczuć i ogólnie dostępnej wiedzy, wskazówek nieświadomie podpowiadanych przez widownię, podpowiadanych nieświadomie i następnie odbieranych... a także, rzecz jasna, standardowego kitu w rodzaju „Jeff cię kocha”, „Jeff już nie cierpi” albo „Jeff miał wiele wątpliwości” — ogólników, z których można korzystać zawsze i wszędzie, jeżeli się zna fakty.

A jednak nie potrafiłam się uwolnić od niesamowitego uczucia, chociaż wiedziałam, że ta stara irlandzka dama, która dawała — albo mówiła, że daje — pieniądze na Irlandzką Armię Republikańską, jest oszustką, a my we trójkę jesteśmy dojeni z naszych pieniędzy, dojeni też w tym sensie, że nasza łatwowierność jest wykorzystywana i manipulowana przez kogoś, kto robi to zawodowo, przez profesjonalistkę. Pierwotne medium (brzmiało to jak jakieś medyczne określenie na raka, „nowotwór pierwotny”), doktor Mason bez wątpienia przekazał jej wszystko, czego on się dowiedział o sprawie. Media tak działają i wszyscy o tym wiedzą.

Należało wyjść przed wielką wiadomością, a teraz było już za późno, miała ją zrzucić na nasze głowy pozbawiona skrupułów staruszka ze znakiem dolara w oczach i umiejętnością wynajdowania słabych miejsc w ludzkiej psychice. Nie wyszliśmy jednak i teraz już nic nie mogło nas uratować od wysłuchania, co tak poruszyło Jeffa, co spowodowało, że wrócił do Tima i Kirsten pod postacią tajemniczych zjawisk, które oni codziennie zapisywali na użytek przyszłej książki Tima.

Miałam wrażenie, jakby doktor Rachel Garret bardzo się postarzała, siedząc w swoim wiklinowym fotelu i przysłała mi na mysi starożytna Sybilla, nie pamiętałam, która to była, ta z Delf czy z Kume, która poprosiła o nieśmiertelność, ale zapomniała dodać, że chce pozostać młoda i w rezultacie żyła wiecznie, ale tak się zestarzała, że w końcu przyjaciele powiesili ją w worku na ścianie. Rachel Garret przypominała ten strzęp przetartej skóry i wiązkę kruchych kości przemawiającą z worka przybitego do ściany. Do jakiej ściany w jakim mieście Imperium, tego nie wiem. Może ta Sybilla jest tam nadal, może ta istota siedząca na wprost nas jako Rachel Garret była w istocie tą samą Sybilla. Tak czy owak nie chciałam słyszeć, co ma nam do powiedzenia, chciałam wyjść.

— Siadaj — zakomenderowała Kirsten.

Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że bezwiednie wstałam. Reakcja ucieczkowa, pomyślałam. Instynktowna. W odpowiedzi na bliskość wroga. Gadzia część mózgu.

— Kirsten — szepnęła Rachel Garret, ale teraz wymówiła to imię prawidłowo: *Sziszten*, czego nie robię ani ja, ani kiedyś Jeff, ani Tim. Ale tak wymawiała to ona sama, zanim nie zrezygnowała, nie zdoławszy namówić do tego nikogo, przynajmniej w Stanach.

Słyszając to, Kirsten wydała zduszony jęk.

A staruszka w wiklinowym fotelu powiedziała:

*Ultima Cumaei venit iam carminis aetas;
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo:
Iam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna;
Iam nova...*

— Mój Boże — zawołał Tim. — Toż to *Czwarta Ekloga* Wergiliusza.

— Dosyć — powiedziała słabym głosem Kirsten.

Ta staruszka czyta w moich myślach, powiedziałam sobie. Wie, że myślałam o Sybilli.

Rachel Garret zwróciła się teraz do mnie:

*Dies irae, dies illa,
Solvat saeculum In favilla,
Teste David cum Sibylla.*

Tak, ona czyta w moich myślach, upewniłam się. Wie nawet, że ja wiem. Kiedy myśle, ona recytuje mi moje myśli z powrotem.

— *Mors Kirsten nunc carpit* — szepnęła Rachel Garret. — *Hodie. Calamitas... timeo...*

— Wyprężyła się w swoim wiklinowym fotelu.

— Co ona mówi? — zwróciła się Kirsten do Tima.

— Wkrótce umrzesz — powiedziała do niej spokojnie Rachel Garret. — Myślałam, że to dzisiaj, ale to nie będzie dzisiaj. Widziałam to tutaj, ale Jeff mówi, że jeszcze nie. Dlatego wrócił: żeby cię ostrzec.

— Jak umrze? — spytał Tim.

— On nie jest pewien — powiedziała Rachel Garret.

— Gwałtownie? — dopytywał się Tim.

— On nie wie — powiedziała starowinka. — Ale przygotowują już dla ciebie miejsce, Kirsten. — Całe jej podniecenie minęło, robiła teraz wrażenie całkowicie opanowanej. — To okropna wiadomość, Kirsten — powiedziała. — Przykro mi, Kirsten. Nic dziwnego, że Jeff narobił tyle zamieszania. Zazwyczaj jest powód... oni nie wracają bez powodu.

— Czy można coś zrobić? — spytał Tim.

— Jeff uważa, że to jest nieuniknione — odpowiedziała po chwili doktor Garret.

— W takim razie po co wracał? — spytała Kirsten ze złością. Twarz jej zbieleła.

— Chciał ostrzec też ojca — powiedziała stara pani.

— Przed czym? — spytałam.

— On ma jeszcze szansę — powiedziała Rachel Garret. — Nie, Jeff mówi, że nie. Jego ojciec umrze wkrótce po Kirsten. Zginiecie oboje. To będzie niedługo. Istnieje jakaś niepewność co do ojca, ale nie co do kobiety. Gdybym mogła udzielić wam bardziej szczegółowych informacji, zrobiłabym to. Jeff jest nadal ze mną, ale nie wie już nic więcej. — Rachel Garret zamknęła oczy i westchnęła.

Wyglądała, jakby uszła z niej cała energia, kiedy tak siedziała w starym fotelu ze splecionymi dłońmi, potem nagle pochyliła się i sięgnęła po swoją filiżankę.

— Jeffowi bardzo zależało, żebyście wiedzieli — powiedziała wyraźnie rześkim głosem. — Czuje się teraz znacznie lepiej. — Uśmiechnęła się do nas.

Kirsten, nadal popielata na twarzy, spytała, czy może zapalić.

— Wolałabym nie — powiedziała doktor Garret. — Ale skoro musisz...

— Dziękuję. — Kirsten drżącą ręką zapaliła papierosa. Wpatrywała się uporczywie w starą kobietę ze złością i niechęcią, albo tak mi się wydawało. Pomyślałam: tak jest, zabij spartańskich posłańców, moja damo, uznaj, że to ich wina.

— Chcemy pani bardzo podziękować — zwrócił się Tim do doktor Garret równym, kontrolowanym głosem. Zaczynał stopniowo odzyskiwać panowanie nad sobą i nad sytuacją. — Zatem Jeff ponad wszelką wątpliwość żyje na tamtym świecie? I to on przyszedł do nas z tym, co nazywamy „zjawiskami”?

— O tak — potwierdziła doktor Garret. — Ale Leonard już wam to mówił. Leonard Mason. Już to wiedzieliście.

— A czy to nie mógł być zły duch udający Jeffa, a nie Jeff? — spytałam.

Doktor Garret kiwnęła głową, jej oczy rozbłyły.

— Jesteś wyjątkowo czujna, młoda damo. Tak, mogłoby się tak zdarzyć, ale nie w tym przypadku. Człowiek uczy się to rozpoznawać. Nie stwierdziłam w nim ani cienia złości, tylko troskę i miłość. Angel, nazywasz się Angel, prawda, twój mąż przeprosza cię za swoje uczucie do Kirsten. Wie, że to nie jest wobec ciebie uczciwe, ale sądzi, że go zrozumiesz.

Nie odpowiedziałam.

— Czy dobrze zrozumiałam twoje imię? — spytała mnie doktor Garret nieśmiało.

— Dobrze — odpowiedziałam i zwróciłam się do Kirsten: — Daj mi pociągnąć.

— Masz. — Kirsten oddała mi papierosa. — Skończ go. Nie wolno mi palić. — A do Tima powiedziała: — I co? Idziemy. Nie widzę powodu, żeby tu dłużej siedzieć. — Sięgnęła po płaszcz i torebkę.

Tim zapłacił doktor Garret. Nie widziałam, ile, ale były to pieniądze, a nie czek, a potem zadzwonił po taksówkę. W dziesięć minut później jechaliśmy we troje krętymi, stromymi ulicami do domu, w którym teraz mieszkaliśmy.

Po chwili milczenia Tim powiedział na wpuł do siebie:

— To była ta sama ekloga Wergiliusza, którą ja wam czytałem. Tamtego dnia.

— Pamiętam — powiedziałam.

— To zadziwiający zbieg okoliczności. W żaden sposób nie mogła wiedzieć, że to mój ulubiony fragment. Oczywiście, jest to najszynniejsza z jego eklog... ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś oprócz mnie ją cytował. Kiedy doktor Garret przeszła na łacinę, to było tak, jakby ktoś recytował mi moje własne myśli.

I ja też doznałam takiego uczucia, pomyślałam. Tim doskonale to ujął. Trafnie i precyzyjnie.

— Tim — spytałam — czy mówiłeś coś doktorowi Masonowi o restauracji Pech?

— Co to jest restauracja Pech? — zdziwił się Tim.

— Miejsce, gdzie się poznaliśmy — wyjaśniła Kirsten.

— Nie — powiedział Tim. — Nie wiedziałem, że tak się nazywa. Ale pamiętam, co jedliśmy. Ja wziąłem...

— A czy mówiłeś komuś, kiedykolwiek, gdziekolwiek, o Fredzie Hillu?

— Nikogo takiego nie znam — powiedział Tim, przecierając zmęczone oczy.

— Przykro mi.

— Oni czytają w ludzkich umysłach — stwierdziła Kirsten. — Stąd ich wiadomości. Wiedziała, że mam kłopoty ze zdrowiem. Wiedziała, że martwię się tym zaciemnieniem w płucach.

— Jakie zaciemnienie? — Słyszałam o tym po raz pierwszy. — Robiłaś jakieś dalsze testy?

Kirsten milczała, odpowiedział za nią Tim.

— Znalezione u niej zaciemnienie. Kilka tygodni temu, podczas okresowego prześwietlenia. Nie sądzą, żeby to coś znaczyło.

— To znaczy, że umrę — powiedziała Kirsten ze złością, tonem pełnym jadu.

— Słyszałaś, co mówiła ta stara jędza.

— Zabij spartańskich posłańców — rzuciłam.

— Czy to jedna z twoich erudycyjnych odzywek z Berkeley? — Wściekle skoczyła na mnie Kirsten.

— Proszę — wtrącił słabym głosem Tim.

— To nie jej wina — powiedziałam.

— Płacimy sto dolarów, żeby usłyszeć, że oboje umrzemy, a ty jeszcze uważasz, że powinniśmy być wdzięczni? — Kirsten posłała mi spojrzenie pełne jakiejś psychotycznej nienawiści, przekraczające wszystko, co kiedykolwiek widziałam u niej lub u kogoś innego. — Ty masz dobrze. Ona nie mówiła, że tobie się ma coś zdarzyć, ty pizdo. Tobie nic nie grozi, ty mała pizdo z Berkeley. Ja umrę, a ty będziesz miała Tima tylko dla siebie, po tym, jak umarł Jeff, a teraz ja. Myślę, że to wszystko twoja robota, że to ty za tym stoisz, żeby cię szlag! — I tam, na tylnym siedzeniu taksówki zamierzyła się, żeby mnie uderzyć. Przerazona wcisnęłam się w kąt.

Schwyciwszy ją oburącz, Tim przyparł ją do drzwi taksówki.

— Jak jeszcze raz usłyszę u ciebie to słowo, nie będę chciał cię więcej znać — powiedział.

— Ty chuju — powiedziała Kirsten.

Dalej jechaliśmy w milczeniu. Jedynym dźwiękiem był skrzeczący co jakiś czas radiotelefon kierowcy.

— Zatrzymajmy się gdzieś na drinka — poprosiła Kirsten, kiedy zbliżaliśmy się do domu. — Nie zniosę towarzystwa tych okropnych szaroburych ludzi, po prostu nie zniosę. Chcę iść na zakupy. — Zwróciła się do Tima. — Wysadzimy cię tutaj, a my z Angel pójdziemy na zakupy. Naprawdę mam na dzisiaj dosyć.

— Nie mam teraz ochoty na zakupy — powiedziałam.

— Proszę — wycodziła Kirsten przez zaciśnięte usta.

— Potraktuj to jako przysługę dla nas obojga — powiedział Tim łagodnym głosem i otworzył drzwi taksówki.

— Dobrze — zgodziłam się.

Tim dał Kirsten pieniądze — bez wątpienia wszystkie, jakie miał przy sobie — i wysiadł z taksówki. Zamknęłyśmy za nim drzwi i wkrótce znalazłyśmy się w centrum handlowym Santa Barbara z mnóstwem małych uroczych sklepików sprzedających różne ręczne wyroby. Po chwili siedziałyśmy z Kirsten w sympatycznym przytulnym barze ze ściszoną muzyką. Przez otwarte drzwi mogłyśmy widzieć ludzi spacerujących w jasnym, południowym słońcu.

— Cholera — powiedziała Kirsten, pociągając swojego collinsa z wódką. — Dowiedzieć się czegoś takiego. Że się ma umrzeć.

— Doktor Garret musiała jakoś wyjaśnić powrót Jeffa — powiedziałam.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Kirsten zamieszała drinka.

— Jeff do was wrócił. To jest punkt wyjścia. Żeby to wytłumaczyć, Garret podała powód, najbardziej dramatyczny powód, jaki potrafiła wymyślić. „On wrócił, bo miał powód. Oni nie wracają bez powodu”. To rutynowa odżywka. To jest jak... — Wykonałam ruch ręką. — Jak duch w *Hamlecie*.

— W Berkeley wszystko ma jakieś intelektualne uzasadnienie — zauważyła Kirsten, przyglądając mi się badawczo.

— Duch ostrzega Hamleta, że Klaudiusz jest mordercą, że to on zamordował ojca Hamleta.

— Jak ma na imię ojciec Hamleta?

— Mówi się o nim tylko „Ojciec Hamleta, zmarły król”.

— Nie — powiedziała Kirsten, robiąc wielkie oczy. — Ojciec też miał na imię Hamlet.

— Stawiam dziesięć dolarów, że to nieprawda.

Podaliśmy sobie ręce.

— Sztuka powinna się poprawnie nazywać nie *Hamlet*, tylko *Hamlet junior* — powiedziała Kirsten. Obie wybuchnęłyśmy śmiechem. — Przecież to wszystko jest chore — ciągnęła Kirsten. — Mamy nie po kolei, że poszliśmy do tego medium. Jechać taki kawał, naturalnie Tim ma spotkanie z tymi baniogłowymi z trustu mózgow. Czy wiesz, gdzie on tak naprawdę chce pracować? Nie powtarzaj tego nikomu, ale on chce pra-

cować w Centrum Studiów Instytucji Demokratycznych. Ta cała sprawa z powrotem Jeffa... — Pociągnęła drinka. — Tima to drogo kosztowało.

— Nie musi wydawać tej książki. Może jeszcze zrezygnować z tego pomysłu.

— Jak oni to robią? — mówiła Kirsten, jakby myślała na głos. — To telepatia, potrafią odbierać nasze niepokoje. Ta stara wiedźma wyczuła jakoś, że mam kłopoty ze zdrowiem. Wszystko zaczęło się od tego cholernego zapalenia jelit... wszyscy wiedzą, że przez to przeszłam. Muszą mieć centralną kartotekę, mediumy świata. Powinno się chyba mówić media. I mój nowotwór. Wiedzą, że mam kiepskie ciało, coś jak używany samochód. Szmelc. Bóg wcisnął mi szmelc jako ciało.

— Trzeba było mi powiedzieć o tym zaciemnieniu.

— To nie twój interes.

— Zależy mi na tobie.

— Lesba. Homo. To dlatego Jeff się zabił. Bo ty i ja jesteśmy w sobie zakochane. — Teraz obie się zaśmiewaliśmy, zderzyłyśmy się głowami, objęłam ją ramieniem. — Mam dla ciebie kawał. Nie powinniśmy nazywać Meksykanów „brylantyniarzami”, prawda? — Ściszyła głos. — Teraz należy ich nazywać...

— Lubrykowanymi.

— Pieprz się.

— Poderwijmy kogoś — zaproponowałam.

— Ty sobie kogoś poderwij. Ja chcę robić zakupy. — I poważniejszym tonem dodała: — To piękne miasto. Czy zdajesz sobie sprawę, że możemy tu zamieszkać? Czy zostałaś w Berkeley, gdybym ja z Timem przeniosła się tutaj?

— Nie wiem.

— Ty i ci twoi przyjaciele z Berkeley. Wielki panseksualny holding wolnej miłości i wymiany partnerów z dostawą do domu. Z nieograniczoną nieodpowiedzialnością. Co ty widzisz w tym Berkeley? Dlaczego tam siedzisz?

— Dom — powiedziałam. A pomyślałam: wspomnienia o Jeffie związane z domem. Spółdzielczy sklep na University Avenue, gdzie robiliśmy zakupy. — Lubię kawiarnie na Avenue — powiedziałam. — Zwłaszcza Larry’ego Blake’a. Kiedyś Larry Blake przywitał się z nami, na dole, w Ratskeller, był dla nas bardzo miły. Lubię też park Tilden. — I campus, pomyślałam. Nigdy nie potrafię się od tego uwolnić. Ten eukaliptusowy zagajnik koło Oksfordu. Biblioteka. — Tam jest mój dom — powiedziałam.

— Przyzwyczyłaś się do Santa Barbara.

— Nie powinnaś była nazywać mnie pizdą przy Timie. Może mu Bóg wie co przyjdzie do głowy.

— Czy jak umrę, pójdziesz z nim do łóżka? — spytała Kirsten. — Mówię poważnie.

— Nie umrzesz.

— Doktor Zmora mówi, że umrę.

— Doktor Zmora gównu wie.

— Tak myślisz? Boże, to było niesamowite. — Kirsten zadrżała. — Miałam uczucie, że ona czyta w moim umyśle, że wysysa ze mnie sok, tak jak spuszcza się sok z klonu. Że przekazuje mi własne lęki. Czy będziesz spała z Timem? Powiedz mi poważnie, muszę to wiedzieć.

— To byłoby kazirodztwo.

— Dlaczego? Aha. Cóż, to już jest grzech, z jego strony. Dlaczego miałby nie dodać do tego kazirodztwa? Jeżeli Jeff jest w niebie i przygotowują tam miejsce dla mnie, to widocznie i ja pójdę do nieba. To ulga. Doprawdy, nie wiem, jak poważnie mam brać to, co mówiła ta doktor Garret.

— Bierz to *cum grano salis*, bierz to z całoroczną produkcją wszystkich polskich kopalń soli.

— A jeżeli to Jeff nas nawiedza? Teraz mamy potwierdzenie. A skoro mam w to wierzyć, to czy nie powinnam też wierzyć w to drugie, w przepowiednię?

— Kiedy jej słuchałam, przyszedł mi do głowy kawałek z *Dydony i Eneasza*, słowa razem z muzyką:

*Trojański księżę z nakazu losu
Musi italskiej szukać ziemi;
Teraz z królową jest na polowaniu.*

Skąd mi się to wzięło? Ta czarownica... Albo Jeff to sobie przypomniał, albo ja. Muzyka była częścią naszego wspólnego życia, myślałam o Jeffie i o sprawach, które nas łączyły. Los, pomyślałam. Predestynacja, doktryna Kościoła oparta na Augustynie i Pawle. Tim powiedział mi kiedyś, że chrześcijaństwo jako religia mistyczna powstało, aby obalić tyranię losu i wprowadziło ją na powrót jako predestynację, w istocie podwójną predestynację: jedni są skazani z góry na piekło, inni na niebo. Nauka Kalwina.

— Nie ma już losu — powiedziałam. — Został odrzucony razem z astrologią, z całym starożytnym światem. Tim mi to kiedyś wyjaśnił.

— Mnie też to wyjaśnił — powiedziała Kirsten — ale umarli znają przyszłość, bo pozostają poza czasem. Po to wywołuje się duchy zmarłych, żeby się od nich dowiedzieć o przyszłości; oni znają przyszłość. Dla nich to się już zdarzyło. Oni są jak Bóg, wszystko widzą. Nekromacja, jesteśmy jak doktor Dee w elżbietańskiej Anglii. Mamy dostęp do tej cudownej nadnaturalnej mocy: to lepsze niż Duch Święty, który też daje zdolność przewidywania przyszłości, dar prorocstwa. Za pośrednictwem tej zasuszonej staruszki dociera do nas absolutna wiedza Jeffa, że w najbliższej przyszłości wyciągnę nogi. Czy można w to wątpić?

— Jak najbardziej.

— Ale ona wiedziała o restauracji Pech. Widzisz, Angel, możemy albo wszystko przyjąć, albo wszystko odrzucić. Nie możemy przebierać i wybierać. Jeżeli wszystko odrzucimy, to Jeff do nas nie wrócił i jesteśmy parą wariatów. A jeżeli wszystko przyjmujemy, to on wrócił, co jest bardzo piękne, ale musimy przyjąć fakt, że ja umrę.

I Tim też, pomyślałam. Zapomniałaś o tym w swojej trosce o siebie. Bardzo typowe.

— O co chodzi? — spytała Kirsten.

— Ona powiedziała, że Tim również umrze.

— Tim ma po swojej stronie Jezusa, on jest nieśmiertelny. Nie wiedziałaś o tym? Biskupi żyją wiecznie. Pierwszy biskup, Piotr, jak myślę, żyje gdzieś nadal i pobiera pensję. Biskupi żyją bez końca i zarabiają kupę pieniędzy. Ja umrę i płacą mi tyle co nic.

— Lepsze to niż praca w sklepie z płytami.

— Niekoniecznie. W twoim życiu przynajmniej wszystko jest jawne, nie musisz kryć się jak złodziej. Ta książka Tima... dla każdego, kto ją przeczyta, będzie jasne, że Tim i ja sypiamy ze sobą. Razem byliśmy w Anglii, razem byliśmy świadkami zjawisk. Może to jest kara boska za nasze grzechy, ta przepowiednia staruszki. Przespać się z biskupem i umrzeć. Tak jak „zobaczyć Neapol i umrzeć”. Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby gra była warta świeczki. Naprawdę nie mogę. Wolałabym sprzedawać płyty w Berkeley tak jak ty... ale wtedy musiałabym być młoda tak jak ty, żeby z tego w pełni korzystać.

— U mnie też nie wszystko idzie jak po maśle. Pamiętaj, że straciłam męża.

— Ale nie masz poczucia winy.

— Gówno prawda — odrzekłam. — Mam pełno poczucia winy.

— Dlaczego? Jeff... w każdym razie to nie była twoja wina.

— Wszyscy mamy w tym swój udział — powiedziałam.

— W śmierci kogoś, kto był zaprogramowany, żeby umrzeć? Człowiek popełnia samobójstwo tylko, jeżeli mu każe jego spirala śmierci; to wszystko jest zapisane w DNA... nie wiedziałaś tego? Albo w tym, co Eric Berne nazywał scenariuszem. Nie żyje, jak wiesz, załatwił go jego scenariusz, czy spirala, czy coś tam jeszcze, dowodząc, że miał rację. Umarł dokładnie w tym samym wieku co jego ojciec. To jest jak z Chardinem, który chciał umrzeć w Wielki Piątek i jego życzenie zostało spełnione.

— To wszystko jest chore — powiedziałam.

— Słusznie — kiwnęła głową Kirsten. — Właśnie przed chwilą dowiedziałam się, że jestem skazana na śmierć i czuję się bardzo chora. Ty też byś się tak czuła, ale z jakiegoś powodu ciebie to nie dotyczy. Może dlatego, że nie masz zaciemnienia w płucach i nigdy nie miałaś raka. Dlaczego nie umiera ta staruszka? Dlaczego to mam być ja i Tim? Uważam, że to jest zemsta ze strony Jeffa, to przykład jednej z tych samosprawdzających się przepowiedni, o których się słyszy. Mówi doktor Strzydze, że ja umrę, i ja w rezultacie umieram, a Jeff się cieszy, bo mnie znienawidził za to, że spałam z jego ojcem. Do diabła z nimi oboma. To się zgadza z tymi igłami, które mi wbijał pod paznokcie,

to nienawiść, nienawiść do mnie. Potrafię rozpoznać nienawiść, kiedy się z nią stykam. Mam nadzieję, że Tim powie o tym w swojej książce. Powie, bo to ja ją przeważnie piszę. On nie ma czasu i jeżeli chcesz znać prawdę, talentu też. Wszystkie jego zdania zlewają się w jedno. On cierpi na słowotok, jeśli chcesz wiedzieć, na skutek tych prochów, które zażywa.

— Nie chcę wiedzieć — powiedziałam.

— Czy ty i Tim spaliście ze sobą?

— Nie — zakrzyknęłam zdumiona.

— Gównno prawda.

— Jezu — powiedziałam. — Ty jesteś nienormalna.

— Powiedz mi, że to z powodu prochów, które biorę.

Patrzyłam na nią, ona na mnie. Szeroko otwartymi oczami, z twarzą napiętą.

— Jesteś nienormalna — powtórzyłam.

— Zwróciłaś Tima przeciwko mnie — powiedziała Kirsten.

— Że co?

— On uważa, że Jeff by żył, gdyby nie ja, ale to był jego pomysł, nie mój, żebyśmy zaczęli ze sobą żyć.

— Ty... — Nie wiedziałam, co powiedzieć. — Ta twoja huśtawka nastrojów staje się coraz gorsza.

— Widzę wszystko coraz jaśniej — powiedziała Kirsten ostrym, zgrzytliwym głosem, po czym dopiła drinka, zsunęła się ze stołka, zatoczyła z lekka i posłała mi uśmiech. — Chodź, przejdziemy się po sklepach. Kupimy dużo indiańskiej srebrnej biżuterii z Meksyku, sprowadzają ją tutaj. Uważasz, że jestem stara, chora i uzależniona od prochów, prawda? Tim i ja rozmawialiśmy o tym, o twoim stosunku do mnie. On uważa, że jest niesprawiedliwy i uwłaczający. Kiedyś z tobą o tym porozmawia. Przygotuj się, bo będzie cytował prawo kanoniczne. Dawanie fałszywego świadectwa jest sprzeczne z prawem kanonicznym. On cię nie uważa za zbyt dobrą chrześcijankę, właściwie w ogóle nie uważa cię za chrześcijankę. On cię właściwie nie lubi, wiedziałaś o tym?

Nie odpowiedziałam.

— Chrześcijanie są bardzo samokrytyczni, a biskupi jeszcze bardziej — ciągnęła Kirsten. — Muszę godzić się z faktem, że Tim co tydzień spowiada się z grzechu sypiania ze mną, czy wiesz jakie to uczucie? To bardzo bolesne. A teraz Tim każe i mnie się spowiadać. Chodzę do spowiedzi i przyjmuję komunię. To jest chore. Chrześcijaństwo jest chore. Chcę, żeby Tim zrezygnował z godności biskupa, chcę, żeby przeszedł do sektora prywatnego.

Więc to tak, pomyślałam. Rozumiem. Tim mógłby wtedy ujawnić przed światem ich związek. To dziwne, że sama na to nie wpadłam.

— Kiedy będzie pracował dla tego trustu mózgow — ciągnęła Kirsten — zniknie potrzeba ukrywania się, bo im to jest obojętne. Oni nie są chrześcijanami, to ludzie świeccy, oni nie potępiają innych. Ani nie będą zbawieni. Coś ci powiem, Angel. Przeze mnie Tim jest odcięty od Boga. To straszne i dla niego, i dla mnie. Musi co niedziela stawać i wygłaszać kazanie, wiedząc, że z mojego powodu on i Bóg są rozdzieleni, jak przy grzechu pierworodnym. Przeze mnie biskup Timothy Archer powtarza tamten pierwotny upadek, przy czym on upadł z własnej woli, na własne życzenie. Nikt go nie popchnął do upadku ani nie namawiał. To moja wina. Powinnam była powiedzieć nie, kiedy mnie po raz pierwszy poprosił, żebym z nim poszła do łóżka. Tak byłoby dużo lepiej, ale ja wtedy gównie wiedziałam o chrześcijaństwie. Nie rozumiałam, ile to znaczy dla niego, ani ile to w końcu będzie znaczyć dla mnie, a teraz ta cholerna maź oblepiała mnie od stóp do głów, ta Pawiowa doktryna grzechu, grzechu pierworodnego. Cóż to za idiotyczna doktryna, że człowiek rodzi się zły. Jakie to okrutne. W judaizmie tego nie ma. Paweł to wymyślił, żeby uzasadnić ukrzyżowanie. Żeby nadać sens śmierci Chrystusa, która tak naprawdę jest bezsensowna. Daremna śmierć, chyba że się wierzy w grzech pierworodny.

— A ty wierzysz? — spytałam.

— Wierzę, że zgrzeszyłam. Nie wiem, czy się taka urodziłam, ale teraz to prawda.

— Potrzebna ci jest terapia.

— Cały Kościół potrzebuje terapii. Stary doktor Gówniarczyk od jednego spojrzenia na mnie i na Tima wiedziałby, że ze sobą sypiamy, wiedzą o tym wszystkie media, a kiedy wyjdzie książka Tima, będzie musiał ustąpić. Nie ma to nic wspólnego z wiarą albo brakiem wiary w Chrystusa, to ma związek ze mną. To nie jego utrata wiary, ale ja zmuszam go do rezygnacji ze stanowiska, to przeze mnie. Ta zwariowana staruszka powtórzyła mi tylko to, co i tak wiem: że nie wolno robić tego, co my robimy. Można, ale wtedy trzeba za to zapłacić. Wolałabym już nie żyć, naprawdę. To nie jest życie. Za każdym razem, kiedy gdzieś jedziemy albo lecimy, musimy brać dwa pokoje w hotelu, osobno dla każdego i potem muszę przemykać się do jego sypialni. Doktor Gówniarczyk nie musiał być telepatą, żeby to wywęszyć, mieliśmy to wypisane na twarzach. Chodź, idziemy na zakupy.

— Będziesz musiała pożyczyć mi trochę pieniędzy — powiedziałam. — Nie wzięłam tyle, żeby robić zakupy.

Otworzyła torebkę.

— Poczęstuj się. To są pieniądze Kościoła episkopalnego.

— Ty się nienawidzisz — powiedziałam. Chciałam dodać słowo „niepotrzebnie”, ale Kirsten mi przerwała.

— Nienawidzę sytuacji, w której się znalazłam. Nienawidzę tego, co mi zrobił Tim, tego, że wstydę się siebie samej, swojego ciała, tego, że jestem kobietą. Czy po to zało-

żyłyśmy Ruch Emancypacji Kobiet? Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że znajdę się w takiej sytuacji, jak kurwa za czterdzieści dolarów. Kiedyś musimy porozmawiać tak, jak rozmawiałyśmy, kiedy nie byłam na okrągło zajęta pisaniem jego przemówień i pilnowaniem jego kalendarza, jako sekretarka biskupa, która dba o to, żeby nie ujawnił publicznie, jak bardzo jest głupi i dziecinny. To na mnie spoczywa cała odpowiedzialność, w zamian za co jestem traktowana jak śmieć.

Wręczyła mi bez liczenia garść pieniędzy z torebki. Wzięłam je” czując wyrzuty sumienia, ale wzięłam. Jak powiedziała Kirsten, były własnością Kościoła episkopalnego.

— Jednej rzeczy się nauczyłam — wyznała, kiedy wyszliśmy z baru na światło dzienne — czytać to, co jest napisane drobnym drukiem.

— A ja muszę przyznać tej staruszce, że udało jej się rozwiązać ci język.

— Nie, to dlatego, że wyjechałyśmy z San Francisco. Nigdy dotąd nie widziałas mnie z dala od tego miasta i katedry Miłosierdzia. Nie lubię ciebie, nie lubię być tanią dziwką i nie bardzo lubię całe swoje życie. Nie jestem nawet pewna, czy lubię Tima. Nie jestem pewna, czy chcę, żeby to się dalej ciągnęło. To mieszkanie... miałam znacznie ładniejsze mieszkanie, póki nie spotkałam Tima, chociaż nie sądzę, żeby to było ważne, w każdym razie nie powinno być ważne. Dość, że miałam bardzo ciekawe życie. Ale byłam też zaprogramowana przez swój DNA, żeby związać się z Timem i teraz jakaś stara jędma mówi mi, że umrę. Wiesz, co czuję, co tak naprawdę w związku z tym czuję? Nic mnie to już nie obchodzi. I tak wiedziałam. Ona tylko odczytywała mi na głos moje własne myśli, i ty to wiesz. To jedyna rzecz, jaka utkwiała mi w pamięci po tym seansie, czy jak to tam powinniśmy nazywać: usłyszałam, jak ktoś wypowiada na głos moje myśli na temat mojego życia, mnie samej i tego, co się ze mną stało. To daje mi odwagę spojrzenia w oczy temu, co mnie czeka i co muszę zrobić.

— A co to jest?

— Przyjdzie czas, to zobaczysz. Podjęłam ważną decyzję. Dzisiejsze zdarzenie pomogło mi ją podjąć. Myślę, że teraz wszystko rozumiem. — Umilkła. Kirsten miała zwyczaj otaczać swoje sprawy atmosferą tajemniczości, uważając, że dodaje jej to uroku. W rzeczywistości jednak komplikowało to tylko życie, głównie jej samej.

Nie dopytywałam się dalej. Poszłyśmy rozejrzeć się, na co tu wydać kościelne pieniądze.

Pod koniec tygodnia wróciłyśmy do San Francisco zmęczone i obładowane zakupami. Biskup załatwił sobie (poufne, nie do publikacji) posadę w truście mózgow w Santa Barbara. Dopiero teraz miał ogłosić, że zamierza złożyć dymisję ze stanowiska biskupa diecezji kalifornijskiej. Oświadczenie miało być nieodwołalne, decyzja zapadła, nowa praca czekała zaklepana. Kirsten tymczasem zgłosiła się do szpitala na dalsze badania.

Niepokój, jaki przeżywała, sprawił, że stała się małowówna i zamknięta. Odwiedziłam ją w szpitalu, ale miała mi niewiele do powiedzenia. Kiedy usiadłam przy niej na łóżku, czułam się niezręcznie i wolałabym być gdzie indziej. Kirsten cały czas robiła coś przy włosach i uskarżała się na wszystko. Wyszłam niezadowolona, głównie z siebie. Miałam uczucie, że zatraciłam zdolność do porozumiewania się z nią — moją najbliższą przyjaciółką, i że nasz związek podupada wraz z jej zdrowiem.

Biskup tymczasem otrzymał do korekty swoją książkę o powrocie Jeffa z zaświatów. Tim zdecydował się na tytuł *Wszechwładna śmierci*, który ja mu zaproponowałam. Jest to cytata z *Baltazara* Handla, który w całości brzmi:

„Wszechwładna śmierci, tutaj jest twój kres”.

Tim sam przytoczył go w książce.

Jak zawsze zaaferowany, z tysiącem i jedną spraw na głowie, postanowił przynieść korektę Kirsten do szpitala, zostawił jej odbitki do czytania i zaraz sobie poszedł. Zostałam ją siedzącą w łóżku z papierosem w jednej ręce i długopisem w drugiej, z długimi stronami korekty na kolanach. Widać było, że jest wściekła.

— Możesz w to uwierzyć? — powiedziała na przywitanie.

— Mogę zrobić tę korektę — powiedziałam, przysiadając na łóżku.

— Chyba się na nią wyrzygam.

— Po śmierci będziesz pracować jeszcze ciężiej.

— Nie, nie będę pracować wcale. O to właśnie chodzi. Czytając to, zadawałam sobie przez cały czas pytanie, kto uwierzy w te bzdury. To są bzdury. Powiedzmy to sobie otwarcie. Popatrz. — Wskazała mi fragment, który przeczytałam. Moja reakcja zgadzała się z jej odczuciem: była to proza napuszona, niejasna, katastrofalnie pompatyczna. Tim wyraźnie dyktował w swoim szybko-szybko-byle-dalej-i-kończmy-to tempie. Równie wyraźnie ani razu nie obejrzał się za siebie. Pomyślałam, że ta książka powinna się nazywać *Obejrzyj się, idioto*.

— Zacznij od ostatniej strony i posuwaj się do początku — powiedziałam. — W ten sposób nie będziesz musiała tego czytać.

— Chyba to upuszczę. Ups! — Udała, że spycha korektę na podłogę i złapała ją w ostatniej chwili. — Czy kolejność jest ważna? Przetasujmy kartki.

— Dopisz coś — powiedziałam. — Wstaw „To jest wielka chała”. Albo „Twoja matka chodzi w wojskowych butach”.

— „Jeff zmaterializował się przed nami goły, z kutasem w ręce, śpiewając hymn amerykański” — powiedziała Kirsten, udając, że pisze. Obie się teraz zaśmiewaliśmy, upadłam na nią i objęłyśmy się.

— Jak to dopiszesz, masz u mnie sto dolarów — powiedziałam przez śmiech.

— Przekażę to na IRA.

— Nie, oddaj lepiej IRS*.

— Ja nie składałam zeznań podatkowych — powiedziała Kirsten. — Kurwy nie muszą. — Jej nastrój zmienił się w oczach, całe ożywienie gdzieś znikło. Łagodnie poklepała mnie po ramieniu i pocałowała.

— Za co to było? — spytałam wzruszona.

— Doktorzy myślą, że to zaciemnienie oznacza nowotwór.

— No nie.

— Otóż tak. I to mówi wszystko. — Odsunęła mnie od siebie z ukrywaną — źle ukrywaną — złością.

— Czy da się coś zrobić? Mogą przecież...

— Mogą operować. Mogą usunąć płuco.

— A ty dalej palisz.

— Trochę za późno, żeby przestać. Raz kozie śmierć. Wiąże się z tym interesujące pytanie... i nie ja pierwsza je zadaję. Gdy następuje ciała zmartwychwstanie, to czy człowiek zostaje wskrzeszony w doskonałym kształcie, czy też ze wszystkimi bliznami, okaleczeniami i defektami, jakie miał za życia? Jezus pokazał Tomaszowi swoje rany, kazał mu włożyć rękę do swojego boku. Czy wiesz, że z tej rany narodził się Kościół? Tak uważają rzymscy katolicy. Z tej rany od włóczni wypłynęła krew i woda, kiedy wisiał na krzyżu. To jest wagina, wagina Jezusa. — Nie wyglądało na to, że żartuje, była teraz poważna i zamyślona. — Mistyczna idea powtórných, duchowych narodzin. Wszyscy narodziliśmy się z Chrystusa.

Usiadłam na krześle przy łóżku i milczałam. Ta wiadomość, diagnoza lekarska, ogłuszyła mnie i przeraziła. Nie potrafiłam się z nią pogodzić. Kirsten natomiast wyglądała na opanowaną.

Dali jej środki uspokajające, uświadomiłam sobie. Jak zwykle, kiedy przekazują pacjentowi taką wiadomość.

— Czy uważasz się teraz za chrześcijankę? — spytałam wreszcie, nie potrafiąc wymyślić nic innego, nic bardziej stosownego.

— Syndrom okopów — powiedziała Kirsten. — A co sądzisz o tytule? *Wszechwładna śmierci.*

— To ja go wybrałam.

Spojrzała na mnie przenikliwie.

— Dlatego tak na mnie patrzysz? — spytałam.

— Tim mówił, że to był jego pomysł.

— Właściwie tak. Ja zaproponowałam mu cytat. Jako jedną z kilku możliwości.

— Kiedy to było?

— Nie wiem. Jakiś czas temu. Nie pamiętam. A dlaczego?

* IRA (Irish Republican Army) — Irlandzka Armia Republikańska; IRS (Internal Revenue Service) — Wydział Departamentu Skarbu.

— To jest okropny tytuł. Wzbudził we mnie obrzydzenie, kiedy go tylko zobaczyłam. A nie widziałam go, póki mi nie rzucił tej korekty na kolana, dosłownie na kolana. Nigdy nie spytał... — Umilkła i zdusiła papierosa. — To brzmi, jakby mały Józio obrażał sobie, jak ma wyglądać tytuł książki. To jest parodia tytułu. Wymyślona przez kogoś, kto nigdy w życiu tego nie robił. Jestem zdziwiona, że wydawca nie zaprotestował.

— Czy to wszystko jest wymierzone we mnie? — spytałam.

— Nie wiem. Sama pomyśl. — Po czym pogrzyżyła się w korekcie, nie zwracając na mnie uwagi.

— Czy chcesz, żebym już poszła? — spytałam po chwili niezręcznego milczenia.

— Jest mi naprawdę obojętne, co zrobisz — powiedziała Kirsten, nie przerywając pracy. Dopiero po chwili zapaliła kolejnego papierosa. Zobaczyłam wtedy, że popielniczka przy łóżku pełna jest na wpół wypalonych, zgniecionych papierosów.

11

Dowiedziałam się o jej samobójstwie przez telefon od Tima. Była niedziela, nie musiałam iść do pracy w sklepie i przyszedł do mnie z wizytą mój młodszy braciszek. Musiałam stąd i słuchać opowieści Tima o tym, jak to Kirsten „odeszła”. Patrzyłam na mojego młodszego brata, który bardzo lubił Kirsten; sklejał z drzewa balsa model Spada 13. Wiedział, że telefonuje Tim, ale nie wiedział, oczywiście, że teraz Kirsten nie żyje, tak jak Jeff.

— Jesteś silna — brzmiał w moim uchu głos Tima. — Wiem, że potrafisz stawić temu czoło.

— Czułam, że na coś takiego się zanoszi.

— Tak. — Głos Tima był rzeczowy, ale wiedziałam, że bardzo cierpi.

— Barbiturany? — spytałam.

— Zażyla... nie są pewni, ile. Zażyla i kontrolowała czas. Czekala. A potem weszła i powiedziała mi wszystko. I upadła. Wiedziałem, co to znaczy. Jutro miała wrócić do szpitala — dodał.

— Wezwał... —

— Przyjechali paramedycy i zabrali ją prosto do szpitala. Zrobili wszystko, co się dało. Chodzi o to, że miała już maksymalną dawkę we krwi i to, co wzięła dodatkowo...

— Tak się to robi — powiedziałam. — W ten sposób pompowanie żołądka nic nie daje, trucizna jest już we krwi.

— Chcesz tu przyjechać? — spytał Tim. — Do miasta. Bardzo bym chciał, żebyś tu była.

— Jest u mnie Harvey.

Braciszek spojrział na mnie.

— Kirsten umarła — powiedziałam do niego.

Kiwnął głową i wrócił do swojego modelu. Jak w *Wozzecku*, pomyślałam. Zupełnie jak w zakończeniu *Wozzecka*. Oto cała ja: intelektualistka z Berkeley, odbierająca wszystko w kategoriach kultury, opery, powieści, oratorium i poezji. Nie wspominając już o dramacie.

„*Du, Deine Mutter ist tot!*”

A na to dziecko Marion:

„*Hopp, hopp! Hopp, hopp! Hopp, hopp!*”

To cię załamie, pomyślałam, jeżeli będziesz dalej tak to przyjmować. Mały chłopiec, który buduje model samolotu i nic nie rozumie: podwójny horror i oba przytrafiają się mnie.

— Przyjadę tam — powiedziałam do Tima. — Jak tylko znajdę kogoś, kto zajmie się Harveyem.

— Możesz go zabrać.

— Lepiej nie. — Automatycznie potrząsnęłam głową.

Poprosiłam sąsiadkę, żeby wzięła do siebie Harveya na resztę dnia i wkrótce byłam już w drodze do San Francisco, jadąc swoją hondą przez most nad Zatoką.

W głowie kłębiły mi się obsesyjnie słowa opery Berga:

*Myśliwy żyje wolno i wesoło,
Polować może co dzień!
Myśliwym zatem zostać chcę,
Myśliwym zostać chcę.*

To znaczy, poprawiłam się, słowa Buchnera, on to diabelstwo napisał.

Prowadziłam i płakałam; łzy płynęły mi po twarzy. Włączyłam radio i wciskałam przycisk za przyciskiem, stację za stacją. Na stacji rockowej złapałam stare nagranie Santany. Podkreśliłam głos i podczas gdy muzyka roznosiła mój mały samochodzik, zaczęłam krzyczeć. I usłyszałam:

Ty, Twoja matka nie żyje!

Omam nie uderzyłam w tył wielkiego amerykańskiego auta, musiałam gwałtownie skrócić na prawy pas. Zwolnij, powiedziałam sobie. Pieprz to, dwie śmierci wystarczą.

Chcesz jeszcze trzeciej? To jedź dalej tak, jak jedziesz. Trzy trupy plus te w drugim samochodzie. I wtedy przypomniałam sobie o Billu. Świrus Bill Lundborg gdzieś tam w zakładzie. Czy Tim do niego zadzwonił? To ja powinnam mu powiedzieć, pomyślałam.

Ty biedny, nieszczęsny, popieprzony skurwielu, pomyślałam, mając przed oczami łagodną, pyzată twarz Billa. Ta atmosfera czegoś miłego, jak świeża koniczyna, te jego głupie portki, głupi wyraz twarzy, zupełnie jak krowa, zadowolona z życia krowa. Urząd Pocztowy czeka kolejna runda wybijania szyb, uświadomiłam sobie. Pójdzie tam i będzie walić gołymi pięściami w ich wielkie szyby, aż jego ręce będą całe we krwi. A potem znów go zamkną w jednym miejscu albo w drugim, nieważne, bo dla niego nie ma to różnicy.

Jak ona mogła mu to zrobić, zadawałam sobie pytanie. Cóż za złośliwość. Jakie bezdenne okrucieństwo wobec nas wszystkich. Ona nas naprawdę nienawidziła. To jest nasza kara. Zawsze będę się czuła odpowiedzialna, Tim będzie się czuł odpowiedzialny, Bill też. Choć w rzeczywistości żadne z nas nie jest odpowiedzialne, a jednak w pewnym sensie jesteśmy odpowiedzialni wszyscy, ale i tak nie ma to żadnego znaczenia po fakcie, zero, nic i pustka, całkowita pustka, jak w „nieskończonej pustce”, najwyższej nie-istocie Boga.

W *Wozzecku* pada gdzieś kwestia, którą można przetłumaczyć jako „Ten świat jest okropny”. Tak, pomyślałam sobie, gnając przez most bez oglądania się na ograniczenia prędkości, to mówi wszystko. To jest sztuka przez duże S. „Świat jest okropny”. To wszystko podsumowuje. Za to płacimy kompozytorom, malarzom i wielkim pisarzom: żeby nam to powiedzieli. Oni żyją z tego, że to widzą. Cóż za mistrzowska, przenikliwa intuicja, cóż za błyskotliwa inteligencja! Każdy szczur z rynsztoka mógłby nam powiedzieć to samo, gdyby umiał mówić. Gdyby szczury mówiły, zawsze korzystałabym z ich rady. Czarna kobieta, którą poznałam. Dla niej to nie były szczury tylko pająki. *Viz*: „Gdyby pająki umiały mówić”. Dostała ataku, kiedy byliśmy razem w Parku Tildena, i musieliśmy odwieźć ją do domu. Neurotyczna niewiasta. Miała białego męża... jak on się nazywał? Coś takiego możliwe jest tylko w Berkeley.

Viz, to brzmi jak skrót od Wizygoci, szlachetni Goci. *Viz*, jak wizyta, wizyta z tamtego świata. Tamta staruszka jest za to naprawdę w pewnym stopniu odpowiedzialna. Jeżeli ktoś, to właśnie ona. Ale to jest zabijanie spartańskich gońców. Teraz i ja to robię mimo wszystkich ostrzeżeń. Uwaga: Ta kobieta jest szalona! Zejdźcie mi z drogi. Pieprzcie się na wieki wieków, wy wszyscy w waszych wielkich, świeżo umytych samochodach.

Pomyślałam: „Znaj swe granice, niszczycielska wojno; Wszechwładna śmierci, tutaj jest twój kres”. A dalej znowu: „Wszechwładna śmierci”. To nie żadna parodia, to wspomniały tytuł. To była bezpośrednia przyczyna, że Tim wykorzystał mój tytuł i, oczywiście, na swój tchórzliwy sposób nie uznał za stosowne albo zapomniał jej o tym powiedzieć.

Co więcej, powiedział jej, że to był jego pomysł. Pewnie sam w to wierzy. Wszystkie cenne pomysły w dziejach świata są dziełem Tima Archera. To on stworzył model heliocentryczny. Gdyby nie on, nadal mielibyśmy geocentryczny. Gdzie kończy się biskup Archer, a zaczyna się Bóg? Dobrze pytanie. Spytaj go, a on ci sygnie w odpowiedzi cytami z ksiązek.

Nie ma nic trwałego i wszystko jest popierdolone, pomyślałam. Tak należałoby to ująć. Zaproponuję to Timowi jako tekst na grób Kirsten. Szwedzki kretyń został nauczycielem w Norwegii. Pod przykrywką żartów powiedziałam jej milion złośliwości. Jej mózg zapisywał to wszystko i puszczał jej późno w nocy, kiedy nie mogła zasnąć, a Tim spał sobie w najlepsze. Nie mogła zasnąć i brała coraz więcej środków uspokajających, tych barbituranów, które ją w końcu zabiły. Wiedzieliśmy, że tak się stanie, pytanie było tylko, czy będzie to wypadek czy celowe przedawkowanie, zakładając, że to jakaś różnica.

Miałam spotkać się z Timem w ich mieszkaniu, a potem pojechać z nim do katedry Miłosierdzia. Spodziewałam się, że ujrzę go przybitego i z czerwonymi oczami, ku mojemu zdziwieniu jednak wyglądał silniej, nawet w sensie dosłownym mocniej zbudowany niż kiedykolwiek za mojej pamięci.

— Czeka mnie straszna walka. Od dnia dzisiejszego — powiedział po tym, jak mnie objął i ucałował.

— Chodzi ci o skandal? — spytałam. — Pewnie będzie o tym w gazetach i w wiadomościach.

— Zniszczyłem część jej listu samobójczego. Policja czyta to, co pozostało. Byli tutaj i pewnie wrócą. Mam wpływy, ale nie mogę wyciszyć mediów. Cała nadzieja w tym, że uda się utrzymać sprawę na poziomie spekulacji.

— Co było w liście?

— W części, którą zniszczyłem? Nie pamiętam. Nie ma jej. Dotyczyła nas, jej uczuć do mnie. Nie miałem wyboru.

— Chyba tak — przyznałam.

— Co do tego, że było to samobójstwo, nie ma wątpliwości. A powodem jest, rzecz jasna, jej lęk przed nawrotem raka. Wiedzą też, że była uzależniona od barbituranów.

— Uzależniona? Tak byś ją określił?

— Oczywiście. To nie podlega dyskusji.

— Od jak dawna wiedziałeś?

— Odkąd ją poznałem. Odkąd po raz pierwszy zobaczyłem, jak je zażywa. Ty też wiedziałeś.

— Tak, wiedziałam.

— Siadaj i wypij kawę — powiedział Tim i wyszedł do kuchni. Mechanicznie usiadłam na znajomej kanapie, zastanawiając się, czy można w tym mieszkaniu znaleźć jakieś papierosy.

- Z czym pijesz kawę? — spytał Tim, stając w drzwiach kuchni.
— Zapomniałam. Nieważne.
— Może wolisz drinka?
— Nie — potrząsnęłam głową.
— Czy zdajesz sobie sprawę, że to potwierdza słowa Rachel Garret? — spytał Tim.
— Wiem.
— Jeff chciał ją ostrzec. Kirsten.
— Na to wygląda.
— A ja jestem następny. Spojrzałam na niego.
— Tak mówił Jeff.
— Chyba tak.

— To będzie straszna walka, ale ja zwyciężę. Nie mam zamiaru iść w ich ślady, w ślady Jeffa i Kirsten. — W jego głosie brzmiała gorycz i oburzenie. — Jezus Chrystus po to przyszedł na świat, żeby wybawić człowieka od tego rodzaju determinizmu, od takich praw. Przyszłość można zmienić.

— Mam nadzieję — powiedziałam.

— Moją nadzieją jest Jezus Chrystus — powiedział Tim. — „Dopóki światłość macie, wierzcie w światłość, abyście byli synami światłości”. Jan, dwanaście, trzydzieści sześć, „Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie”. Jan, czternaście, jeden. „Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie”. Mateusz, dwadzieścia trzy, trzydzieści dziewięć. — Oddychał ciężko, jego potężna pierś falowała. Patrząc na mnie, wymierzył w moją stronę palec i powiedział: — Ja nie pójdę w ich ślady, Angel. Każde z nich zrobiło to z rozmysłem, ale ja nigdy tego nie zrobię. Nigdy nie pójdę, tak jak oni, niczym owca na rzeź.

Bogu dzięki, pomyślałam. Będziesz więc walczył.

— Nieważne przepowiednie — mówił Tim. — Nawet gdyby Rachel była samą Sybillą, nawet wtedy nie poszedłbym na śmierć dobrowolnie, jak głupie zwierzę, żeby mi poderżnięto gardło, żeby mnie złożono w ofierze. — Jego oczy tryskały ogniem determinacji. Widziałam go takiego parokrotnie, kiedy wygłaszał kazanie w katedrze Miłosierdzia. Ten Tim Archer mówił z autorytetem przekazanym mu przez samego Piotra Apostoła, za pośrednictwem nieprzerwanej apostołskiej sukcesji, mówił w imieniu Kościoła episkopalnego.

Kiedy jechaliśmy moją hondą do katedry Miłosierdzia, Tim powiedział do mnie:

— Widzę, jak idę w ślady Wallensteina. Zawierzam astrologii. Stawiam horoskopy.

— Chodzi ci o doktor Garret?

— Tak, o nią i o doktora Masona. Oni nie są żadnymi doktorami. To nie był Jeff. On wcale nie wrócił z tamtego świata. Nie ma w tym cienia prawdy. Głupota, jak powiedział ten biedny chłopak, jej syn. O Boże, nie zadzwoniłem do jej syna.

— Ja mu powiem — zaoferowałam się.

— To go dobije — powiedział Tim. — Nie, może nie. On może być silniejszy, niż nam się wydaje. Nie dał się nabrać na cały ten nonsens z powrotem Jeffa.

— Schizofrenicy muszą mówić prawdę.

— Wobec tego potrzeba nam więcej schizofreników. Czy to jest jak z nowymi szatami króla? Ty też wiedziałaś, ale nic nie mówiłaś.

— To nie jest kwestia wiedzy, tylko oceny — powiedziałam.

— Ale ty nigdy w to nie wierzyłaś.

— Sama nie wiem — odpowiedziałam po chwili namysłu.

— Kirsten nie żyje, bo uwierzyliśmy w nonsens. Oboje. A uwierzyliśmy, bo chcieliśmy uwierzyć. Teraz nie mam już tego powodu.

— Chyba nie.

— Gdybyśmy się trzymali bezlitosnej prawdy, Kirsten by teraz żyła. Mogę tylko mieć nadzieję, że uda mi się przerwać to tu i teraz... i dołączyć do niej po jakimś czasie. Garret i Mason widzieli, że Kirsten jest chora. Wykorzystali chorą, rozstrojoną kobietę i teraz ona nie żyje. Uważam, że są za to odpowiedzialni. — Zamilkł i po chwili dodał: — Próbowałem namówić Kirsten, żeby poszła do szpitala na kurację odtruwającą. Mam w tej branży kilku przyjaciół tutaj, w San Francisco. Zdawałem sobie sprawę z jej uzależnienia i wiedziałem, że tylko specjaliści mogą jej pomóc. Jak wiesz, sam musiałem przez to przejść... z powodu alkoholu.

Nie odezwałam się, po prostu jechałam dalej.

— Jest za późno, żeby zatrzymać tę książkę — powiedział Tim.

— Nie możesz zatelefonować do wydawcy i...

— Książka jest teraz ich własnością.

— To jest przyzwoite wydawnictwo — powiedziałam. — Na pewno cię posłuchają, jeżeli im powiesz, żeby książkę wycofali z produkcji.

— Rozesłali już materiały promocyjne. Puścili w ruch oprawioną korektę i kserokopie maszynopisu. Jedyne, co mogę zrobić, to... — Tim zamyślił się na chwilę. — Napiszę drugą książkę. O śmierci Kirsten i moim nowym spojrzeniu na okultyzm. To będzie najlepsze wyjście.

— Myślę, że powinieneś wycofać *Wszechwładną śmierć*.

On jednak już podjął decyzję i energicznie potrząsnął głową.

— Nie, książka powinna wyjść zgodnie z planem. Mam w tych sprawach lata doświadczeń. Musisz stawić czoło swojej głupocie, mówię, rzecz jasna, o mojej głupocie, i dopiero wtedy możesz ją naprawić. Moja następna książka będzie taką naprawą.

— Ile wynosi zaliczka?

Tim posłał mi szybkie spojrzenie.

— Niezbyt wiele, biorąc pod uwagę potencjalną sprzedaż — powiedział. — Dziesięć tysięcy po podpisaniu umowy. Następne dziesięć tysięcy po złożeniu kompletnego masyzynopisu. I ostatnie dziesięć tysięcy po publikacji.

— Trzydzieści tysięcy dolarów to dużo pieniędzy.

— Myślę, że dodam dedykację — powiedział Tim na wpół do siebie, w zamyśleniu. — Pamięci Kirsten. I napiszę parę słów o moim uczuciu do niej.

— Mógłbyś zadedykować książkę im obojgu. Jeffowi i Kirsten. I napisać: „Gdyby nie miłosierdzie Boże...”

— Bardzo odpowiednie — zgodził się Tim.

— Dodaj mnie i Billa, jak już to robisz. My też gramy w tym filmie.

— W jakim filmie?

— To takie wyrażenie z Berkeley. Tyle że to nie film, a opera. *Wozzeck* Albana Berga. Na końcu giną wszyscy oprócz małego chłopca kołyszącego się na koniu na biegunach.

— Będę musiał przefaksować tę dedykację — powiedział Tim. — Kolumny są już w Nowym Jorku, poprawione.

— Więc je dokończyła? Wykonała swoją pracę?

— Tak — powiedział obojętnie.

— Czy zrobiła korektę jak należy? Ostatecznie, nie czuła się najlepiej.

— Chyba zrobiła wszystko dobrze, nie sprawdzałem po niej.

— Odprawisz za nią mszę, prawda? W katedrze?

— Oczywiście. Dlatego między innymi...

— Myślę, że powinieneś zamówić zespół Kiss. To bardzo ceniona grupa rockowa. Przecież i tak planowałeś mszę rockową.

— Czy ona lubiła Kiss?

— Zaraz po Sha Na Na.

— Wobec tego powinniśmy zaprosić Sha Na Na — stwierdził.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

— Grupa Patti Smith — powiedziałam nagle.

— Chciałbym cię spytać o parę rzeczy w związku z Kirsten — zaczął Tim.

— Jestem tutaj, żeby odpowiedzieć na każde pytanie.

— Chcę w czasie mszy przeczytać jej ulubione wiersze. Mogłabyś mi podpowiedzieć kilka tytułów? — Wyjął z kieszeni marynarki notes i złote pióro. Trzymał je i czekał.

— Jest bardzo piękny wiersz Lawrence’a o wężu — powiedziałam. — Ona go uwielbiała. Nie każ mi go cytować, nie mogę go teraz cytować, przepraszam. — Zamknęłam oczy, żeby się nie rozpłakać.

12

Podczas ceremonii biskup Timothy Archer przeczytał wiersz Lawrence'a o węźle, przeczytał go pięknie i widziałam, jak wzruszeni byli ludzie, choć żałobników nie zjawiało się zbyt wielu. Kirsten Lundborg nie miała tak dużo znajomych. Rozglądałam się po katedrze, czy nie ma jej syna, Billa.

Kiedy do niego zadzwoniłam z tą wiadomością, zareagował bardzo spokojnie. Myślę, że coś takiego przewidywał. W tym czasie ani szpital, ani więzienie nie miały nad nim władzy. Bill zasłużył sobie na prawo do chodzenia, lakierowania samochodów czy do czego tam jeszcze. Czymkolwiek się teraz pasjonował na swój poważny sposób.

Kiedy Kirsten się zabiła, pajęczyny opadły z umysłu biskupa Archera, można by więc powiedzieć, że jej śmierć posłużyła w dobrym celu, choć ten nie równoważył naszej straty. Zdumiewa mnie ta otrzeźwiająca moc śmierci. Zwycięża wszelkie słowa, wszelkie argumenty, ma siłę ostateczną. Pochłania całą ludzką uwagę i cały czas. I zmienia człowieka na zawsze.

Nie rozumiałam, jak Tim mógł czerpać siłę ze śmierci, w dodatku ze śmierci osoby, którą kochał. Nie potrafiłam tego zgłębić, ale to była jedna z tych jego cech, które sprawiały, że był kimś. W swojej pracy i jako człowiek. Im gorzej miały się sprawy, tym on był silniejszy. Nie lubił śmierci, ale się jej nie bał. Zrozumiał ją, z chwilą gdy pajęczyny opadły. Spróbował idiotycznej metody seansów i przesądów, która się nie sprawdziła, zaowocowała tylko jeszcze jedną śmiercią. Teraz więc przerzucił biegi i spróbował być racjonalny. Motywacji mu nie brakowało: jego własne życie zawisło na linie jak przynęta. Przynęta, mająca skusić to, co starożytni nazywali „złowieszcym losem”, mając na myśli przedwczesną śmierć, śmierć przed swoim czasem.

Starożytni myśliciele nie uważali śmierci jako takiej za zło, ponieważ śmierć zabiera wszystkim. Tym, co całkiem słusznie uważali za zło, była śmierć przedwczesna, przychodząca, zanim człowiek zdążył wykonać swoją pracę. Ścięty, zanim dojrzał, twarde, małe zielone jabłko, które śmierć zerwała i odrzuciła jako bezwartościowe, nawet dla niej samej.

Biskup Archer w żadnym wypadku nie zakończył swojej pracy i w żadnym wypadku nic miał zamiaru dać się ściąć, oddzielić od życia. Zupełnie słusznie odczuwał, że krok po kroku wstępuje na drogę, która doprowadziła do zguby Wallensteina: najpierw przesady i łatwowierność, a potem śmierć z ręki nieznanego skądinąd angielskiego kapitana nazwiskiem Walter Devereux (Wallenstein daremnie prosił o litość; kiedy wróg trzyma w ręku halabardę, zazwyczaj nie ma już co prosić o litość). W tej ostatniej chwili wyrwany ze snu Wallenstein został też zapewne wyrwany ze swego zaćmienia umysłowego. Przypuszczam, że kiedy żołnierze wroga wpadli do jego sypialni, w jednej chwili

li zrozumiał, że wszystkie astrologiczne wykresy i wszystkie horoskopy świata nie miały żadnej wartości, bo nie potrafił przewidzieć, że oto zostanie schwytany. Jednak między Wallensteinem, a Timem była jedna wielka i zasadnicza różnica: po pierwsze, Tim znał przykład Wallensteina i musiał wiedzieć, dokąd prowadzi wielkich ludzi szaleństwo. Po drugie, Tim był zasadniczo realistą przy całym swoim erudycyjno-bombastycznym zalawie słów. Tim wkroczył w ten świat z czujnym okiem i doskonałym wyczuciem tego, co mu szkodzi, a co działa na jego korzyść. Po śmierci Kirsten sprytnie zniszczył część jej samobójczego listu — niegłupio — i udało mu się, o dziwo, ukryć ich związek przed mediami i przed Kościołem episkopalnym (oczywiście, później wszystko się wydało, ale Tim wtedy już nie żył i prawdopodobnie mu to nie przeszkadzało).

Jak zasadniczo pragmatyczny, a nawet, ktoś mógłby powiedzieć, oportunistyczny, człowiek mógł się wpakować w tak samobójcze bzdury, z trudem mieści się w głowie, ale w życiu Tima oglądanym z większego dystansu, nawet te bzdury czemuś służyły. Tim nie chciał być skrupowany formalnymi ramami swojej roli, nie chciał być tak naprawdę odbierany jako biskup, podobnie jak wcześniej nie chciał być traktowany jako prawnik. Był człowiekiem i tak o sobie myślał: jako o istocie ludzkiej, która żyje w wielu sferach i sięga w wielu kierunkach. W latach studenckich dużo mu dały studia nad Renesansem. Kiedyś powiedział mi, że Renesans wcale nie obalił ani nie unieważnił świata Średniowiecza: Renesans go spełnił, cokolwiek sądził w tej kwestii T.S. Eliot.

Weźmy na przykład (mówił mi Tim) *Komedie* Dantego. Niewątpliwie w brutalnych kategoriach daty swojego powstania *Komedia* wyrasta z wieków średnich, idealnie podsumowuje średniowieczny pogląd na świat i stanowi jego uhonorowanie. Mimo to (choć wielu krytyków się z tym nie zgodzi) znacznej części wizji Dantego nie da się przeciwstawić, powiedzmy, wizji Michała Anioła, który, nawiasem mówiąc, w swoich freskach na plafonie Kaplicy Sykstyńskiej obficie czerpał z *Komedii*. Tim uważał, że w Renesansie chrześcijaństwo osiągnęło apogeum, nie traktował tego okresu historii jako odrodzenia świata starożytnego i obalenia Średniowiecza, czasów chrześcijaństwa. Renesans nie był tryumfem starego pogańskiego świata nad wiarą, ale raczej ostatecznym i najpełniejszym rozkwitem wiary, właśnie wiary chrześcijańskiej. Zatem, jak wywodził Tim, słynny człowiek renesansowy (który wiedział coś o wszystkim, który był, żeby użyć właściwego określenia, polihistorem) był idealnym chrześcijaninem, poruszającym się swobodnie w tym i tamtym świecie, pełnym połączeniem ducha i materii, jakby przebóstwieniem materii. Materii przekształconej, ale wciąż jeszcze materii. Dwa światy, ten i tamten, połączone w jeden, jak w czasach przed upadkiem.

Tim miał zamiar zrealizować ten ideał we własnej osobie, stać się niejako jego wcieleniem. Pełny człowiek, rozumował, nie zamyka się w swoim zawodzie, niezależnie od tego, jak wzniosły jest to zawód. Szewc, który postrzega siebie wyłącznie jako osobę reperującą buty, okrutnie się ogranicza. Na zasadzie tego samego rozumowania biskup

musi wkraczać w rejony zajmowane przez całego człowieka. Jednym z tych rejonów jest płciowość. Chociaż przeważała opinia przeciwna, Tim się tym nie przejmował i nie miał zamiaru jej ulegać. Wiedział, co przystoi człowiekowi Renesansu, i wiedział, że on sam jest takim człowiekiem w całej pełni.

Fakt, że eksperymentowanie z każdym nowym pomysłem zniszczyło w końcu Tima Archera, nie podlega dyskusji. Próbował zbyt wielu pomysłów, brał je do ręki, oglądał, bawił się nimi przez pewien czas, a potem je odrzucał... niektóre jednak z tych pomysłów, jakby żyjąc własnym życiem, obchodziły, jak się to mówi, stodołę i dopadały go zza węgła. To jest historia, to jest fakt historyczny. Tim nie żyje. Te pomysły się nie sprawdziły. Uniosły go ponad ziemię, a potem go zdradziły i zwróciły się przeciwko niemu. Odrzuciły go, zanim on zdążył je odrzucić. Jedną rzecz trzeba tu jasno powiedzieć: Tim Archer wiedział, że jest uwikłany w walkę na śmierć i życie, a skoro to sobie uświadomił, przyjął postawę stanowczej obrony. Tak jak mi to powiedział w dniu śmierci Kirsten, nie poddał się. Jeżeli los chciał pokonać Tima Archera, to musiał go przebić halabardą, Tim nigdy nie zrobiłby tego sam. Na pewno nie poszedłby na współpracę z mściwym losem, z chwilą gdyby spostrzegł, ku czemu ten zmierza. Tak też stało się teraz: dostrzegł tropiący go los i ani nie uciekł, ani mu nie pomógł. Stawił mu czoło i tak poległ. Ale nie sprzedał skóry tanio, odpowiadał ciosem na cios. Los musiał go zamordować.

A podczas gdy los zastanawiał się, jak to zrobić, bystry umysł Tima był całkowicie zaangażowany w wynajdywanie coraz to nowych uników przed tym, co prawdopodobnie było i tak nieuniknione. To pewnie mamy na myśli, mówiąc o losie; gdyby coś nie było nieuniknione, nie używalibyśmy tego określenia, mówilibyśmy o pechu. Mówilibyśmy o zbiegu okoliczności. Tam, gdzie działa los, nie ma zbiegów okoliczności, jest zamiar. Bezlitosny zamiar skradający się ze wszystkich stron naraz, jakby kurczył się wokół człowieka wszechświat. W końcu obejmuje tylko jego złowieszcze przeznaczenie. Człowiek jest zaprogramowany przeciwko rezygnacji i kiedy się szamoce, żeby się wyswobodzić, pogrąża się jeszcze szybciej na skutek zmęczenia i rozpacz. Tak czy owak los zwycięża.

Wiele z tego wiem od samego Tima. Studiował ten temat w ramach swojej chrześcijańskiej edukacji. Świat starożytny był świadkiem pojawienia się grecko-rzymskich religii mistycznych, których cel stanowiło pokonanie losu przez podłączenie się wyznawcy do boga bytującego poza sferami planetarnymi, boga mającego moc przekreślenia „wplywów astralnych”, jak to wówczas nazywano. My teraz mówimy o spirali śmierci DNA i wyuczonym scenariuszu psychologicznym wzorowanym na innych osobach, przyjaciółach i rodzicach. Chodzi o to samo, o determinizm, który cię zabija niezależnie od tego, co zrobisz. Żeby zmienić sytuację, musi wkroczyć jakaś siła zewnętrzna, nie potrafisz zrobić tego sam, bo jesteś zaprogramowany na działanie, które prowadzi cię

do zguby: sądzisz, że robisz rzeczy, które cię uratują, podczas gdy one w rzeczywistości oddają cię na pastwę losu, którego chcesz uniknąć.

Tim wszystko to wiedział i nic mu to nie pomogło. Ale robił, co mógł. Próbował.

Ludzie praktyczni nie robią tego, co zrobili Jeff i Kirsten, ludzie praktyczni zwalczają w sobie takie skłonności romantyczne, bo są to skłonności romantyczne, jest to słabość. Jest to wyuczona bierność, wyuczona rezygnacja. Tim mógł zignorować śmierć syna jako zdarzenie jedyne w swoim rodzaju, rozumując, że nie jest to nic zakaźnego, ale kiedy to samo zdarzyło się Kirsten, Tim musiał zmienić zdanie, wrócić do śmierci Jeffa i przemyśleć ją na nowo. Teraz dostrzegł w niej źródło późniejszej tragedii, która teraz zagraża i jemu. To spowodowało, że natychmiast odrzucił wszystkie te zwariowane pomysły, którym zaczął ulegać po śmierci Jeffa, wszystkie te dziwaczne i tandetne idee związane z okultyzmem, żeby użyć trafnego sformułowania Menottiego. Tim uświadomił sobie nagle, że zasiadł za stołem w gabinecie madame Flory, żeby nawiązać kontakt z duchami, a tak naprawdę, żeby oddać się szaleństwu. Teraz zrobił coś, co charakteryzowało go przez całe życie: porzucił tę drogę i zaczął szukać innej. Pozbył się niebezpiecznego ładunku i rozglądał się za czymś trwalszym, solidniejszym, bardziej stabilnym, czym mógłby go zastąpić. Czasami dla ratowania okrętu trzeba ładunek wyrzucić za burtę, a kiedy się chce czegoś pozbyć, trzeba to zrobić w sposób przemyślany, zepchnąć to do wody tak, żeby nie ucierpiał okręt. Taka chwila nadchodzi tylko wtedy, kiedy okręt jest w niebezpieczeństwie, tak jak Tim teraz. Doktor Garret przepowiadała koniec ich obojga i Kirsten miała być pierwsza. Ta część przepowiedni już się spełniła i Tim miał prawo oczekiwać, że będzie następny. To jest czas na procedury awaryjne. Korzystają z nich ludzie sprytni albo zdesperowani. Tim był i sprytny i zdesperowany. Przyparty do muru. Tim znał różnicę między okrętem (który był niezbędny) a ładunkiem (który można poświęcić). Siebie uważał za okręt. Swoją wiarę w duchy i w powrót syna z tamtego świata potraktował jak ładunek. To wyraźne rozróżnienie działało na jego korzyść, jak długo zdawał sobie z niego sprawę. Odrzucenie tych przekonań nie kompromitowało go ani nie przekreślało. A istniała niewielka szansa, że może go uratować.

Cieszyła mnie u Tima ta na nowo odnaleziona przytomność umysłu, ale patrzyłam w przyszłość z głębokim pesymizmem. Oceniałam jego rozsądek jako objaw instynktownej woli przetrwania. To dobra rzecz. Nie można nic zarzucić chęci przeżycia. Jedyne, co mnie przerażało, to pytanie, czy nie pojawiła się ona zbyt późno. Czas miał to wykazać.

Kiedy okręt zostanie uratowany, jeżeli zostanie uratowany, konieczne pozbycie się balastu daje prawo do uratowanego ładunku właścicielowi albo właścicielom ładunku. Tak stanowi międzynarodowe prawo morskie. To jest podejście wspólne wszystkim ludziom niezależnie od tego, skąd pochodzą. Świadomie czy podświadomie, Tim to ro-

zumiał. Robiąc to, co robił, uczestniczył w czymś szacownym i powszechnie akceptowanym. Rozumiałam go i myślę, że każdy by go rozumiał. To nie był odpowiedni czas, żeby skomleć z powodu przegranych bitew o to, czy jego syn wrócił, czy nie, z tamtego świata. Dla Tima to był czas walki o życie. Podjął ją i spisywał się najlepiej jak potrafił. Przyglądałam się i tam, gdzie mogłam, pomagałam. W końcu się nie udało, ale nie z braku wysiłku, woli walki albo odwagi.

To nie jest oportunizm. To jest mobilizacja sił do ostatecznej obrony. Traktowanie Tima z jego końcowych dni jako marnego człowieka walczącego o zwierzęce przetrwanie za wszelką cenę, także za cenę rezygnacji z zasad moralnych, byłoby całkowitym nieporozumieniem. Kiedy waży się sprawa życia, człowiek inteligentny działa w określony sposób i Tim tak właśnie działał: pozbył się wszystkiego, czego mógł się pozbyć, czego powinien był się pozbyć, odsłonił kły i zagroził, że będzie gryzł. Tak postępuje człowiek zdecydowany przeżyć, i do diabła z ładunkiem. Po śmierci Kirsten Tim sam znalazł się w niebezpieczeństwie bliskiej śmierci, o czym wiedział, i żeby go zrozumieć w tym jego ostatnim okresie, trzeba wziąć pod uwagę tę jego świadomość i trzeba też pamiętać, że to jego odczucie, to przekonanie, było słuszne. Tim miał pełen kontakt z rzeczywistą sytuacją, jak to ujął jego terapeuta (jakby istniała jakaś różnica między „sytuacją” a „rzeczywistą sytuacją”). Tim chciał żyć. Ja też chcę żyć. Pewnie każdy chce. Wobec tego każdy powinien móc sobie wyobrazić, co działo się w głowie biskupa Archera w okresie między śmiercią Kirsten, a jego własną. Pierwsza z nich była faktem, druga złowieszcza, ale niepewną możliwością, nie rzeczywistością, w każdym razie nie wtedy, chociaż z naszego dzisiejszego punktu widzenia, patrząc wstecz, możemy uznać ją za nieuniknioną. Ale taka już jest istota wstecznego spojrzenia: wszystko wydaje się nieuniknione, bo wszystko już się zdarzyło.

Nawet gdyby Tim uznał własną śmierć za nieuniknioną, orzeczoną przez wyrocznie, przez Sybillę albo przez Apolla mówiącego za pośrednictwem Sybilli, byłby zdecydowany stawić czoło temu losowi i walczyć z nim najlepiej jak potrafi. Uważam to za coś niezwykłego i godnego pochwały. To, że pozbył się tego całego balastu bzdur, w które wierzył i które głosił, nie ma znaczenia. Czy miał umrzeć zwinięty w kłębek, tuląc w objęciach cały ten śmietnik z zamkniętymi oczami, nie szczerząc kłów? Mam na ten temat jasny pogląd, widziałam to, zgłębiłam to. Widziałam, jak balast idzie za burtę, skoro tylko sprawdziła się pierwsza przepowiednia doktor Garret. Powiedziałam sobie wtedy: Bogu dzięki.

Myślę jednak, że powinien wycofać z druku tę cholerną książkę, *Wszechwładna śmierci*, jak ją nazwałam. Ale szło za nią trzydzieści tysięcy dolarów i może decyzja o jej wydaniu była po prostu dalszym świadectwem jego praktyczności. Nie wiem. Niektóre aspekty Tima Archera pozostają dla mnie tajemnicą, nawet dzisiaj.

To zwyczajnie nie było w stylu Tima, żeby odrzucić błąd, zanim się wydarzy. Pozwalał mu się zdarzyć, i wtedy, jak to sam ujął, dokonywał poprawki w formie uzupełnienia. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy w grę wchodziło jego fizyczne przetrwanie, wtedy starannie planował swoje działania. Wtedy wykazywał przezorność. Ten człowiek, który biegł przez życie, ścigając się ze sobą samym, wyprzedzając samego siebie, jakby ponaglany codziennie zażywana amfetaminą, ten człowiek nagle przystanął, rozejrzał się, spojrzął w oczy losowi i powiedział słowa przypisane Lutrowi, których jednak nie wypowiedział: „*Hier stech' Ich; Ich kann nicht anders*”: Przy tym obstaę; nie mogę inaczej. Niemiecki ontolog Martin Heidegger ma na to określenie: przekształcenie bytu nieautentycznego w autentyczny byt, czyli *Sein*.

Uczyłam się o tym na uniwersytecie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę, jak to się dzieje, ale zobaczyłam. I stwierdziłam, że jest to piękne, ale bardzo smutne, bo zakończyło się klęską.

Wyobraziłam sobie ducha mojego zmarłego męża czytającego moje myśli ku swojemu wielkiemu rozbawieniu. Jeff wytknąłby mi, że traktowałam biskupa jak jakiś statek towarowy, frachtowiec, szczerzący kły; poplątana metafora, która utrzymywałaby Jeffa w stanie ekstazy przez wiele dni. Musiałabym słuchać o tym bez końca. Mój umysł zaczął mnie zawodzić po samobójstwie Kirsten. Porównując w pracy listy przewozowe z fakturami, ledwo zauważałam, co robię. Wycofałam się. Koledzy z pracy i mój szef zwracali mi na to uwagę. Jadłam bardzo mało, przerwę na lunch spędzałam na lekturze Delmore'a Schwartza, który, jak słyszałam, umarł z głową w worku śmieci, które znosił po schodach, kiedy doznał śmiertelnego ataku serca. Piękna śmierć dla poety!

Introspekcja ma to do siebie, że nie wiadomo, kiedy ją skończyć. Podobnie, jak sen Spodka w *Śnie nocy letniej*, nie może sięgnąć spodu. Podczas studiów na anglistyce nauczyłam się budować metafory, igrać nimi, mieszać je i stosować. Jestem uzależniona od metafor, nadmiernie wykształconą mądrałą. Za dużo myślę, za dużo czytam, za dużo się przejmuję tymi, których za bardzo kocham. Ci, których kochałam, zaczęli umierać. Nieliczni tu pozostali, większość odeszła.

*Odeszli wszyscy w krainę światłości,
Tedy samotny błąkam się bez celu;
Pamięć ich tyle mi niesie radości,
Iż smutną myśl rozwesela.*

Jak pisał Henry Vaughan w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym. Ten wiersz kończy się tak:

*Ojcie Niebieski żywota wiecznego,
Co wszelkiej chwaty prowadzisz przędziwo,
Z domu niewoli wywiedź ducha mego
I daj mu wolność prawdziwą.
Albo mgły rozprosz i pozbieraj, które
Macją widzenie — iż stoję bezradny —
Albo wyprowadź na wysoką górę,
Gdzie szkieł nie trzeba mi żadnych*.*

Przez „szkło” Vaughan rozumie teleskop. Sprawdziłam. Na uniwersytecie specjalizowałam się w pomniejszych poetach metafizycznych siedemnastego wieku. Teraz, po śmierci Kirsten, wróciłam do nich, ponieważ moje myśli, podobnie jak ich myśli, zwróciły się ku innemu światu. Mój mąż tam odszedł, moja najbliższa przyjaciółka tam odešla, spodziewałam się, że wkrótce odejdzie tam Tim, i tak też się stało.

Na nieszczęście, zaczęłam widywać Tima coraz rzadziej. To stanowiło dla mnie największy cios ze wszystkich. Naprawdę go kochałam, ale teraz więzy zostały zerwane. Z jego strony. Ustąpił ze stanowiska biskupa Diecezji Kalifornijskiej i przeniósł się do Santa Barbara, do tamtejszego trustu mózgow. Jego książka, która zgodnie z moją niezmienną opinią nie powinna się była ukazać, wyszła, piętnując go jako głupca. Nałożyła się na to sprawa z Kirsten, bowiem prasa, mimo zacierania śladów przez Tima, połapała się co do ich tajnego związku. Kariera Tima w Kościele episkopalnym nagle dobiegła kresu. Spakował manatki i wyjechał z San Francisco, wypływając (jak to sam określił) w sektorze prywatnym. Tam mógł żyć szczęśliwie i swobodnie, bez surowych ograniczeń chrześcijańskiej moralności i prawa kanonicznego.

Brakowało mi go.

Do zerwania jego związków z Kościołem episkopalnym włączył się jeszcze trzeci element i były to przekłete dokumenty sadokickie, których Tim po prostu nie potrafił zostawić w spokoju. Nie zajmując się już Kirsten, bo nie żyła, i nie zajmując się okultyzmem, bo się na nim poznał, skupił całą swoją łatwowierność na pismach tej starożytnej sekty hebrajskiej, głosząc w swoich wystąpieniach, wywiadach i artykułach, że tutaj oto kryją się prawdziwe źródła nauk Jezusa. Tim nie potrafił trzymać się z dala od kłopotów. On i kłopoty byli sobie przeznaczeni.

Śledziłam wydarzenia związane z Timem przez lekturę gazet i czasopism, mój kontakt z nim przybrał charakter pośredni. Nie rozporządzałam już bezpośrednią, osobistą wiedzą na jego temat. Przeżywałam to jako osobistą tragedię, większą może niż utrata Jeffa i Kirsten, chociaż nigdy nikomu o tym nie wspomniałam, nawet swoim terapeutom. Urwał się też mój kontakt z Billem Lundborgiem, który oddalił się z mojego życia do szpitala psychiatrycznego i tyle go widziałam. Próbowałam go odnaleźć, nie udało mi się i zrezygnowałam. Miałam pecha albo szczęście, zależy jak na to patrzeć.

* Przekład Jerzy S. Sito.

Jakkolwiek na to patrzeć, rzecz sprowadzała się do tego: straciłam wszystkich, których znałam, i nadszedł czas, żeby zawrzeć nowe przyjaźnie. Uznałam, że sprzedawanie płyt to coś więcej niż praca, dla mnie stało się to powołaniem. W pierwszym roku awansowałam na kierownika sklepu. Miałam nieograniczone możliwości dokonywania zakupów, właściwie nie nakładali mi żadnych, ale to żadnych ograniczeń. To, co zamawiałam, albo nie, zależało wyłącznie od mojej decyzji i wszyscy przedstawiciele firm fonograficznych o tym wiedzieli. To oznaczało dla mnie wiele zaproszeń na lunch i nieco interesujących spotkań. Zaczęłam wychylać się ze swojej skorupy, widywać więcej ludzi i w końcu znalazłam narzeczonego, jeżeli możecie strawić takie staromodne określenie (w Berkeley nikt by go nie użył). Słowo „kochanek” jest chyba tym, o co mi chodzi. Pozwoliłam Hamptonowi wprowadzić się do siebie, do domu, który kupiliśmy z Jeffem, i miałam nadzieję, że rozpoczynam nowe życie w kategoriach zaangażowania emocjonalnego.

Książka Tima nie sprzedawała się tak dobrze, jak oczekiwano. Widziałam egzemplarze zalegające w różnych księgarniach koło Sather Gate. Okazała się za droga i zbyt przegadana, byłoby lepiej, gdyby ją skrócił, jeśli w ogóle to on ją napisał, bo kiedy wreszcie zabrałam się do lektury, miałam wrażenie, że w większości jest dziełem Kirsten. W każdym razie to ona spisała ostateczną wersję, niewątpliwie opartą na tekście popiesznie dyktowanym przez Tima. Tak mi powiedziała i zapewne była to prawda. Tim nigdy nie napisał uzupełnienia mającego poprawić wrażenie, tak jak mi to obiecał.

Pewnego niedzielnego poranka, kiedy siedzieliśmy z Hamptonem, pałac skręta z nowej, oczyszczonej z nasion trawki i oglądając w telewizji filmy rysunkowe dla dzieci, zadzwonił telefon, niespodziewanie od Tima.

— Cześć, Angel — odezwał się tym swoim serdecznym, ciepłym głosem. — Mam nadzieję, że ci w niczym nie przeszkadzam?

— Nie, w porządku — zdołałam wyjąkać, zastanawiając się, czy rzeczywiście usłyszałam głos Tima, czy też mam halucynacje po trawce. — Co u ciebie? Zastanawiałam się...

— Dzwonię dlatego — przerwał mi Tim, jakbym właśnie nie mówiła, jakby mnie nie słyszał — że w przyszłym tygodniu będę w Berkeley, biorę udział w konferencji w hotelu Claremont i chciałbym się z tobą zobaczyć.

— Wspaniale — powiedziałam ogromnie zadowolona.

— Czy możemy się umówić na kolację? Znasz restauracje; w Berkeley lepiej ode mnie, możesz wybrać, którą uznasz za stosowną. — Roześmiał się. — Miło będzie znów cię zobaczyć. Jak za dawnych czasów.

Niepewnie spytałam, jak mu się powodzi.

— Wszystko tutaj idzie jak najlepiej — powiedział Tim. — Jestem strasznie zajęty. W następnym miesiącu lecę do Izraela. Chciałem z tobą o tym pomówić.

— O — powiedziałam. — To brzmi interesująco.

— Chcę odwiedzić ten ued, w którym znaleziono dokumenty sadokitów. Wszystkie zostały już przetłumaczone. Niektóre z ostatnich fragmentów okazały się niezwykle interesujące, ale opowiem ci o tym, kiedy się zobaczymy.

— Dobrze — powiedziałam, zapalając się do tematu. Entuzjazm Tima jak zwykle działał zaraźliwie. — Czytałam długi artykuł w „Scientific American”. Niektóre z tych ostatnich fragmentów...

— Przyjadę po ciebie w środę wieczorem — mówił Tim. — Do domu. Ubierz się wieczorowo, jeśli łaska.

— Pamiętasz...

— Jasne, że pamiętam, gdzie mieszkasz.

Wydawało mi się, że mówi jakoś strasznie szybko. A może to ja byłam pod działaniem trawki? Nie, marihuana wszystko spowalnia. — W środę wieczorem pracuję — powiedziałam w panice.

— Około ósmej — ciągnął Tim, jakby mnie nie słyszał. — Zatem do zobaczenia. Do widzenia, moja droga. — I odłożył słuchawkę.

Cholera, pomyślałam. W środę mam pracę do dziewiątej wieczorem. Będę musiała zorganizować którąś ze sprzedawczyń na zastępstwo. Nie przepuszczę kolacji z Timem przed jego wyjazdem do Izraela. Zastanowiłam się, na jak długo on tam jedzie. Pewno na jakiś czas. Był tam już kiedyś i zasadził cedr. Pamiętałam, bo media zrobiły wokół tego sporo szumu.

— Kto to był? — spytał Hampton, siedzący w dżinsach i podkoszulku przed telewizorem, mój wysoki, chudy, zjadliwy przyjaciel, w okularach i z czarnymi włosami sztywnymi jak druty.

— Mój teść — powiedziałam. — Mój były teść.

— Ojciec Jeffa — kiwnął głową Hampton i na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech. — Mam pomysł, co powinno się robić z samobójcami. Myślę, że powinno obowiązywać prawo nakazujące przebieranie samobójców w stroje kłownów. I fotografowanie ich w tych strojach. I zamieszczanie tych zdjęć w gazetach. Takich osób jak Sylvia Plath. Zwłaszcza zdjęcia Sylvii Plath. — Hampton rozwodził się dalej, jak to, w jego wyobraźni, Sylvia Plath i jej przyjaciółki bawiły się, która dłużej wytrzyma z głową w piecyku gazowym, podczas gdy pozostałe chichotały, raz po raz wybuchając śmiechem.

— To nie jest zabawne — powiedziałam i wyszłam z pokoju.

— Ty chyba nie wsadzasz głowy do piecyka? — krzyczał za mną Hampton.

— Pieprz się — powiedziałam.

— ...z wielką czerwoną piłką na nosie — ciągnął Hampton głównie już sam do siebie. Jego głos, jazgot telewizora, film rysunkowy, wszystko to stało się nie do wytrzymania i zatkałam rękami uszy. — Wyjmij głowę z piecyka! — wrzeszczał Hampton. Wróciłam do pokoju i wyłączwszy telewizor, zwróciłam się do Hamptona.

— Tych dwoje przeżywało wielkie cierpienia. Nie ma nic śmiesznego w tym, że ktoś tak bardzo cierpi.

Szczerząc zęby, Hampton siedział na podłodze i kołysał się w tył i w przód.

— I wielkie niezgrabne łapy — mówił. — Łapy kłowna.

Otworzyłam drzwi wejściowe.

— Do zobaczenia. Idę się przejść. — Zamknęłam za sobą drzwi, które zaraz otworzyły się z powrotem. Hampton wyszedł za mną na ganek i przyłożył dłonie do ust.

— Chi, chi — wołał. — Idę włożyć głowę do piecyka. Zobaczmy, czy opiekunka zdąży na czas. Myślisz, że zdąży? Czy ktoś chce się założyć?

Szłam, nie oglądając się za siebie.

A idąc, myślałam o Timie i o Izraelu, o tym, jak tam musi być, upał, pustynia, mieszkańcy kibuców. Pracujący na roli, na starożytnej ziemi uprawianej przez Żydów od tysięcy lat, na długo przed Chrystusem. Może uda im się skierować uwagę Tima ku ziemi, pomyślałam. Odwrócić ją od tamtego świata. Na powrót do rzeczywistości, tam, gdzie jest jej miejsce.

Miałam co do tego wątpliwości, ale może się myliłam. Pomyślałam wtedy, że chciałabym pojechać z Timem — zrezygnować z pracy w sklepie, po prostu zabrać się i pojechać. Może nigdy już nie wrócić. Zostać w Izraelu na zawsze. Przejść na judaizm. Uzyskać obywatelstwo. Jeżeli mnie przyjmą. Tim pewnie mógłby to załatwić. Może w Izraelu przestałyby mi się plątać metafory i chodzić po głowie wiersze. Może mój umysł przestałby szukać rozwiązań w słowach z odzysku. W zdaniach z drugiej ręki, fragmentach wyrwanych z różnych całości, cytatach z okresu studiów na uniwersytecie, które zapamiętałam, ale nie zrozumiałam, a jak zrozumiałam, to nie stosowałam, a jak stosowałam, to bez powodzenia. Jestem obserwatorem zagłady swoich bliskich, pomyślałam, kimś, kto zapisuje w notatniku imiona umierających, ale nikogo nie uratował, ani jednego z nich.

Zapytam Tima, czy mogę z nim pojechać, postanowiłam. Tim powie, że nie, musi tak powiedzieć, ale mimo to spytam.

Żeby ściągnąć Tima na ziemię, uświadomiłam sobie, musieliby najpierw zwrócić jego uwagę, a jeżeli on jest nadal na prochach, to nic z tego nie wyjdzie. Jego umysł będzie uciekał, błędził i krążył bez końca po pustkowiach, konstruując coraz to nowe modele rajów... a oni będą próbować nawiązać z nim kontakt, podobnie jak ja, bezskutecznie. Gdybym z nim pojechała, może potrafiłabym pomóc, może razem z Izraelczykami osiągnęlibyśmy to, czego nigdy nie potrafiłabym zrobić sama. Ja skierowałabym ich uwagę na niego, a oni z kolei skierowaliby jego uwagę na ziemię, po której chodzi. Chryste, pomyślałam, ja muszę z nim jechać. To konieczne. Bo oni sami nie zdążą nawet zauważyć problemu. On przemknie tylko przez ten ich kraj, pokaże się to tu, to tam, nigdzie nie zagrzewając miejsca na dłużej, nie dając im...

Zatrąbił na mnie samochód. Przechodziłam przez jezdnię bez zastanowienia, nie rozglądając się na boki.

— Przepraszam — powiedziała do kierowcy, który posłał mi wściekłe spojrzenie.

Jestem nie lepsza niż Tim, pomyślałam. W Izraelu na nic bym się nie przydała. Ale i tak, pomyślałam, chciałabym z nim pojechać.

13

W środę wieczorem Tim przyjechał po mnie wynajętym pontiakiem. Miałam na sobie czarną suknię bez ramiączek, a w ręku małą torebkę wysadzaną cekinami. We włosy wpięłam kwiat i Tim, otwierając przede mną drzwi samochodu, stwierdził, że wyglądam pięknie.

— Dziękuję — powiedziałam, czując się onieśmielona.

Pojechaliliśmy do restauracji na University Avenue, tuż przy Shattuck. Była to nowo otworzona chińska restauracja. Nigdy w niej nie byłam, ale klienci w sklepie mówili mi, że to znakomite nowe miejsce w mieście.

— Czy zawsze się tak czesałaś? — spytał Tim, kiedy hostessa prowadziła nas do stolika.

— Uczesałam się tak na dzisiejszy wieczór — wyjaśniłam i pokazałam mu moje klipsy. — Jeff kupił mi je przed laty. Rzadko je noszę, boję się, że któryś zgubię.

— Zeszczupłałaś trochę. — Przytrzymał mi krzesło, podczas gdy, zdenerwowana, siadałam.

— To ta praca. Wypisuję zamówienia do późna w nocy.

— I jak ta twoja firma wydawnicza?

— Prowadzę sklep z płytami — powiedziałam.

— A, prawda. Przywiozłaś mi ten album z *Fidelia*. Nie miałem okazji, żeby go posłuchać... — Otworzył menu i całkowicie nim pochłonięty odwrócił swoją uwagę ode mnie. Jak łatwo słabnie jego uwaga, pomyślałam. Albo raczej zmienia swój przedmiot. Uwaga pozostaje, to jej przedmiot się zmienia. On żyje w nieustannie mieniącym się świecie. Uosobienie płynnego świata Heraklita.

Z przyjemnością odnotowałam, że Tim ma na sobie strój duchownego. Czy to jest legalne? — zadałam sobie pytanie. Cóż, nie mój interes. Otworzyłam swoje menu. Mieli tu kuchnię mandaryńską, nie kantońską, jedzenie będzie ostro przyprawione, a nie słodkie z masą orzeszków. Z korzeniem imbiru, pomyślałam. Byłam głodna i szczęśliwa, cieszyłam się, że jestem znów z moim przyjacielem.

— Angel — powiedział Tim. — Jedź ze mną do Izraela.

— Co? — spytałam, robiąc wielkie oczy.
— Jako moja sekretarka.
— Na miejsce Kirsten? — powiedziałam, nadal wpatrując się w niego. Zaczęłam drżeć na całym ciele. Podszedł kelner i dałam mu ręką znak, żeby odszedł.
— Czy państwo się czegoś napiją? — spytał kelner, nie zwracając uwagi na mój gest.
— Idź sobie — powiedziałam do niego z groźbą w głosie. — Cholerny kelner — zwróciłam się do Tima. — O czym ty mówisz? W jakim charakterze...
— Tylko jako moja sekretarka. Nie miałem na myśli nic osobistego, nic z tych rzeczy. Myślałaś, że proszę cię, żebyś została moją kochanką? Potrzebny mi jest ktoś, kto wykonywałby pracę, za którą przedtem odpowiadała Kirsten. Stwierdziłem, że sam nie daję rady.
— Jezu. Myślałam już, że chcesz, bym została twoją kochanką.
— To nie wchodzi w grę — powiedział Tim surowym, zdecydowanym tonem, co znaczyło, że nie żartuje. Co więcej, że jest zgorszony. — Nadal myślę o tobie jako o mojej synowej.
— Prowadzę sklep z płytami — powiedziałam.
— Mój budżet daje mi dość dużą swobodę. Sądzę, że będę mógł ci zapłacić równie dobrze jak twoja firma prawnicza... jak twój sklep z płytami — poprawił się.
— Pozwól mi się zastanowić. — Przywołałam kelnera. — Martini — zamówiłam.
— Ekstra dry. Dla biskupa nic.
Tim uśmiechnął się krzywo.
— Nie jestem już biskupem.
— Nie mogę — powiedziałam. — Jechać do Izraela. Mam za dużo spraw tutaj.
— Jeżeli ze mną nie pojedziesz, ja już nigdy... — zaczął Tim cichym głosem. — Byłem powtórnie u doktor Garret. Ostatnio Jeff przyszedł znów z tamtego świata. Mówi, że jeżeli nie wezmę cię z sobą do Izraela, to umrę tam.
— To jakaś bzdura. Czyste, absolutne bzdury. Myślałam, że już z tym skończyłeś.
— Były nowe zjawiska. — Nie wdawał się w szczegóły. Zauważyłam, że twarz ma bladą i napiętą. Wzięłam go za rękę.
— Nie rozmawiaj z doktor Garret. Rozmawiaj ze mną. Ja ci radzę, jedź do Izraela i do diabła z tą staruszką. To nie Jeff, to ona. Sam wiesz.
— Zegary — powiedział Tim. — Stały na godzinie śmierci Kirsten.
— Mimo to... — zaczęłam.
— Myślę, że to mogą być oni oboje.
— Jedź do Izraela. Porozmawiaj tam z ludźmi, z mieszkańcami Izraela. Żaden naród nie jest tak jak oni osadzony w rzeczywistości.
— Nie będę miał zbyt wiele czasu. Muszę jechać prosto nad Morze Martwe i odszukać ten ued. I muszę wracać, żeby zdążyć na spotkanie z Buckminsterem Fullerem. Zdaje się, że to z nim mam spotkanie. — Dotknął marynarki. — Mam to zapisane.
— Zawiesił głos.

— Zdawało mi się, że Buckminster Fuller nie żyje — powiedziałam.

— Nie, jestem pewien, że się mylisz. — Spojrzał na mnie, ja spojrzałam na niego i po chwili wybuchnęliśmy śmiechem.

— Widzisz? — powiedziałam, nadal trzymając jego dłoń. — Nie miałbyś ze mnie żadnego pożytku.

— Oni mówią, że tak. Jeff i Kirsten.

— Tim, pomyśl o Wallensteinie.

— Mam wybór — przemówił Tim głosem cichym, ale wyraźnym, głosem zdecydowanego autorytetu — między wiarą w niemożliwe i głupie z jednej strony a... — Umilkł na chwilę.

— A nieuleganiem wierze — podpowiedziałam.

— Wallenstein został zamordowany.

— Ciebie nikt nie zamorduje.

— Boję się — powiedział Tim.

— Posłuchaj, Tim, najgorszą rzeczą są te okultystyczne bzdury. Uwierz mi, ja wiem. To one zabiły Kirsten. Zdawałeś sobie z tego sprawę, kiedy ona umarła, pamiętasz? Nie możesz do tego wrócić. Stracisz zupełnie grunt pod nogami.

— Lepszy żywy pies — wycedził Tim — niż zdechły lew. Chcę powiedzieć, że lepiej wierzyć w brednie, niż być realistą, sceptykiem i racjonalistą, i umrzeć w Izraelu.

— No to zwyczajnie nie jedź.

— To, co muszę wiedzieć, znajduje się tam, w uedzie. Coś, co muszę odnaleźć. Ten grzyb, Angel, *anokhi*. On tam gdzieś istnieje i ten grzyb jest Chrystusem. Tym prawdziwym Chrystusem, o którym mówił Jezus. Jezus był wysłannikiem *anokhi*, które jest prawdziwą świętą mocą, prawdziwym źródłem. Chcę je zobaczyć, chcę je odnaleźć. Ono rośnie tam w jaskiniach, wiem, że tam jest.

— Było kiedyś — powiedziałam.

— Jest tam teraz. Chrystus jest tam teraz. Chrystus ma moc rozerwania więzów losu. Jedyłą moją nadzieją jest, że ktoś rozerwie więzy losu i mnie uwolni. W przeciwnym razie pójdę w ślady Jeffa i Kirsten. To właśnie robi Chrystus, obala pradawne moce gwiazd. Paweł wspomina o tym w swoich listach z więzienia... Chrystus wznosi się ponad sfery. — I znów zawiesił głos niepewnie.

— Mówisz o magii.

— Mówię o Bogu!

— Bóg jest wszędzie.

— Bóg jest w tym uedzie. Paruzja, Boska Obecność. Była tam dla sadokitów i jest tam teraz. Potęga losu jest w istocie potęgą świata i jedynie Bóg pod postacią Chrystusa może zniweczyć potęgę świata. W Księdze Prządek jest zapisane, że umrę, ale ciało i krew Chrystusa mnie uratują. Dokumenty z Qumran mówią o księdze, w której przy-

szłość każdego człowieka została zapisana przed stworzeniem świata — wyjaśnił. — To jest Księga Przątek, coś jak Tora. Przátky stanowią personifikację losu, jak Norny w mitologii germańskiej, które przędą ludzkie losy. Jedynie Chrystus, działający w imieniu Boga tutaj, na ziemi, bierze Księgę Przątek, czyta ją, przekazuje wiadomość człowiekowi, informuje go o jego losie, a potem dzięki swojej nieskończonej mądrości Chrystus poucza tego człowieka, w jaki sposób może uniknąć swojego losu. Wskazuje mu drogę wyjścia. — Zamilkł na chwilę. — Lepiej coś zamówmy. Ludzie czekają na stoliki.

— Prometeusz, który wykrada dla ludzi tajemnicę ognia, Chrystus, który bierze Księgę Przątek, czytają i przynosi człowiekowi wiadomość, żeby go uratować.

— Tak — kiwnął głową Tim. — To z grubsza ten sam mit. Tyle że to nie jest mit, Chrystus istnieje naprawdę. Jako duch, tam w uedzie.

— Nie mogę z tobą jechać — powiedziałam. — Żałuję, ale nie. Będziesz musiał jechać sam i dzięki temu przekonasz się, że doktor Garret gra na twoich lękach, tak jak grała na lękach Kirsten, bezwzględnie je wykorzystując.

— Mogłabyś mnie tam zawieźć.

— W Izraelu są kierowcy znający pustynię. Ja nie mam pojęcia o pustyni nad Morzem Martwym.

— Masz znakomite poczucie kierunku.

— Gubię się. Jestem zagubiona nawet teraz. Chciałabym z tobą jechać, ale mam tu moją pracę, moje życie i moich przyjaciół. Nie chcę wyjeżdżać z Berkeley, tu jest mój dom. Przykro mi, ale to jest święta prawda. Zawsze mieszkałam w Berkeley i nie jestem przygotowana na to, żeby z niego wyjechać. Może później. — Przyszło moje martini. Wypiłam je jednym spazmatycznym haustem, po którym nie mogłam złapać tchu.

— *Anokhi* to czysta świadomość Boga — powiedział Tim. — Jest to zatem Hagia Sophia, Boża Mądrość. Jedynie ta mądrość, która jest absolutna, może czytać w Księdze Przątek. Nie może zmienić tego, co jest w niej zapisane, ale może znaleźć sposób na przechytrzenie Księgi. Zapis jest ustalony i nic go nie zmieni. — Wyglądał teraz na pokonanego, zaczął się poddawać. — Potrzebna mi jest ta mądrość, Angel. Nic innego tu nie pomoże.

— Jesteś jak szatan — powiedziałam i zdałam sobie sprawę, że dżin uderzył mi do głowy, bo nie chciałam tego powiedzieć.

— Nie — zaprzeczył Tim, a potem kiwnął głową. — Tak, masz rację.

— Przepraszam, że to powiedziałam.

— Nie chcę być zabity jak zwierzę. Jeżeli można poznać zapis, to można też znaleźć odpowiedź. Chrystus może znaleźć odpowiedź, Hagia Sophia — Chrystus. Zostali przeniesieni ze Starego Testamentu do Nowego. — Widziałam już, że zrezygnował, wiedział, że nie zdoła mnie namówić. — Dlaczego, Angel? — spytał. — Dlaczego nie chcesz jechać?

— Bo nie chcę umrzeć tam nad Morzem Martwym — powiedziałam.

— Dobrze. Pojadę więc sam.

— Ktoś powinien to wszystko przeżyć.

Tim kiwnął głową.

— Chciałbym, żebyś przeżyła, Angel, Zostań więc tutaj. Przepraszam za...

— Po prostu mi wybacz — powiedziałam.

Uśmiechnął się blado.

— Mogłabyś przejechać się na wielbłądzie.

— Strasznie śmierdzą — powiedziałam. — Podobno.

— Jeżeli znajdę *anokhi*, będę miał dostęp do Bożej Mądrości. Po jej trwającej przeszło dwa tysiące lat nieobecności w świecie. O tym mówią dokumenty sadokitów, o tej mądrości, która była kiedyś dostępna dla ludzi. Pomyśl tylko, co by to znaczyło!

Podszedł kelner i zapytał, czy jesteśmy już gotowi zamówić. Powiedziałam, że tak. Tim rozejrzał się nieprzytomnie, jakby nagle dotarło do niego, gdzie się znajduje. Serce mi się kroiło na widok tego jego zagubienia, ale podjęłam już decyzję. Moje życie, takie jakie było, zbyt dużo dla mnie znaczyło, a przede wszystkim bałam się bliższego związku z tym mężczyzną; Kirsten zapłaciła za to życiem i w pewien trudniej uchwytny sposób mój mąż także. Chciałam mieć to wszystko za sobą, zaczęłam nowe życie i nie oglądałam się już za siebie.

Tim bez entuzjazmu złożył swoje zamówienie. Miałam uczucie, że przestał mnie dostrzegać, jakbym się wtopiła w tło. Zająłam się swoim menu i znalazłam to, na co miałam ochotę. Miałam ochotę na coś bliskiego, trwałego, rzeczywistego, namacalnego. Co leży w tym świecie, czego można dotknąć i co można pojąć. Co wiąże się z moim domem i moją pracą, i co ostatecznie przegoni z mojego umysłu abstrakcyjne myśli, myśli o innych myślach i cały ich ciąg wirujący w nieskończoność.

Jedzenie, które kelner przyniósł, smakowało wybornie. Oboje jedliśmy z przyjemnością. Moi klienci mieli rację.

— Jesteś na mnie zły? — spytałam, kiedy skończyliśmy.

— Nie. Cieszę się, że przeżyjesz to wszystko. I że pozostaniesz taka, jaka jesteś — powiedział, wskazując mnie palcem, a potem dodał z wyrazem zdecydowania: — Ale jeżeli znajdę to, czego szukam, to ja się zmienię. Nie będę taki jak teraz. Przeczytałem wszystkie dokumenty, lecz odpowiedzi w nich nie ma. Dokumenty dowodzą, że odpowiedź istnieje, i wskazują do niej drogę, ale same odpowiedzi nie zawierają. Ona się kryje w uedzie. To prawda, że ryzykuję, ale sprawa jest tego warta. Jestem gotów podjąć to ryzyko, bo mogę odnaleźć *anokhi*, i sama świadomość tego sprawia, że warto je podjąć.

— Nie było żadnych dalszych zjawisk — powiedziałam pod wpływem nagłego impulsu.

— To prawda.

— I nie byłeś po raz drugi u doktor Garret.

— Też prawda. — Nie sprawiał wrażenia skruszzonego ani zawstydzonego.

— Wymyśliłeś to, żebym z tobą pojechała.

— Chcę, żebyś była przy mnie. Żebyś mnie tam zawiozła. W przeciwnym razie... boję się, że nie znajdę tego, czego szukam. — Uśmiechnął się.

— Cholera. A ja ci uwierzyłam.

— Miałem sny — powiedział Tim. — Niepokojące sny. Ale nie było szpilek za paznokciami. Ani spalonych włosów. Ani zatrzymanych zegarów.

— Tak bardzo chciałeś, żebym z tobą pojechała — powiedziałam słabnącym głosem. Przez chwilę czułam pokusę, żeby jednak się zgodzić. — Myślisz, że dla mnie też byłoby to ważne.

— To prawda. Ale ty nie pojedziesz. To jasne. Cóż... — Uśmiechnął się swoim znajomym, mądrym uśmiechem. — Próbowałem.

— Wpadłam więc w koleinę? Bo mieszkam w Berkeley?

— Wieczna studentka.

— Prowadzę sklep z płytami.

— Twoi klienci to pracownicy naukowcy i studenci. Nadal jesteś przywiązana do uniwersytetu. Nie zerwałaś pępowiny. Dopóki tego nie zrobisz, nie będziesz całkiem dorosła.

— Urodziłam się tamtej nocy, kiedy piłam bourbona i czytałam *Komedie*. Kiedy miałam stan zapalny zęba.

— Zaczęłaś się rodzić. Dowiedziałaś się o narodzinach. Ale póki nie pojedziesz do Izraela... tam się naprawdę narodzisz, na pustyni nad Morzem Martwym. Tam zaczęło się życie duchowe człowieka, na górze Synaj, w obecności Mojżesza. *Ehyeh* przemówił... teofania. Najbardziej doniosły moment w historii ludzkości.

— Prawie mnie przekonałeś — powiedziałam.

— To jedź. — Wyciągnął rękę.

— Boję się — powiedziałam zwyczajnie.

— W tym cały kłopot. To dziedzictwo przeszłości: śmierć Jeffa i śmierć Kirsten. To cię odmieniło, na zawsze. Pozostawiło w tobie lęk przed życiem.

— Lepszy żywy pies...

— Ale ty nie żyjesz naprawdę. Wciąż się nie narodziłaś. To właśnie miał na myśli Jezus, mówiąc o powtórnych narodzinach, o narodzinach z Ducha, o narodzinach z góry. To właśnie czeka na pustyni i to właśnie odnajdę.

— Znajdź to — powiedziałam — ale znajdź to beze mnie.

— „Ten, kto traci życie...”

— Przestań mi cytować Biblię — powiedziałam. — Nasłuchałam się dość cytatów, własnych i cudzych. Dobrze?

Tim wyciągnął rękę i w milczeniu, uroczyście wymieniliśmy uścisk dłoni. Tim uśmiechnął się z lekka, wypuścił moją dłoń, po czym spojrzął na swój złoty zegarek. — Muszę cię odwiedzić do domu. Mam jeszcze jedno spotkanie dziś wieczór. Rozumiesz, znasz mnie.

— Tak. W porządku, Tim. Jesteś mistrzowskim strategiem. Obserwowałam cię, kiedy poznałeś Kirsten, a dzisiaj wypróbowałeś swoje zdolności na mnie. — I prawie mnie przekonałeś, dodałam w myśli. Jeszcze parę minut i bym uległa. Gdybyś nalegał nieco dłużej.

— Moim zawodem jest zbawianie dusz — stwierdził Tim zagadkowo. Nie potrafiłam odgadnąć, czy mówi to ironicznie czy poważnie, po prostu nie potrafiłam. — Twoja dusza zasługuje na zbawienie — powiedział, wstając. — Przepraszam, że cię poganiam, ale musimy już iść.

Zawsze się gdzieś spieszysz, pomyślałam, wstając w ślad za nim.

— Wspaniała kolacja — powiedziałam.

— Naprawdę? Nie zauważyłem. Widocznie jestem zbyt zaferowany. Muszę załatwić tyle spraw przed odlotem do Izraela. Teraz, kiedy nie mam Kirsten, która wszystko za mnie załatwiała... robiła to bardzo dobrze.

— Znajdziesz kogoś.

— Myślałem, że znalazłem ciebie. Marny dziś ze mnie rybak, zarzuciłem sieci na ciebie i nie złowiłem cię.

— Może następnym razem.

— Nie — powiedział Tim. — Nie będzie następnego razu. — Nie wyjaśnił, co ma na myśli, zresztą nie musiał. Wiedziałam, że tak jest, nieważne z jakiego powodu. Czułam, że Tim mówi prawdę.

Kiedy Timothy Archer odleciał do Izraela, wiadomości NBC wspomniały o tym mimochodem, jakby wspomnieli o przelocie ptaków, wydarzeniu zbyt regularnym, żeby było ważne, a jednak takim, o którym widzowie powinni zostać poinformowani. Chyba żeby przypomnieć, że episkopalny biskup Timothy Archer nadal istnieje i nadal aktywnie uczestniczy w sprawach tego świata. A potem amerykańska publiczność nie słyszała o nim przez jakiś tydzień.

Dostałam od niego kartkę, ale kartka przysłała po sensacyjnej późnowieczornej wiadomości o znalezieniu porzuconego datsuna biskupa Archera, z tylnymi kołami wystającymi poza skraj wąskiej, krętej drogi na stromej skale, z mapą ze stacji benzynowej na siedzeniu obok kierownicy, tak jak ją zostawił.

Władze Izraela zrobiły wszystko co w ich mocy i zrobiły to szybko. Wysłały żołnierzy i... gówno. Wykorzystały wszystko, co mogły, ale dziennikarze wiedzieli, że Tim Archer zginął na pustyni, bo nie można tam przeżyć, wspinając się na urwiska i schodząc w głąb wąwozów. Nie można przeżyć, toteż w końcu odnaleziono jego ciało, które wyglądało według relacji jednego z obecnych na miejscu reporterów, jakby biskup modlił się na klęczkach. Ale tak naprawdę Tim spadł z wysokiego urwiska. A ja pojechałam jak zwykle do sklepu z płytami, otworzyłam go dla klientów, włożyłam pieniądze do kasy i tym razem nie płakałam.

Dlaczego nie wynajął zawodowego kierowcy? — zapytywali dziennikarze. Dlaczego wybrał się samotnie na pustynię z mapką ze stacji benzynowej i dwiema butelkami lemoniady? Ja znałam odpowiedź. Bo się spieszył. Niewątpliwie uznał, że znalezienie zawodowego kierowcy zajmie zbyt wiele czasu. Nie mógł czekać. Tak jak tamtego wieczoru w chińskiej restauracji, Tim musiał gdzieś pędzić, nie mógł długo usiedzieć na jednym miejscu. Był człowiekiem zajęтым i spieszyło mu się, pospieszył więc na pustynię w tym małym czterocylindrowym samochodziku, który nie jest bezpieczny nawet na kalifornijskich autostradach. Jak dowodził Bill Lundborg, te maluchy są niebezpieczne.

Kochałam go najbardziej z nich wszystkich. Przekonałam się o tym, kiedy dotarła do mnie wiadomość, zrozumiałam to w inny sposób niż przedtem. Przedtem to było uczucie, emocja, ale kiedy uświadomiłam sobie, że on nie żyje, ta świadomość uczyniła ze mnie chorą osobę, która skręca się z bólu i ledwo powłóczy nogami, ale mimo to jedzie do pracy, napełnia kasę, odpowiada na telefony i pyta klientów, czym może służyć. Nie byłam chora tak, jak chory jest człowiek albo zwierzę, byłam jak popsuta maszyna. Poruszałam się, ale dusza we mnie umarła, dusza, która jak mówił Tim, nigdy się w pełni nie narodziła. Ta dusza, nie do końca urodzona, ale chcąca urodzić się bardziej, urodzić się do końca, ta dusza umarła, a moje ciało mechanicznie poruszało się dalej.

Ta dusza, którą straciłam w tamtym tygodniu, nigdy nie powróciła. Jestem teraz, po latach, nadal tylko maszyną. Ta maszyna usłyszała wiadomość o śmierci Johna Lennona, ta maszyna zasmuciła się i pogрузzyła w rozmyślaniach, a potem pojechała do Sausalito na seminarium Edgara Barefoota, bo tak właśnie zachowuje się maszyna, tak reaguje na rzeczy straszne. Maszyna nie potrafi inaczej, po prostu kręci się dalej, może tylko trochę zgrzyta. To wszystko, co maszyna potrafi. Nie można od niej oczekiwać niczego więcej. To wszystko, co ma do zaoferowania. Dlatego mówimy o niej jako o maszynie. Rozumie umysłem, ale jej serce nie rozumie, bo jest sercem mechanicznym, zaprojektowanym do tego, żeby działało jako pompa.

Pompuje więc, a maszyna kuśtyka i pędzi przed siebie, i wie, ale nie wie. I wykonuje swoje zadania. Żyje tym, co uważa za życie: trzyma się rozkładu zajęć i przestrzega prawa. Nie przekracza limitu szybkości na moście Richardsona i mówi sobie: właściwie nigdy nie lubiłam Beatlesów, uważam, że są nijacy. Jeff przyniósł kiedyś *Rubber Soul*

i kiedy słyszę... — powtarza sobie to, co pomyślała i usłyszała, prowadzi imitację życia. Życia, które kiedyś posiadała, a teraz utraciła; które odeszło. Wie, że nie wie co, jak mówią podręczniki filozofii o filozofie, który się pogubił. Zapomniałam, który to. Chyba Locke. „I Locke uważa, że nie wie co”. To zdanie zrobiło na mnie wrażenie. Ja takich rzeczy szukam. Pociągają mnie błyskotliwe sformułowania, które można uznać za wzór dobrej angielszczyzny.

Jestem wieczną studentką i taką pozostanę, już się nie zmienię. Zaoferowano mi szansę zmiany, z której nie skorzystałam. Jestem teraz unieruchomiona i jak mówiłam, wiem, ale nie wiem co.

14

Siedząc naprzeciwko nas, uśmiechnięty księżycowe szerokim uśmiechem, Edgar Barefoot mówił:

— Co by było, gdyby orkiestra symfoniczna myślała tylko o dotarciu do finałowej kody? Co by się stało z muzyką? Jedno wielkie uderzenie dźwięku i zaraz koniec. Muzyka tkwi w procesie, w rozwoju. Przyspieszenie ją niszczy. Wtedy nie ma już muzyki. Chcę, żebyście się nad tym zastanowili.

Dobrze, powiedziałam sobie, zastanowię się nad tym. Tego akurat dnia nie ma nic, o czym wołałabym rozmyślać. Coś się stało, coś ważnego, ale nie chcę tego pamiętać. Nikt nie chce. Widzę wokół Siebie tę samą reakcję. Moja reakcja w innych, tutaj, na tej luksusowej łodzi w przystani numer pięć. Gdzie płaci się sto dolarów, tyle, zdaje się, Tim i Kirsten zapłacili tej wariatce, temu pseudomedium z Santa Barbara, która zniszczyła nas wszystkich.

Sto dolarów wygląda na jakąś magiczną sumę, która otwiera drzwi do oświecenia. Dlatego też jestem tutaj. Moje życie jest poświęcone poszukiwaniom oświecenia, podobnie jak życie ludzi wokół mnie. Oto jest głos Strefy Zatokowej, hałas i rwetes poszukiwaczy sensu. Oto sens naszego istnienia: uczyć się.

Ucz nas, Barefoot, pomyślałam. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Jako osoba niezdolna do rozumienia, chcę wiedzieć. Możesz zacząć ode mnie. Jestem najbardziej uważna z twoich uczniów. Wierzę we wszystko, co głosisz. Jestem absolutną idiotką, że tu przyszłam. Wydawaj te dźwięki, to mnie uspokaja i zapominam.

— Młoda damo — powiedział Barefoot.

Drgnęłam, zdając sobie sprawę, że zwraca się do mnie.

— Tak — powiedziałam, wstając.

— Jak się nazywasz?

— Angel Archer.

— Po co tu jesteś?
— Żeby uciec.
— Od czego?
— Od wszystkiego.
— Dlaczego?
— Bo to boli.
— Chodzi ci o Johna Lennona?
— Też. Ale nie tylko. Są inne rzeczy.
— Zwróciłem na ciebie uwagę — powiedział Barefoot — bo spałaś. Może nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Czy zdawałaś sobie z tego sprawę?
— Zdawałam sobie sprawę.
— Czy chcesz, żebym tak o tobie myślał? Jako o osobie, która śpi?
— Proszę mnie zostawić w spokoju.
— Pozwolić ci więc spać?
— Tak.
— Odgłos klaskania jedną ręką — zacytował Barefoot.
Nie odezwałam się.
— Czy chcesz, żebym cię uderzył? Palnąć cię w plecy? Żebyś się obudziła?
— Nie zależy mi — powiedziałam. — Wszystko mi jedno.
— Co trzeba zrobić, żeby cię obudzić?
Nie odpowiedziałam.
— Moja praca polega na budzeniu ludzi.
— Jeszcze jeden rybak.
— Tak, ale ja łowię ryby, nie dusze. Nie wiem, co to jest „dusza”. Wiem tylko, co to jest ryba. Rybak łowi ryby i jeżeli wydaje mu się że łowi coś innego, to jest głupcem. Oszukuje sam siebie i tych, których chce złowić.
— To złap mnie — powiedziałam.
— Czego chcesz?
— Nigdy się już nie obudzić.
— To podejdź tutaj — powiedział Barefoot. — Podejdź i stań obok mnie. Ja cię nauczę spać. Spać jest równie trudno, jak się obudzić. Ty śpisz marnie, nieumiejętnie. Mogę cię nauczyć spać i równie łatwo mogę cię nauczyć, jak się obudzić. Możesz wybierać. Czy jesteś pewna, że wiesz, czego chcesz? Może w głębi serca chcesz się obudzić? Możesz się mylić co do siebie. Podejdź tutaj. — Wyciągnął rękę.
— Nie dotykaj mnie — powiedziałam, podchodząc. — Nie chcę być dotykana.
— Więc to wiesz.
— Jestem tego pewna.
— Może twoje kłopoty wynikają z tego, że nikt cię nigdy nie dotknął.

— Ty mi to powiedz. Ja nie mam nic do powiedzenia. Cokolwiek miałam do powiedzenia...

— Ty nigdy nic nie powiedziałaś. Przez całe życie milczałaś. Mówiły tylko twoje usta.

— Skoro tak mówisz.

— Powiedz mi jeszcze raz, jak się nazywasz.

— Angel Archer.

— Czy masz swoje tajne imię? Którego nikt nie zna?

— Nie mam tajnego imienia. — I nagle powiedziałam: — Jestem zdrajczynią.

— Kogo zdradziłaś?

— Przyjaciół.

— Cóż, zdrajczyni, opowiedz mi, jak doprowadziłaś swoich przyjaciół do upadku.

Jak to zrobiłaś?

— Za pomocą słów.

— Jesteś więc mocna w słowach.

— Bardzo mocna. Jestem zarazą, słowną zarazą. Uczyli mnie tego zawodowcy.

— Brak mi słów — powiedział Barefoot.

— Wobec tego słucham.

— Teraz zaczynasz rozumieć.

Kiwnęłam głową.

— Czy masz w domu jakieś zwierzęta? — spytał Barefoot. — Psy albo koty?

Jakiekolwiek zwierzę?

— Dwa koty.

— Czy je czesz, karmisz i zajmujesz się nimi? Czujesz się za nie odpowiedzialna?

Zabierasz je do weterynarza, kiedy zachorują?

— Jasne.

— A kto zajmuje się tobą?

— Mną? Nikt.

— Potrafisz to wszystko robić sama?

— Potrafię.

— Wobec tego, Angel Archer, ty żyjesz.

— Chyba niechcący.

— Ale żyjesz. Nie wiesz tego, ale żyjesz. Pod słowami, pod skorupą słów, jesteś żywa.

Próbuję ci to powiedzieć, nie używając słów, ale to niemożliwe. Posiadamy wyłącznie słowa. Siadaj z powrotem i słuchaj. Wszystko, co odtąd dzisiaj powiem, będzie skierowane do ciebie. Mówię do ciebie, ale nie słowami. Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

— Nie.

— No to po prostu siadaj.

Wróciłam na miejsce i usiadłam.

— Angel Archer — zaczął Barefoot. — Mylisz się, co do siebie. Ty nie jesteś chora, ty jesteś wygłodniała. To, co cię dręczy, to głód. Słowa nie mają z tym nic wspólnego. Byłaś zagłodzona przez całe życie. Rzeczy duchowe ci nie pomogą. Nie potrzebujesz ich. W tym świecie jest za dużo rzeczy duchowych, o wiele za dużo. Jesteś głupia, Angel Archer, ale twoja głupota nie jest dobrą głupotą.

Nie odpowiedziałam.

— Potrzebujesz prawdziwego mięsa — mówił Barefoot — i prawdziwego napoju, a nie duchowego mięsa i napoju. Ja ci daję prawdziwe pożywienie dla twojego ciała, żeby rosło. Jesteś wygłodzoną osobą, która, sama o tym nie wiedząc, przyszła tu, żeby ją nakarmić. Nie masz pojęcia, po co tu dzisiaj przyszłaś. To ja mam ci to powiedzieć. Kiedy ludzie przychodzą tutaj, żeby mnie słuchać, częstuję ich kanapką. Głupi słuchają moich słów, mądrzy zjadają kanapkę. To, co ci mówię, nie jest jakimś absurdem, to prawda. To jest coś, o czym nikt z was nie myślał, ale ja daję wam prawdziwy pokarm i tym pokarmem jest kanapka. Słowa, gadanina to nic, to tylko wiatr. Biorę od was po sto dolarów, ale uczycie się czegoś bezcennego. Czy kiedy wasz pies albo kot jest głodny, mówicie do niego? Nie, dajecie mu jeść. Ja też daję wam jeść, ale wy o tym nie wiecie. Macie wszystko postawione na głowie, bo tak was nauczyle na uniwersytecie. Żle was nauczono. Okłamano was. A teraz oszukujecie się sami, nauczyliście się, jak to robić, i robicie to bardzo dobrze. Poczęstujcie się kanapką i jedzcie, zapomnijcie o słowach. Jedynym celem słów było ściągnięcie was tutaj.

Dziwne, pomyślałam. On to mówi poważnie. W tym momencie część mojego bólu zaczęła ustępować. Poczułam, jak ogarnia mnie spokój, a cierpienie odpływa.

— Cześć, Angel. — Ktoś za mną pochylił się i trącił mnie w ramię.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto to.

Uśmiechała się do mnie pyzata młoda twarz z niewinnymi oczami, otoczona jasnymi włosami. Bill Lundborg w golfie i szarych spodniach, i ku mojemu zdziwieniu, w zamaszowych mokasynach.

— Pamiętasz mnie? — zapytał szeptem. — Przepraszam, że nie odpowiedziałem na żaden z twoich listów. Zastanawiałem się, jak żyjesz.

— Doskonale — powiedziałam. — Po prostu doskonale.

— Chyba nie powinniśmy rozmawiać. — Założył ręce na piersi i w skupieniu słuchał tego, co mówi Barefoot.

Po wykładzie Barefoot podszedł do mnie. Wciąż jeszcze siedziałam bez ruchu. Pochylił się i spytał:

— Czy masz coś wspólnego z biskupem Archerem?

— Tak — powiedziałam. — Jestem jego synową.

— Znaliśmy się, Tim i ja. Przez lata. Jego śmierć była dla mnie wstrząsem. Rozmawialiśmy z nim o teologii.

Podszedł do nas Bill Lundborg i przysłuchiwał się w milczeniu naszej rozmowie. Nadal uśmiechał się tym samym uśmiechem, który zapamiętałam.

— A teraz śmierć Johna Lennona — mówił Barefoot. — Mam nadzieję, że nie wprawiłem cię w zakłopotanie, wyciągając cię w ten sposób do odpowiedzi, ale widziałem, że coś jest nie tak. Teraz wyglądasz lepiej.

— Czuję się lepiej.

— Zjesz kanapkę? — Barefoot wskazał słuchaczy zebranych wokół stołu w drugim pomieszczeniu.

— Nie, dziękuję.

— Wobec tego nie słuchałaś tego, co do ciebie mówiłem. Ja nie żartowałem, Angel. Nie możesz żyć słowami, słowa nie karmią. Jezus powiedział: „Nie samym chlebem człowiek żyje”, a ja mówię: „Człowiek w ogóle nie żyje słowami”. Zjedz kanapkę.

— Zjedz coś, Angel — poparł go Bill Lundborg.

— Nie mam ochoty — powiedziałam. — Przepraszam. — Pomyślałam, że wolałabym, żeby mi dano spokój.

— Jesteś taka chuda — powiedział Bill Lundborg, pochylając się.

— To ta moja praca — odpowiedziałam obojętnie.

— Angel, poznaj Billa Lundborga — zreflektował się Edgar Barefoot.

— My się znamy — powiedział Bill. — Jesteśmy starymi znajomymi.

— Wobec tego pewnie wiesz — zwrócił się do mnie Barefoot — że Bill jest bodhisattwą.

— Nie wiedziałam.

— A czy wiesz, Angel, co to jest bodhisattwa? — spytał Barefoot.

— To ma coś wspólnego z Buddą.

— Bodhisattwa to ktoś, kto zrezygnował z szansy osiągnięcia nirwany, żeby wrócić na ziemię i pomagać innym. Dla bodhisattwy współczucie jest równie ważne jak mądrość. To jest zasadnicza cecha bodhisattwy.

— To piękne — powiedziałam.

— Wykłady Edgara bardzo dużo mi dają — wtrącił się Bill. — Chodź. — Wziął mnie za rękę. — Dopilnuję, żebyś coś zjadła.

— Czy uważasz się za bodhisattwę? — spytałam go.

— Nie.

— Czasami sam bodhisattwa nie wie — powiedział Barefoot. — Można być oświeconym, nie wiedząc o tym. Można również uważać, że jest się oświeconym i nie być. Budda jest nazywany „Obudzonym”, ponieważ „obudzony” znaczy to samo co „oświecony”. My wszyscy, nie zdając sobie z tego sprawy, jesteśmy pogrążeni we śnie. Żyjemy we śnie, chodzimy, poruszamy się i spędzamy nasze życie we śnie. A przede wszystkim mówimy we śnie, nasze słowa są słowami ludzi śpiących, są nierzeczywiste.

Jak to, czego słucham teraz, pomyślałam.

Rozejrzałam się za Billem, który gdzieś znikł.

— Poszedł przynieść ci coś do zjedzenia — wyjaśnił Barefoot.

— To wszystko jest bardzo dziwne — powiedziałam. — Ten cały dzień jest jakiś nierzeczywisty. Jest jak sen, masz rację. Na wszystkich stacjach grają stare piosenki Beatlesów.

— Opowiem ci, co mi się kiedyś zdarzyło. — Barefoot usiadł obok mnie na krześle i pochylił się, splatając dłonie. — Byłem wtedy bardzo młody, studiowałem na Uniwersytecie Stanforda. Chodziłem na zajęcia, ale nie zdawałem końcowych egzaminów. Słuchałem dużo wykładów z filozofii.

— Ja też — powiedziałam.

— Pewnego dnia wyszedłem z mieszkania, żeby nadać list. Pisałem pracę, nie na stopień, tylko dla siebie: głębokie idee filozoficzne, idee bardzo wówczas dla mnie ważne. Miałem jeden szczególny problem, z którym nie mogłem sobie poradzić: chodziło o Kanta i jego ontologiczne kategorie, za pomocą których umysł ludzki poznaje...

— Czas, przestrzeń i przyczynowość — powiedziałam. — Wiem. Uczyłam się tego.

— Idąc, uświadomiłem sobie, że w bardzo realnym sensie ja sam tworzę świat, który poznaję, że zarówno tworzę ten świat, jak i go poznaję. Właściwe sformułowanie przyszło mi do głowy nagle, jak grom z jasnego nieba. W jednej chwili go nie miałem, w następnej je miałem. Było to rozwiązanie, którego szukałem przez kilka lat... Przeczytałem Hume'a i potem znalazłem odpowiedź na jego krytykę przyczynowości w pismach Kanta, a teraz, nagle, miałem odpowiedź, i to odpowiedź należycie sformułowaną, na Kanta. Przyspieszyłem kroku.

W tym momencie pojawił się Bill Lundborg. Niósł kanapkę i kubek jakiegoś soku owocowego, który mi podał. Przyjęłam je mechanicznie.

Barefoot podjął przerwany wątek.

— Wracalem do domu najszybciej jak mogłem. Musiałem zapisać to *satori*, zanim je zapomnę. To, co zdobyłem tam na ulicy, z dala od mieszkania, gdzie miałbym dostęp do pióra i papieru, to było zrozumienie świata pojęciowo zorganizowanego, nie w czasie i przestrzeni oraz według zasady przyczynowości, ale świata jako idei istniejącej w bezgranicznym umyśle, tak jak nasze własne umysły przechowują pamięć. Uchwyciłem przeblysł świat nie uporządkowanego przeze mnie w kategoriach czasu, przestrzeni i przyczynowości, ale takiego, jaki jest urządony sam w sobie: Kantowską rzecz samą w sobie.

— Która, jak twierdzi Kant, nie może być poznana.

— Która normalnie nie może być poznana — powiedział Barefoot — ale ja jakoś ją pojąłem, jako olbrzymią siatkę, rozgałęziającą się strukturę wzajemnych powiązań, zorganizowaną według znaczenia, z nowymi wydarzeniami dodawanymi jak inkrustacje. Nigdy wcześniej nie postrzegałem w taki sposób absolutnej natury rzeczywistości. — Tu umilkł na chwilę.

— Wróciłeś do domu i zapisałeś to wszystko — powiedziałam.

— Nie. Nigdy tego nie zapisałem. Kiedy prawie biegłem do domu, zobaczyłem dwójkę małych dzieci, jedno z nich z butelką ze smoczkiem, które bawiły się na jezdni. Przejeżdżała tamtędy z dużą prędkością masa samochodów. Przyglądałem się temu przez chwilę i wreszcie podszedłem do nich. Nie widząc nikogo dorosłego, poprosiłem, żeby zaprowadziły mnie do swojej matki. Dzieci nie znały angielskiego, działo się to w hiszpańskiej dzielnicy, bardzo biednej... w tamtych czasach nie miałem centa przy duszy. Odnalazłem matkę dzieci. Powiedziała: „Nie mówię po angielsku” i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Z uśmiechem. Pamiętam to. Uśmiechnęła się do mnie pogodnie. Myślała, że jestem jakimś domokrażcą. Chciałem jej powiedzieć, że jej dzieci mogą w każdej chwili zginąć, a ona z angielskim uśmiechem zatrzasnęła mi przed nosem drzwi.

— I co wtedy zrobiłeś? — spytał Bill.

— Usiadłem na krawężniku i pilnowałem tej dwójki dzieci przez resztę popołudnia. Póki nie wrócił z pracy ich ojciec, który mówił trochę po angielsku. Mogłem mu wytłumaczyć, o co chodzi. Podziękował mi.

— Postąpiłeś słusznie — powiedziałam.

— I w ten sposób nigdy nie przenieśliśmy mojego modelu wszechświata na papier. Zachowałem o nim tylko niejasne wspomnienie. Takie rzeczy uciekają. Było to *satori*, jakie zdarza się raz w życiu. W Indiach to się nazywa *moksa*, nagły przebłysk absolutnego zrozumienia pojawiającego się znikąd. To, co James Joyce nazywa „epifaniami” rodzącymi się ze zdarzeń trywialnych albo w ogóle bez przyczyny, po prostu zdarzają się. Całościowe zrozumienie świata. — Barefoot umilkł.

— Z tego, co mówisz, wynika, że życie meksykańskiego dziecka jest...

— A co ty byś zrobiła? — spytał Barefoot. — Czy poszłabyś do domu i zapisała swoje filozoficzne odkrycie, swoją *moksę*? Czy zostałabyś przy dzieciaku?

— Zadzwońabym na policję.

— Żeby to zrobić, musiałabyś poszukać telefonu. A wtedy zostawiłabyś dzieci.

— To ładna historyjka — powiedziałam. — Ale znałam kogoś jeszcze, kto opowiadał ładne historyjki, i ten ktoś nie żyje.

— Może znalazł to, czego szukał w Izraelu. Zanim zginął — powiedział Barefoot.

— Bardzo wątpię.

— Ja też — zgodził się Barefoot. — Z drugiej strony, może znalazł coś lepszego. Coś, czego powinien był szukać, a nie szukał. Chcę przez to powiedzieć, że wszyscy jesteśmy nieświadomymi, więcej nawet, opornymi bodhisattwami. Jest to coś, co narzucają nam przypadkowe okoliczności. Chciałem jedynie popędzić do domu i przelać moje wspańnięte odkrycie na papier, zanim je zapomnę. To było naprawdę wielkie odkrycie, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Nie chciałem zostać bodhisattwą, nie prosiłem o to, nie oczekiwałem tego. W tamtym czasie nie znałem jeszcze tego określenia. Każdy by postąpił tak jak ja.

— Nie każdy — powiedziałam. — Ale chyba większość.

— A co ty byś zrobiła? — spytał Barefoot. — Stojąc przed takim wyborem.

— Chyba zrobiłabym to co ty i miała nadzieję, że zapamiętam to odkrycie.

— Ale ja nie zapamiętałem — powiedział Barefoot — i to jest sedno tej historii.

— Czy mogę się z tobą zabrać? — spytał nagle Bill. — Mój samochód odholowali. Pękł mi korbówód i...

— Jasne — powiedziałam i wstałam sztywno. Bolały mnie wszystkie kości. Potem zwróciłam się do Barefoota: — Słuchałam twoich prelekcji przez radio i z początku uważałam, że jesteś nadęty, ale teraz nie jestem już tego pewna.

— Zanim odejdziesz — zwrócił się do mnie Barefoot — chciałbym, żebyś mi powiedziała, jak zdradziłaś swoich przyjaciół.

— Wcale ich nie zdradziła — wtrącił się Bill. — To wszystko jej wymysły.

Barefoot położył mi rękę na ramieniu i posadził mnie z powrotem na krześle.

— Pozwoliłam im umrzeć — powiedziałam. — Zwłaszcza Timowi.

— Tim nie mógł uniknąć śmierci — stwierdził Barefoot. — On pojechał do Izraela, żeby umrzeć. On tego chciał, szukał śmierci. Dlatego powiedziałem, że może znalazł to, czego szukał albo coś jeszcze lepszego.

— Tim nie szukał śmierci — zaprotestowałam oburzona. — Nigdy nie widziałam, żeby ktoś z taką odwagą stawiał czoło losowi.

— Śmierć i los to nie to samo — powiedział Barefoot. — On zginął, żeby uniknąć losu, ponieważ uznał, że los, jaki go czeka, jest gorszy od śmierci na pustyni nad Morzem Martwym. Dlatego jej szukał i znalazł, ale ja myślę, że on znalazł coś lepszego. Co o tym sądzisz, Bill? — zwrócił się do chłopca.

— Wolałbym nie mówić — odpowiedział Bill.

— Ale wiesz — powiedział do niego Barefoot.

— Co to za los, o którym mówiłeś? — spytałam Barefoota.

— Zagubienie w pozbawionych sensu słowach. Sprzedawca słów. Utrata więzi z życiem. Tim zabrnął w to daleko. Przeczytałem *Wszechwładną śmierć* parokrotnie. Nie ma tam nic, absolutnie nic. To tylko słowa. *Flatus vocis*, pusty dźwięk.

— Masz rację — powiedziałam po chwili. — Ja też to czytałam. — Ile w tym było prawdy, ile okropnej, smutnej prawdy.

— Tim zdawał sobie z tego sprawę. Powiedział mi to. Przyszedł do mnie na parę miesięcy przed swoją wyprawą do Izraela i powiedział mi. Chciał, żebym go zapoznał z sufizmem. Chciał zamienić wiedzę, całą wiedzę, jaką nagromadził w ciągu życia, na coś innego. Na piękno. Opowiedział mi o albumie, który mu sprzedałaś, a którego nie miał czasu przesłuchać. *Fidelio* Beethovena. Ciągłe był zbyt zajęty.

— Wiedziłeś więc, kim jestem — powiedziałam. — Zanim się przedstawiłam.

— Dlatego poprosiłem, żebyś do mnie podeszła — rzekł Barefoot. — Poznałem cię. Tim pokazywał mi zdjęcie twoje i Jeffa. Z początku nie byłem pewien. Jesteś teraz dużo szczuplejsza.

— Mam wyczerpującą pracę — powiedziałam.

Razem z Billem Lundborgiem wracaliśmy przez most Richardsona nad Wschodnią Zatokę. Słuchaliśmy radia, nie kończącego się konduktu piosenek Beatlesów.

— Wiem, że próbowałaś mnie odnaleźć — mówił Bill — ale nie układało mi się najlepiej. Ostatecznie zdiagnozowano mnie jako „hebefrenika”.

— Mam nadzieję, że ta muzyka nie działa na ciebie przygnębiająco — powiedziałam, żeby zmienić temat. — Mogę ją wyłączyć.

— Lubię Beatlesów — stwierdził Bill.

— Czy wiesz o śmierci Johna Lennona?

— Jasne. Wszyscy wiedzą. Więc prowadzisz teraz sklep muzyczny.

— Rzeczywiście. Mam pod sobą pięciu sprzedawców i nieograniczone prawo zakupu. Firma Capitol Records proponowała mi przeniesienie się w okolice Los Angeles, chyba do Burbank, i pracę tam dla nich. Osiągnęłam szczyt, jeżeli chodzi o detaliczną sprzedaż płyt. Prowadzenie sklepu to szczyt możliwości. Można jeszcze być jego właścicielem, ale na to nie mam pieniędzy.

— Czy wiesz, co znaczy „hebefrenik”?

— Tak. — Nawet znam pochodzenie tego słowa, pomyślałam. — Hebe była grecką boginią młodości — powiedziałam.

— To znaczy, że nigdy nie dorosłem — wyjaśnił Bill. — Hebefrenia charakteryzuje się głupotą.

— Chyba tak — powiedziałam.

— Kiedy się jest hebefrenikiem, wszystko wydaje się człowiekowi śmieszne. Śmierć Kirsten wydała mi się śmieszna.

To rzeczywiście jesteś hebefrenikiem, pomyślałam. Bo nie było w tym nic śmiesznego.

— A śmierć Tima? — spytałam.

— Niektóre rzeczy były w niej śmieszne. Ten mały samochodek, datsun. I te dwie butelki lemoniady. Tim pewnie miał na nogach buty takie jak ja teraz. — Uniósł stopę, pokazując mi swoje zamszowe mokasyny.

— Chyba tak.

— Ale w większości to nie było śmieszne. To, czego Tim szukał, nie było śmieszne. Barefoot się myli co do tego, czego Tim szukał. On nie szukał śmierci.

— Świadomie nie, ale może podświadomie.

— To bzdura — powiedział Bill. — Całe to gadanie o podświadomej motywacji. Argumentując w ten sposób, może udowodnić wszystko. Można człowiekowi przypisać dowolną motywację, bo nie można tego sprawdzić. Tim szukał tego grzyba. Niewątpliwie wybrał dziwne miejsce na zbieranie grzybów. Grzyby nie rosną na pustyni, tylko w miejscach chłodnych, wilgotnych i ocienionych.

— W grotach — powiedziałam. — Tam są groty.

— No dobrze, zresztą to i tak nie był grzyb. To też było tylko przypuszczenie. Na niczym nie oparte. Tim zapożyczył ten pomysł od Johna Allegra. Problem Tima polegał na tym, że on nigdy nie myślał samodzielnie. Brał pomysły innych ludzi i wierzył, że sam je wymyślił, podczas gdy w istocie kradł je innym.

— Ale te pomysły miały swoją wartość i Tim je syntetyzował. Tim łączył różne pomysły.

— Nie najlepsze.

— Skąd ty to możesz wiedzieć? — spytałam, spojrzawszy na Billa ze zdziwieniem.

— Wiem, że go kochałaś — powiedział Bill. — Nie musisz go przez cały czas bronić. Ja go nie atakuję.

— Wygląda, jakbyś go atakował.

— Ja też go kochałem. Wiele osób kochało biskupa Archera. Był wspaniałym człowiekiem, największym, jakiego w życiu spotkaliśmy. Ale był naiwny i ty to wiesz.

Nie odpowiedziałam. Prowadziłam i jednym uchem słuchałam radia. Grali akurat *Yesterday*.

— Natomiast Edgar miał rację co do ciebie. Nie powinnaś kończyć uniwersytetu. Za dużo się nauczyłaś.

— Jezu! „Za dużo się nauczyłam” — powiedziałam ze złością. — Oto *vox populi*. Niechęć do edukacji. Niedobrze mi się robi od słuchania takich pierdoł. Cieszę się z tego, co wiem.

— To cię rozłożyło.

— Pieprz się.

— Jesteś bardzo rozgoryczona i bardzo nieszczęśliwa. Jesteś bardzo dobrą osobą, która kochała Kirsten, Tima i Jeffa, i nie możesz przeboleć tego, co ich spotkało. A twoje wykształcenie nie pomaga ci w tej sytuacji.

— Nic tu nie może pomóc! — powiedziałam ze złością. — To byli dobrzy ludzie i wszyscy teraz nie żyją!

— „Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli”.

— Co to jest?

— Słowa Jezusa. Myślę, że to się czyta podczas mszy. Byłem kilka razy na mszy z Kirsten. W katedrze Miłosierdzia. Kiedyś, gdy Tim podawał kielich, a Kirsten klęczała przy barierce, Tim niepostrzeżenie wsunął jej na palec obrączkę. Nikt oprócz mnie tego nie zauważył. Była to symboliczna obrączka ślubna i Tim miał na sobie wszystkie liturgiczne szaty.

— Opowiedz mi o tym.
— Właśnie ci mówię. Czy wiedziałaś...
— Wiedziałam o obrzędzie. Kirsten mi opowiedziała. Pokazała mi ją.
— Uważali, że są duchowo zaślubieni. Na oczach i w oczach Boga. Chociaż nie w świetle prawa cywilnego. „Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli”. To odnosi się do Starego Testamentu. Jezus przynosi...
— O mój dobry Boże — powiedziałam. — Myślałam, że już tego nie będę wysłuchiwać. Nie chcę tego już nigdy słyszeć. Nic to nie pomogło wtedy i nie pomoże teraz. Barefoot mówił o bezużytecznych słowach — to są bezużyteczne słowa. Dlaczego Barefoot nazwał cię bodhisattwą? Jak to jest z tym twoim współczuciem i mądrością? Osiągnąłeś nirwanę i wróciłeś, żeby pomagać innym, czy tak?
— Mogłem osiągnąć nirwanę, ale zrezygnowałem z niej. Żeby wrócić.
— Przepraszam cię — powiedziałam ze znużeniem. — Nie bardzo rozumiem, co mówisz.
— Wróciłem na ten świat — powiedział Bill. — Z tamtego świata. Ze współczucia. Tego się nauczyłem tam, na pustyni. Nad Morzem Martwym. — Głos miał spokojny, cała jego twarz wyrażała głęboki spokój. — Oto, co tam znalazłem.
Spojrzałam na niego.
— Jestem Tim Archer — powiedział Bill. — Wróciłem z tamtej strony. Do tych, których kocham. — Uśmiechnął się wszechobejmującym tajemniczym uśmiechem.

15

— Czy powiedziałaś Edgarowi Barefootowi? — zapytałam po chwili milczenia.
— Tak.
— Komu jeszcze?
— Prawie nikomu.
— Kiedy to się stało? — spytałam. A potem powiedziałam: — Ty pierdolony wariacie. To się nigdy nie skończy. Stale coś nowego. Jedno po drugim wariują i umierają. Chcę tylko prowadzić mój sklep z płytami, zapalić trawkę, pokochać się od czasu do czasu i przeczytać parę książek. Nigdy nie prosiłam o coś takiego. — Opony mojego wozu zapisały, kiedy gwałtownie wyprzedziłam wolniejszy pojazd. Prawie dojechaliśmy do końca mostu Richardsona.
— Angel — powiedział Bill i położył mi dłoń na ramieniu. Łagodnie.
— Zabierz swoją cholerną rękę — zażądałam.
— Wróciłem — powiedział, zabierając rękę.

— Znów ci się pogorszyło i powinieneś wracać do szpitala, ty hebefreniczny półgłówku. Czy nie widzisz, co się ze mną robi, kiedy muszę tego wysłuchiwać? Czy wiesz, co sobie myślałam o tobie? Myślałam: oto w pewnym sensie jedyny normalny człowiek w naszym gronie. Ma etykietkę wariata, ale jest normalny. My mamy etykietkę normalnych, ale jesteśmy wariatami. A teraz masz. Jesteś ostatni, po którym bym się tego spodziewała, ale chyba... — Urwałam. — Cholera. To nie podlega żadnej logice, ten proces wariowania. Zawsze sobie mówiłam: Bill Lundborg ma kontakt z rzeczywistością, myśli o samochodach. Mógłbyś wytłumaczyć Timowi, dlaczego nie należy wyjeżdżać na pustynię datsunem z dwiema butelkami lemoniady i mapką ze stacji benzynowej. A teraz jesteś taki sam wariat jak oni. Większy. — Pogłośniłam radio, samochód napełnił się głosami Beatlesów. Bill natychmiast wyłączył radio.

— Proszę cię, zwolnij — powiedział.

— A ja cię proszę, żebyś przy rogatece wysiadł i pojechał dalej z kimś innym. I możesz powiedzieć Barefootowi, żeby sobie wsadził swoje...

— Nie miej pretensji do niego — powiedział Bill ostro. — To ja mu powiedziałem, nie on mnie. Zwolnij! — Wyciągnął rękę do kluczyków.

— Dobrze — zgodziłam się i wcisnęłam hamulec.

— Przewrócisz to pudełko sardynek i zabijesz nas oboje. Nawet nie zapięłaś pasa.

— I to akurat dzisiaj. Muszę tego wysłuchiwać w dniu, kiedy zabili Johna Lennona.

— Nie znalazłem grzyba *anokhi* — powiedział Bill.

Nie odezwałam się. Po prostu jechałam. Najlepiej jak mogłam.

— Spadłem z urwiska — powiedział Bill.

— Wiem. O tym też czytałam w „Chronicie”. Czy to bolało?

— Wtedy byłem już nieprzytomny od słońca i upału.

— Cóż, widocznie nie jesteś zbyt inteligentną osobą, skoro tak głupio zginałeś. — A potem, nagle, poczułam przyływ współczucia. Poczułam wstyd, przemożny wstyd za to, co mu robię. — Wybacz, Bill — powiedziałam.

— Nie ma sprawy — rzucił po prostu.

Zastanowiłam się, jak to ująć i w końcu powiedziałam:

— Kiedy... Jak mam do ciebie mówić? Bill czy Tim? Jesteście tu teraz obaj?

— Jestem nami oboma. Z dwu naszych osobowości powstała jedna. Oba imiona są dobre. Pewnie powinnaś mówić do mnie Bill, żeby ludzie się nie dowiedzieli.

— Dlaczego nie chcesz, żeby się dowiedzieli? Zdawałoby się, że coś tak ważnego, tak niezwykłego, powinno zostać ogłoszone.

— Zamkną mnie z powrotem w szpitalu.

— Wobec tego będę do ciebie mówić Bill.

— Tim przyszedł do mnie w jakiś miesiąc po swojej śmierci. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje, nie mogłem sobie tego wytłumaczyć. Światła i kolory, a potem czyjaś

obecność w moim umyśle. Inna osobowość znacznie inteligentniejsza ode mnie, myśląca o rzeczach, o których ja nigdy nie myślałem. On zna grekę, łacinę, hebrajski i całą teologię. Bardzo wyraźnie myślał o tobie. Chciał cię zabrać do Izraela.

Spojrzałam na niego i gwałtownie poczułam chłód.

— Tamtego wieczoru w chińskiej restauracji próbował cię na to namówić. Ale ty powiedziałaś, że już masz całe życie zaplanowane. Że nie możesz wyjechać z Berkeley.

Zdjęłam nogę z pedału, pozwoliłam, żeby samochód zwolnił. Jechał coraz wolniej, aż wreszcie stanął.

— Zatrzymywanie się na moście jest niezgodne z przepisami — powiedział Bill. — Chyba, że nawali ci silnik albo skończy się benzyna, czy coś takiego. Jedź dalej.

Tim mu powiedział, pomyślałam. Mechanicznie włączyłam jedynkę i powtórnie uruchomiłam silnik.

— Tim się w tobie podkochał.

— I co z tego?

— Między innymi dlatego chciał, żebyś z nim pojechała do Izraela.

— Mówisz o nim w trzeciej osobie. To znaczy, że nie utożsamiasz się z Timem. Jesteś Billem Lundborgiem, który mówi o Timie.

— Jestem Billem Lundborgiem — zgodził się Bill — ale jestem też Timem Archerem.

— Tim nie powiedziałby mi o tym, że był mną seksualnie zainteresowany.

— Wiem — powiedział Bill — ale ja ci to mówię.

— Co jedliśmy na kolację tamtego wieczoru w chińskiej restauracji?

— Nie mam pojęcia.

— Gdzie jest ta restauracja?

— W Berkeley.

— Gdzie w Berkeley?

— Nie pamiętam.

— Powiedz mi, co znaczy *hysteron proteron*.

— Skąd mam wiedzieć? To łacina. Tim zna łacinę, ja nie.

— To jest po grecku.

— Ja nie znam greki. Odbieram myśli Tima i on co jakiś czas myśli coś po grecku, ale ja nie wiem, co to znaczy.

— Co się stanie, jeżeli ci uwierzę? — spytałam. — Co wtedy?

— Wtedy — powiedział Bill — będziesz zadowolona, że twój stary przyjaciel nie umarł.

— I o to w tym wszystkim chodzi?

— Tak. — Kiwnął głową.

— Mnie by się wydawało — zaczęłam ostrożnie — że chodzi o coś ważniejszego. Byłby to cud o nieprawdopodobnym znaczeniu dla całego świata. Jest to coś, czym powinni zająć się uczeni. To dowodzi istnienia nieśmiertelnej duszy, istnienia zaświatów. Dowodzi, że wszystko, w co wierzyli Tim i Kirsten, jest prawdą, że ich książka *Wszechwładna śmierci* jest prawdą. Nie sądzisz?

— Tak, chyba tak. Tak uważa Tim, on dużo o tym myśli. On chce, żebym napisała książkę, ale ja nie umiem, nie mam talentu do pisania.

— Mógłbyś wystąpić w roli sekretarza Tima. Tak, jak to robiła twoja matka. Tim mógłby dyktować, a ty byś tylko zapisywała.

— On trajkuje jak karabin maszynowy. Próbowałam to zapisywać... ale jego myślenie jest jakieś popierdolone. Za przeproszeniem. Jego myśli rozbiegają się na wszystkie strony. I nie znam połowy słów. Naprawdę wiele z tych myśli to nie są wcale słowa, tylko wrażenia.

— Czy słyszysz go teraz?

— Nie, teraz nie. To się zdarza, kiedy jestem sam i nikt inny do mnie nie mówi. Wtedy się do tego jakby dostrajam.

— *Hysteron proteron* — mruknęłam. — Kiedy rzecz, która ma być udowodniona zawarta jest w założeniu. I całe rozumowanie na darmo, Bill. Jedno muszę ci przyznać, zapędziłeś mnie w kozi róg, naprawdę. Czy Tim pamięta, jak cofając się, rozwalił pompę benzynową? Zresztą nieważne, do diabła z pompą.

— To jest obecność umysłu — powiedział Bill. — Widzisz, Tim gdzieś tu był, bo przypomniało mi się słowo „obecność”. On często używa tego słowa. Obecność, jak ją nazywa, była tam na pustyni.

— Paruzja.

— Właśnie. — Bill kiwnął głową potwierdzająco.

— To by oznaczało *anokhi*.

— Tak? Czy to tego szukał?

— Najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Co na to wszystko Barefoot?

— Wtedy właśnie mi powiedział, że jestem bodhisattwą. Że wróciłem. To znaczy, że Tim wrócił, z powodu współczucia dla innych. Dla tych, których kocha. Tak jak ciebie.

— Co Barefoot ma zamiar począć z tą wiadomością?

— Nic.

— Nic — powtórzyłam, kiwając głową.

— Nie ma sposobu, żeby to udowodnić — powiedział Bill. — Umysłem sceptycznym. Edgar zwrócił mi na to uwagę.

— Dlaczego nie miałbyś tego udowodnić? To nie powinno być trudne. Masz dostęp do wszystkiego, co Tim wiedział. Jak powiedziałaś: cała teologia, szczegóły życia osobistego. Fakty. Powinna to być najłatwiejsza na świecie rzecz do udowodnienia.

— A czy mogę to udowodnić tobie? Nie mogę nawet udowodnić tego przed tobą.. To jest jak wiara w Boga. Możesz znać Boga, wiedzieć, że On istnieje, możesz doświadczać Jego obecności, a jednak nie potrafisz przekonać kogoś innego, że to przeżyłaś.

— Wierzysz teraz w Boga?

— Jasne. — Bill kiwnął głową.

— Pewnie wierzysz teraz w dużo rzeczy.

— Z powodu tego, że Tim jest we mnie, dużo rzeczy wiem, to nie tylko wiara, to jest — zrobił bezradny gest — jakby się połknęło komputer albo całą encyklopedię, całą bibliotekę. Fakty, pomysły, pojawiają się i znikają albo zwyczajnie kotłują mi się w głowie. Wszystko dzieje się zbyt szybko i w tym cały problem. Ja tego nie rozumiem, nie pamiętam, nie potrafię tego zapisać i wytłumaczyć innym ludziom. To tak, jakby w głowie gadało radio, dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerwy. Pod wieloma względami to jest dolegliwość. Ale interesująca.

Zabawiaj się swoimi myślami, powiedziała sama do siebie. Harry Stack Sullivan mówi, że to właśnie robią schizofrenicy: bez końca zabawiają się swoimi myślami i zapominają o świecie.

Cóż można powiedzieć, kiedy ktoś odsłoni przed człowiekiem coś takiego, co Bill Lundborg odsłonił przede mną? Zakładając, że ktoś już kiedyś coś takiego odsłonił. Rzecz jasna przypominało to opowieści Tima i Kirsten po ich powrocie z Anglii, kiedy umarł Jeff. Ale tamto było niczym w porównaniu z tym. To, pomyślałam, stanowi zwieńczenie wszystkiego, sam pomnik, a tamto było tylko znakiem wskazującym drogę do pomnika.

Szaleństwo, podobnie jak małe rybki, występuje stadnie, w dużej liczbie przypadków. Nie jest zjawiskiem izolowanym i ograniczonym miejscowo; rozprzestrzenia się na lądzie i w morzu.

Tak, pomyślałam. Jest tak, jakbyśmy znajdowali się pod wodą. Nie we śnie, jak mówi Barefoot, ale w akwarium, gdzie jesteśmy obserwowani ze względu na nasze dziwaczne zachowania i nasze jeszcze bardziej dziwaczne wierzenia. Ja jestem uzależniona od metafor, Bill Lundborg jest uzależniony od szaleństwa, którego nigdy mu nie dość: ma na nie bezgraniczny apetyt i gotów jest zdobywać je wszelkimi sposobami. Właśnie kiedy zaczynało się wydawać, że szaleństwo odeszło z tego świata. Najpierw śmierć Johna Lennona, a teraz to. I dla mnie, tego samego dnia.

Nie mogłam powiedzieć, że w tym wszystkim Bill jest wiarygodny. Bo Bill nie budzi zaufania, to nie jest sprawa zaufania. Chyba nawet Edgar Barefoot zdawał sobie z tego sprawę, choć nie wiem, jak sufi nazywa taką sytuację, kiedy ktoś jest chory i potrzebuje pomocy, ale jest przy tym wzruszająco sympatyczny, szczerzy i niezdolny do żadnego zła. Jego szaleństwo wynikało z cierpienia po utracie matki i kogoś, kto był mu ojcem

w najprawdziwszym sensie tego słowa. Czułam to, czuję to i zawsze będę to czuła, póki będę żyła. Ale rozwiązanie Billa było nie dla mnie.

Nie bardziej niż moje — prowadzenie sklepu z płytami — mogło być rozwiązaniem dla niego. Każde z nas musi znaleźć swoje własne rozwiązanie, a w szczególności każde z nas musi rozwiązać ten problem, jaki stawia przed nami śmierć; ale nie tylko śmierć, bo również szaleństwo, szaleństwo prowadzące w ostatecznym rachunku do śmierci, jako do swojego logicznego celu.

Kiedy moja początkowa złość na chorobę Billa ustąpiła — bo ustąpiła — zaczęłam dostrzegać jej śmieszność.

Użyteczność Billa Lundborga nie tylko dla niego samego, ale, jak ja ją widziałam, dla nas wszystkich, polegała na jego zakorzenieniu w konkretności. I to właśnie choroba mu odebrała. Fakt, że pokazał się na seminarium Edgara Barefoota, ujawnił przemianę w Billu; chłopak, którego znałam, którego poprzednio znałam, nigdy nie postawiłby nogi w takim towarzystwie. Bill poszedł w ślady nas wszystkich, poszedł drogą naszych intelektów w nonsens i głupotę, żeby tam usychać bez cienia jakiegokolwiek nadziei. Z tym, rzecz jasna, że Bill potrafił teraz radzić sobie emocjonalnie z tym zestawem śmierci, które na nas spadły. Czy moje rozwiązanie było lepsze? Pracowałam, czytałam, słuchałam muzyki: kupowałam muzykę w postaci płyt. Żyłam swoją pracą i myślałam o przeniesieniu się do działu reklamy Capitol Records w południowej Kalifornii. Tam była moja przyszłość, tam były te materialne przedmioty, jakimi stały się dla mnie płyty, nie coś, co daje radość, ale coś, co się najpierw kupuje, a potem sprzedaje.

To, że biskup wrócił z zaświatów i zamieszkał w mózgu czy umyśle Billa Lundborga, było niemożliwością ze względów oczywistych. Takie rzeczy się wie instynktownie, takich rzeczy się nie bierze pod uwagę, to się traktuje jako fakt niepodważalny, to się nie zdarza. Mogłabym przepytawać Billa bez końca, starając się ustalić jego znajomość szczegółów wiadomych tylko Timowi i mnie, ale to by nic nie dało. Tak jak z kolecją, którą z Timem jedliśmy w chińskiej restauracji przy University Avenue w Berkeley, wszystkie dane stają się podejrzanym, bo jest wiele sposobów, w rezultacie których dane mogą się pojawić w ludzkim umyśle. Sposobów łatwiejszych do przyjęcia i wyjaśnienia niż założenie, że pewien człowiek zginął w Izraelu, a jego psyche przeleciała przez pół świata aż ze wszystkich ludzi w Stanach Zjednoczonych wybrała sobie Billa Lundborga, po czym wskoczyła w niego, w ten wyczekujący mózg, i zamieszkała w nim, tryskając pomysłami, ideami, wspomnieniami i niedowarzonymi hipotezami. Innymi słowy, jako biskup, którego znaleźliśmy, biskup we własnej osobie jako rodzaj plazmy. To się nie mieści w dziedzinie rzeczywistości, to pochodzi skądinąd. To jest wytwór choroby psychicznej młodego chłopaka, który rozpacział po samobójstwie matki i po nagłej śmierci człowieka, który był dla niego jak ojciec. Rozpacział i próbował dojść z tym do ładu, aż pewnego dnia w umyśle Billa zjawił się nie biskup Timothy Archer, ale idea biskupa Archera,

pomysł, że Timothy Archer przebywa w nim jako duch. Istnieje różnica między myślą o czymś, a tym czymś.

Mimo to, kiedy mój początkowy gniew zelżał, poczułam do Billa sympatię, bo rozumiałam, dlaczego poszedł tą drogą. Nie wybrał jej przez perwersję, nie było to, że tak powiem, szaleństwo z wyboru, ale raczej szaleństwo, które na niego spadło, szaleństwo narzucone mu siłą. To się po prostu stało.

Bill Lundborg, pierwszy z nas, który oszalał, był teraz ostatnim szaleńcem z naszego grona. Jedyne autentyczne pytanie można sformułować następująco: czy można coś na to poradzić? Co rodzi głębsze pytanie: czy należy coś z tym zrobić?

Zastanawiałam się nad tym przez kilka następnych tygodni. Bill, jak mi powiedział, nie miał bliższych przyjaciół. Mieszkał samotnie w wynajętym pokoju we Wschodnim Oakland, a stołował się w meksykańskiej kawiarni. Może, myślałam sobie, jestem to winna Jeffowi, Kirsten i Timowi — zwłaszcza jemu — żeby pomóc Billowi stanąć na nogi. W ten sposób ktoś by się uratował. Oprócz, rzecz jasna, mnie.

Bo niewątpliwie ja się uratowałam. Choć, jak sobie od pewnego czasu uświadomiłam, wyszłam z tego jako maszyna; ale jednak przeżyłam. Przynajmniej w moim mózgu nie zamieszkały obce inteligencje, które myślą po grecku, hebrajsku i po łacinie oraz używają niezrozumiałych słów. Tak czy owak, lubiłam Billa, nie będzie dla mnie ciężarem spotkanie się z nim, spędzenie jakiegoś czasu w jego towarzystwie. Razem mogliśmy wspominać ludzi, których kochaliśmy, bo to były te same osoby, i nasza połączona pamięć mogłaby wydać wielki plon w postaci wielu drobnych szczegółów, tych drobiazgów, które nadają wspomnieniom wiarygodność... co jest kwiecistym sposobem stwierdzenia, że moje spotkanie z Billem Lundborgiem pozwoliłoby doświadczyć bliskości Tima, Kirsten i Jeffa, ponieważ Bill, podobnie jak ja, znał ich i rozumiałby, o czym mówię. W każdym razie oboje uczęszczaliśmy na seminarium Edgara Barefoota i na szczęście, czy na nieszczęście, musieliśmy się tam spotykać.

Mój szacunek dla Barefoota wzrósł ze względu, oczywiście, na jego zainteresowanie moją osobą. Odebrałam to bardzo dobrze. Potrzebowałam tego i Barefoot to czuł.

Stwierdzenie Billa, że biskup interesował się mną seksualnie, odczytałam jako pośredni wyraz takiego zainteresowania ze strony Billa. Rozważyłam to i doszłam do wniosku, że Bill jest dla mnie za młody. Zresztą po co wiązać się z kimś zdiagnozowanym jako hebefreniczny schizofrenik? Hampton, który wykazywał ślady, raczej więcej niż ślady, paranoi i manii niższości, stanowił wystarczający kłopot i niełatwo przyszło mi się go pozbyć. Prawdę mówiąc, niełatwo też było wykazać, że się go pozbyłam. Hampton nadal do mnie wydzwaniał, skarżąc się agresywnie, że kiedy go wyrzucałam z domu, zatrzymałam pewne cenne płyty, książki i reprodukcje, które w istocie należały do niego.

To, co mnie powstrzymywało od związania się z Billem, to było moje przekonanie o żarłoczności szaleństwa. Szaleństwo może pożreć swojego nosiciela, porzucić go i rozglądać się za następną ofiarą. Jeżeli byłam rozklekotaną maszyną, mogłam się czuć zagrożona, bo wcale nie byłam tak psychologicznie nienaruszalna. Dość już ludzi zwariowało i umarło, dlaczego miałabym dołączać do ich grona?

A co może najważniejsze, widziałam, jaka przyszłość czeka Billa. Bill nie miał przyszłości. Osoba z hebefrenią była wyłączona z gry, procesu wzrostu i czasu. Ktoś taki po prostu przeżuwa swoje zwariowane myśli bez końca, ciesząc się nimi, nie bacząc na to, że jak każda przekazywana informacja podlegają degeneracji, stając się w końcu szumem. A sygnał, niosący treść intelektualną, zanika. Bill, który kiedyś chciał zostać programistą komputerowym, powinien to wiedzieć, powinien znać teorię informacji Shannona. To nie jest coś, z czym człowiek chciałby się wiązać.

Zabrawszy mojego braciszka Harveya, pierwszego wolnego dnia pojechałam po Billa i razem wybraliśmy się do parku nad jeziorem Anza, gdzie są kluby i ruszty do grilla. Tam smażyliśmy hamburgery, rzucaliśmy frisbee i mieliśmy świetną zabawę. Przywieźliśmy ze sobą jedno z tych japońskich cudeniek, dwukanałowy, stereofoniczny radiomagnetofon, na którym słuchaliśmy zespołu Queen; piliśmy piwo, prócz Harveya, biegaliśmy, a kiedy uznaliśmy, że nikt nie widzi ani mu nie zależy, Bill i ja podzieliliśmy się skrętem. Podczas gdy my byliśmy tym zajęci, Harvey próbował wszystkich przycisków naszego superradia, a potem skupił się na łapaniu Radia Moskwa na falach krótkich.

— Możesz za to pójść do więzienia — powiedział mu Bill. — To jest słuchanie wroga.

— Gówno — odpowiedział Harvey.

— Ciekawe, co by powiedzieli Tim i Kirsten, gdyby nas mogli teraz widzieć — zwróciłam się do Billa.

— Mogę ci powiedzieć, co o tym sądzi Tim — zaoferował się Bill.

— Co takiego? — spytałam, rozluźniona po marihuanie.

— On mówi... on myśli, że jest tu bardzo przyjemnie i że wreszcie znalazł spokój.

— To dobrze, bo nigdy nie udało mi się go namówić do zapalenia trawki.

— Palili — powiedział Bill. — Razem z Kirsten, kiedy nas nie było. On tego nie lubił, ale teraz mu się podoba.

— Bo to jest bardzo dobra trawka, a oni pewnie palili miejscowe świństwo. Nie wiedzieli co dobre. — Zastanowiłam się nad tym, co powiedział Bill. — Czy on naprawdę odlatywał? To prawda?

— Tak — potwierdził Bill. — Myśli o tym teraz, przypomina sobie.

Popatrzyłam na niego.

— Właściwie to ty masz szczęście. Że znalazłeś swoje rozwiązanie. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby go mieć w sobie. To znaczy w mózgu. — Zaśmiałam się, to był ten rodzaj trawki. — Nie byłabym wtedy tak samotna. — I dodałam: — Dlaczego on nie przyszedł do mnie, tylko do ciebie? Ja go znałam lepiej.

— Bo to by cię zniszczyło — powiedział Bill po chwili namysłu. — Widzisz, ja jestem przyzwyczajony do głosów, które odzywają się w mojej głowie i do myśli, które nie są moje. Ja mogę to znieść.

— To Tim jest bodhisattwą, a nie ty. To on wrócił ze współczucia — powiedziałam i przestraszyłam się. Mój Boże, czyja w to wierzę? Kiedy człowiek jest na haju po dobrej trawce, gotów jest uwierzyć we wszystko. Dlatego to tyle teraz kosztuje.

— To prawda — powiedział Bill. — Ja odbieram to jego współczucie. Tim poszukiwał mądrości, Świętej Bożej Mądrości, którą nazywał Hagia Sophia i utożsamiał z *anokhi*, czystą świadomością Boga. A potem, kiedy się tam znalazł i Obecność go nawiedziła, zrozumiał, że chodzi nie o mądrość, ale o miłość... mądrości miał już pod dostatkiem, ale na nic mu się to nie przydało.

— Tak — potwierdziłam. — Wspominał mi o tej Hagia Sophia.

— Często tak myśli po łacinie.

— To jest po grecku.

— Wszystko jedno. Tim myślał, że dzięki absolutnej mądrości Chrystusa będzie mógł przeczytać Księgę Przątek i rozwikłać swoją przyszłość. Tak, żeby móc znaleźć sposób na uniknięcie swojego losu. Dlatego pojechał do Izraela.

— Wiem.

— Tylko Chrystus może czytać Księgę Przątek. Są w niej zapisane losy wszystkich ludzi. Żaden człowiek nigdy jej nie czytał.

— Gdzie jest ta księga? — spytałam.

— Wszędzie wokół nas. Tak mi się wydaje. Poczekaj chwilę, Tim coś myśli. Bardzo wyraźnie. — Przez jakiś czas milczał w skupieniu. — Tim myśli. Ostatnie *canto*. *Canto* trzydzieste trzecie z *Raju*. On myśli „Bóg jest księgą świata” i ty to czytałaś. Czytałaś to tej nocy, kiedy bolał cię ząb. Czy tak? — spytał mnie Bill.

— Zgadza się — potwierdziłam. — Cała ostatnia część *Komedii* zrobiła na mnie wielkie wrażenie.

— Edgar mówi, że *Boska Komedia* oparta jest na źródłach sufistycznych.

— Może i tak — powiedziałam, zastanawiając się nad słowami Billa, nad tymi stwierdzeniami na temat *Komedii* Dantego. — To dziwne — powiedziałam. — Rzeczy, które pamiętasz i dlaczego je pamiętasz. Bo ten mój bolący ząb...

— Tim mówi, że to Chrystus spowodował ten ból. Po to, żeby końcowa część *Boskiej Komedii* wywarła na tobie nieprzemijające wrażenie. „Jeden prosty płomień”. O cholera, on znów myśli w obcym języku.

— Powiedz to na głos — zażądałam. — Tak jak on myśli.
Bill zaczął z wahaniem:

*Nel mezzo del cammin di nostra vita
Mi ritrovai per una selva oscura,
Che la diritta via era smarrita.*

Uśmiechnęłam się.
— Tak się zaczyna *Komedia*.
— Jest więcej — powiedział Bill.

...Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate!

— „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić” — powiedziałam.
— Tim chce, żebym ci powiedział jeszcze jedną rzecz. Ale trudno mi jest to uchwycić. O, teraz mam, pomyślał to dla mnie bardzo wyraźne:

La sua voluntate è nostra pace...

— Tego nie rozpoznaję.
— Tim mówi, że to jest zasadnicze przesłanie *Boskiej Komедii*. To znaczy, „Jego wola jest naszym pokojem”. Domyślałam się, że chodzi o Boga.
— Chyba tak.
— Widocznie dowiedział się tego na tamtym świecie — powiedział Bill. — Na pewno nie wiedział tego tutaj.
Podszedł do nas Harvey.
— Znudziły mi się te taśmy z Queen — powiedział. — Co jeszcze zabraliśmy?
— Czy udało ci się złapać Moskwę? — spytałam.
— Tak, ale Głos Ameryki ją zagłusza. Rosjanie przełączyli się na inną częstotliwość, pewnie trzydzieści metrów, ale znudziło mi się szukanie. Głos zawsze ich zagłusza.
— Zaraz jedziemy do domu — powiedziałam, przekazując końcówkę skrepta Billowi.

16

Powrót Billa do szpitala okazał się niezbędny prędzej, niż przypuszczałam. Zgłosił się dobrowolnie, akceptując to jako konieczność życiową, stałą konieczność w jego przypadku.

Kiedy Bill został przyjęty, spotkałam się z jego psychiatrą, tęgim starszawym mężczyzną z wąsami i w okularach bez oprawek, z pogodnym uosobieniem autorytetu, który od razu na wstępie wyliczył mi moje błędy, zaczynając od najważniejszego.

— Nie powinna pani zachęcać go do używania narkotyków — powiedział doktor Greeby, mając przed sobą na biurku teczkę Billa.

— Nazywa pan marihuanę narkotykiem? — spytałam.

— Dla kogoś z tak delikatną równowagą psychiczną każdy środek upajający jest groźny. On wchodzi w trans i nigdy już nie wraca. Aplikujemy mu teraz haldol, wygląda, że dobrze znosi skutki uboczne.

— Gdybym wiedziała, że mu szkodzi, nigdy bym tego nie robiła — powiedziałam. Spojrzał na mnie uważnie.

— Uczymy się na błędach — dodałam.

— Panno Archer...

— Pani Archer — poprawiłam.

— Rokowania dla Billa nie są dobre, pani Archer. Myślę, że powinna pani o tym wiedzieć, bo zdaje się, że jest pani najbliższą mu osobą. — Doktor Greeby zmarszczył czoło. — Archer. Czy jest pani krewną zmarłego biskupa episkopalnego Timothy'ego Archera?

— To mój teść.

— Bill uważa, że nim jest.

— Niech mnie licho — powiedziałam.

— Billowi wydaje się, że na skutek mistycznego przeżycia został pani zmarłym teściem. Nie chodzi o to, że widzi i słyszy biskupa Archera, on jest biskupem Archerem. Rozumiem, że Bill znał biskupa Archera osobiście.

— Turlali razem opony — powiedziałam.

— Bardzo pani dowcipna.

Na to nic nie odpowiedziałam.

— Pomogła pani umieścić Billa na powrót w szpitalu.

— Przeżyliśmy razem trochę dobrych chwil. Przeżyliśmy też trochę bardzo ciężkich chwil z powodu śmierci naszych bliskich. Myślę, że te śmierci miały większy wpływ na pogorszenie się stanu Billa, niż palenie trawki w parku.

— Proszę go już więcej nic odwiedzać — powiedział doktor Greeby.

— Jak to? — spytałam przestraszona i zaskoczona. Poczułam, jak ogarnia mnie fala paniki i nagły przypływ bólu. — Chwileczkę. To jest mój przyjaciel.

— Wykazuje pani generalnie pogardliwy stosunek do mnie i do świata we wszystkich jego aspektach. Jest pani osobą niewątpliwie znakomicie wykształconą, produktem stanowego systemu uniwersyteckiego. Powiedziałbym, że ukończyła pani Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, prawdopodobnie Wydział Anglistyki, i wydaje się pani, że zja-

dła pani wszystkie rozumy. Wyrządza pani wielką krzywdę Billowi, który nie jest człowiekiem światowym i wyrafinowanym. Wyrządza pani wielką krzywdę również sobie, ale to już nie jest moja sprawa. Jest pani zimną, agresywną osobą, która...

— Ale to byli moi przyjaciele.

— Niech pani sobie znajdzie kogoś z Berkeley — powiedział doktor. — I niech się pani trzyma z daleka od Billa. Jako synowa biskupa Archera wzmacnia pani jego urojenie. Prawdopodobnie jego urojenie jest pani introjektem, przeniesionym pociągami seksualnym, działającym poza jego świadomą kontrolą.

— A z pana leje się pseudouczony bełkot — powiedziałam.

— Wykonując swój zawód, spotkałem dziesiątki takich jak pani. Ani mnie pani ziębi, ani grzeje, Berkeley roi się od takich kobiet jak pani.

— Ja się poprawię — powiedziałam z sercem ściśniętym lękiem.

— Śmiem wątpić — powiedział doktor i zamknął teczkę Billa.

Kiedy wyszłam z jego gabinetu, właściwie wyrzucona, błąkałam się po szpitalu zagubiona, przestraszona i oszołomiona. Także zła, zła głównie na siebie za to, że pyskowałam doktorowi. Pyskowałam, bo byłam przestraszona, ale co się stało, to się nie odstanie. Cholera, pomyślałam, właśnie straciłam ostatnie z nich.

Wracam teraz do sklepu, pomyślałam. Przejrzę zamówienia, żeby zobaczyć, co nadeszło, a co nie. Przy kasie będzie dziesięcioosobowa kolejka, a telefony będą dzwonić. Album Fleetwood Mac będzie się sprzedawać, a album Helen Reddy nie. Nic się nie zmieni.

Ja mogę się jeszcze zmienić. Tłusta dupa nie miał racji, nie jest jeszcze za późno.

Och Tim, pomyślałam. Czemu nie pojechałam z tobą do Izraela?

Kiedy po wyjściu ze szpitala szłam na parking (widziałam swoją małą czerwoną hondę civic z daleka), zobaczyłam gromadkę pacjentów, podążających za pielęgniarzem: wysiedli z żółtego autobusu i wracali skądś do szpitala. Z rękami w kieszeniach płaszcza podeszłam do nich, wypatrując Billa.

Nie dostrzegłam go wśród pacjentów i poszłam dalej, mijając kilka ławek i fontannę. Po drugiej stronie budynku rosła kępa cedrów i siedziało tam w różnych miejscach na trawie kilka osób, niewątpliwie tych pacjentów, których stan pozwalał przebywać im poza ścisłą kontrolą.

Był wśród nich Bill Lundborg, który w swoich za luźnych spodniach i koszuli siedział pod drzewem, wpatrując się w coś, co trzymał w ręku.

Zbliżyłam się do niego powoli. Nie podniósł głowy, póki nie znalazłam się tuż obok, a wtedy nagle spojrzął na mnie.

— Cześć, Bill — powiedziałam.

— Angel, spójrz, co znalazłem.

Uklękałam, żeby zobaczyć. Bill znalazł kępkę rosnących u podstawy drzewa grzybów, białych z różowymi — co stwierdziłam, zerwawszy jeden — blaszkami. Niegroźne. Grzyby z różowymi i brązowymi blaszkami nie są z reguły trujące. Należy się wystrzeżać tych z białymi blaszkami, bo zazwyczaj są to muchomory.

— Co tam masz? — spytałam.

— To, czego szukałem w Izraelu, rośnie tutaj — powiedział Bill ze zdumieniem. — To po co tak daleko pojechałem. To jest grzyb *Vita verna*, o którym wspomina Pliniusz Starszy w swojej *Historia naturalis*, zapomniałem, w której księdze. — Roześmiał się w ten swój dobroduszny sposób, który tak dobrze znałem. — Chyba w *Księdze Ósmej*. To dokładnie odpowiada jego opisowi.

— Dla mnie to wygląda na zwykły grzyb jadalny, jakich wszędzie pełno o tej porze roku.

— To jest *anokhi* — powiedział Bill.

— Bill... — zaczęłam.

— Tim — poprawił automatycznie.

— Bill, ja odjeżdżam. Doktor Greeby mówi, że popsulałam twój umysł. Bardzo mi przykro. — Wstałam.

— Nic podobnego — powiedział Bill. — Ale żałuję, że nie pojechałaś ze mną do Izraela. Popełniłaś wielki błąd, Angel, a ja ci mówiłem tamtego wieczoru w chińskiej restauracji. Teraz jesteś już na zawsze zamknięta w swoim stanie umysłu.

— I nie ma możliwości, żebym się zmieniła?

Bill posłał mi swój niewinny uśmiech.

— Mnie to już jest obojętne. Ja mam to, czego chciałem. Mam to. — Z ostrożnością podał mi grzyb, zwykły, nieszkodliwy grzyb. — To jest moje ciało — powiedział — i to jest moja krew. Jedzcie i pijcie, a będziecie żyć na wieki.

Pochyliłam się i powiedziałam mu na ucho, tak żeby tylko on słyszał:

— Będę walczyć o to, żebyś stanął jeszcze na nogi, Billu Lundborg. Żebyś reperował i lakierował karoserie, i robił inne realne rzeczy. Zobaczę cię jeszcze w dawnej formie, nie zrezygnuję. Staniesz jeszcze na ziemi, słyszysz mnie? Rozumiesz?

Bill, nie patrząc na mnie, mamrotał:

— Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który go uprawia. Każdą latorośl, która we Mnie nie przynosi owocu, odcina, a każdą...

— Nie — powiedziałam. — Ty jesteś człowiekiem, który lakieruje samochody i naprawia skrzynie biegów. Przyjdzie czas, że wyjdiesz z tego szpitala, a ja będę na ciebie czekać. — Pocałowałam go w czoło, a on automatycznie, bez żadnej myśli, wytarł je ręką tak, jak to robią dzieci.

— Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem — mówił Bill.

— Do zobaczenia, Bill — powiedziałam i odeszłam.

Kiedy następnym razem uczestniczyłam w seminarium Edgara Barefoota, Barefoot zauważył nieobecność Billa i po wykładzie spytał mnie o niego.

— Z powrotem w środku, wygląda na zewnątrz — powiedziałam.

— Chodź ze mną. — Barefoot zaprowadził mnie z salki wykładowej do swojego pokoju mieszkalnego. Nigdy tam nie byłam i ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam, że woli tradycyjny dąb od stylu orientального. Puścił płytę z muzyką na *koto*, którą rozpoznawałam jako rzadkie nagranie Kimio Eto. (To moja praca). Płyta World-Pacific z końca lat pięćdziesiątych ma swoją cenę wśród kolekcjonerów. Barefoot zagrał *Midori No Asa*, kompozycję samego Eto. Bardzo to piękne, ale w brzmieniu mało japońskie.

— Dam piętnaście dolarów za tę płytę — powiedziałam.

— Nagram ci ją na kasetę.

— Chcę płytę. Klienci czasem o nią pytają. — I nie mów mi, że piękno jest w muzyce, pomyślałam sobie. Dla zbieraczy wartość ma sama płyta i to nie jest sprawa do dyskusji, bo płyty to moja specjalność.

— Kawa? — spytał Barefoot.

Dostałam filiżankę kawy i razem z Barefootem słuchałam brzdąkania największego żyjącego mistrza *koto*.

— Zdajesz sobie sprawę, że on już do końca życia będzie tak wypuszczany i zamykany? — spytałam, kiedy Barefoot przekładał płytę na drugą stronę.

— Czy to jest kolejna sprawa, za którą czujesz się odpowiedzialna? — spytał.

— Powiedziano mi, że to moja wina, ale to nieprawda.

— Dobrze, że to wiesz.

— Jeżeli ktoś uważa, że Tim Archer wrócił do niego z zaświatów, to ten ktoś idzie do szpitala.

— I dostaje thorazinę — dodał Barefoot.

— Teraz dają haldol. Postęp. Nowe leki antypsychotyczne są bardziej precyzyjne.

— Jeden z wczesnych Ojców Kościoła wierzył w zmartwychwstanie, „bo to nieprawdopodobne”. Nie „mimo że to nieprawdopodobne”, ale właśnie dlatego, „bo to nieprawdopodobne”. Chyba to był Tertulian. Tim kiedyś mi o tym mówił.

— Czy to takie dowcipne? — spytałam.

— Nie bardzo. Zresztą nie sądzę, żeby Tertulian chciał być dowcipny.

— Nie wyobrażam sobie kogoś, kto w ten sposób idzie przez życie. Dla mnie to podsumowuje całą tę głupią sprawę: wierzyć w coś dlatego, że to niemożliwe. A ja widzę ludzi, którzy wariują, a potem umierają. Najpierw szaleństwo, potem śmierć.

— Przewidujesz więc śmierć Billa? — spytał Barefoot.

— Nie. Bo kiedy wyjdzie ze szpitala, będę na niego czekać. Zamiast śmierci będzie miał mnie. Jak ci się to podoba?

— Znacznie bardziej niż śmierć.

— Zatem oceniasz mnie pozytywnie. W przeciwieństwie do lekarza Billa, który uważa, że Bill dzięki mnie trafił do szpitala.

— Czy mieszkasz z kimś teraz?

— Prawdę mówiąc, mieszkam sama.

— Chciałbym, żeby Bill zamieszkał u ciebie, kiedy wyjdzie ze szpitala. Nie sądzę, żeby on kiedykolwiek mieszkał z kobietą, poza swoją matką.

— Będę się musiała dobrze nad tym zastanowić — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Bo taki mam zwyczaj w podobnych sprawach.

— Nie chodzi mi o niego.

— Jak to? — spytałam zaskoczona.

— Chodzi mi o ciebie. W ten sposób dowiedziałabyś się, czy to jest rzeczywiście Tim. Miałabyś odpowiedź na swoje pytanie.

— Ja nie mam pytania. Ja wiem.

— Weź Billa do siebie, niech u ciebie pomieszka. Zaopiekuj się nim, a może się okaże, że opiekujesz się Timem w pewnym rzeczywistym sensie. Co, jak sądzę, zawsze robiłaś, a w każdym razie chciałaś robić. A jeżeli nie, to powinnaś. On jest bardzo bezradny.

— Bill czy Tim?

— Ten człowiek w szpitalu. Na którym ci zależy. Twój ostatni kontakt z innymi ludźmi.

— Mam przyjaciół. Mam małego braciszka. Mam ludzi ze sklepu i moich klientów.

— I masz mnie — powiedział Barefoot.

— Tak i ciebie też — potwierdziłam po chwili.

— A gdybym tak powiedział, że według mnie to może być Tim. Że Tim naprawdę wrócił.

— Cóż, wtedy przestałabym chodzić na twoje seminaria.

Przyjrzał się uważnie.

— Poważnie — powiedziałam.

— Nie dajesz sobie dmuchać w kaszę.

— Raczej nie. Popełniłam kilka poważnych błędów. Nie ruszyłam palcem, kiedy Kirsten i Tim powiedzieli mi, że Jeff wrócił. Nie zrobiłam nic i teraz oni nie żyją. Nie chciałabym powtórzyć tego błędu.

— Ty naprawdę uważasz, że Billowi grozi śmierć.

— Tak — powiedziałam.

— Weź go do siebie. I powiem ci coś, dam ci tę płytę Kimio Eto, której słuchamy.

— Uśmiechnął się. — Ta pieśń nosi tytuł *Kibo No Hikari*. Blask nadziei. Myślę, że to odpowiedni tytuł.

— Czy Tertulian rzeczywiście powiedział, że wierzy w zmartwychwstanie, bo to nieprawdopodobne? Wobec tego wszystko to zaczęło się dawno temu. Kirsten i Tim nie byli pierwsi.

— Będziesz musiała przestać przychodzić na moje seminaria — powiedział Barefoot.

— Uważasz, że to Tim?

— Tak. Dlatego, że Bill mówi językami, których nie zna. Na przykład włoszczyzną Dantego. I po łacinie i...

— *Ksenoglosis* — powiedziałam. Znak obecności Ducha Świętego, jak tłumaczył Tim w dniu, kiedy spotkaliśmy się w restauracji pod nazwą Pech. Tego czegoś, co, jak uważał Tim, już nie istnieje. Pewnie w ogóle nie wierzył w Jego istnienie. W każdym razie zgodnie ze swoim najlepszym rozumieniem. A teraz mamy Go w Billu Lundborgu, który twierdzi, że jest Timem.

— Wezmę Billa do siebie — powiedział Barefoot. — Może mieszkać ze mną tutaj na łodzi.

— Nie — zaprotestowałam. — Nie, jeżeli wierzysz w to wszystko. Wolę wziąć go do swojego domu w Berkeley. — W tym momencie zdałam sobie sprawę, że zostałam manipulowana i spojrzałam na Edgara Barefoota, który się uśmiechnął. Zupełnie tak, jak by to zrobił Tim, pomyślałam. Panowanie nad ludźmi. W pewnym sensie więcej jest biskupa Archera w tobie niż w Billu.

— Zgoda — powiedział Barefoot wyciągnął rękę. — Podajmy sobie dłonie, żeby dobić interesu.

— A dostanę płytę Kimio Eto?

— Jak ją przegram na kasetę.

— Ale ja dostanę płytę.

— Tak — powiedział Barefoot, nadal trzymając moją dłoń. Jego mocny uścisk też przypomni mi Tima. Może więc Tim jest wśród nas, pomyślałam. W ten czy inny sposób. Zależy, jak się zdefiniuje „Tima Archera” — jako umiejętność cytowania po grecku, po łacinie i w średniowiecznej włoszczyźnie, czy jako zdolność do ratowania ludzi. Tak czy owak, wygląda na to, że Tim jest nadal z nami. Albo znów z nami.

— Będę chodzić na twoje seminaria — powiedziałam.

— Nie ze względu na mnie.

— Nie, ze względu na siebie.

— Może któregoś dnia przyjdiesz na kanapkę — powiedział Barefoot. — Ale wątpię. Myślę, że zawsze będziesz potrzebowała pretekstu w postaci słów.

Nie bądź takim pesymistą, pomyślałam. Mogę cię jeszcze zaskoczyć.

Przesłuchaliśmy płytę do końca. Ostatnia pieśń na drugiej stronie nosi tytuł *Haru No Sugata*, co znaczy „Nastrój wczesnej wiosny”. Kiedy dobiegła końca, Edgar Barefoot włożył ją do okładki i wręczył mi bez słowa.

— Dziękuję — powiedziałam.

Dopiłam kawę i wyszłam. Była piękna pogoda. Czułam się znacznie lepiej. Za płytę mogłam dostać prawie trzydzieści dolarów. Nie widziałam egzemplarza od lat, była od dawna nie do zdobycia.

Kiedy się prowadzi sklep z płytami, trzeba takie rzeczy mieć na uwadze. A zdobycie jej dzisiaj stanowiło rodzaj nagrody za coś, co i tak miałam zamiar zrobić. Przechytryłam Edgara Barefoota i było mi lekko na sercu. Tim też by się ucieszył. Gdyby żył.

Od Tłumacza

Transmigracja Timothy'ego Archera to ostatnia powieść Philipa K. Dicka zaliczana zwykle wraz z *Valisem* i *Bożą inwazją* do tzw. trylogii VALISA. Łączy ją z tamtymi utworami, oprócz czasu napisania, namiętne poszukiwanie prawdy ostatecznej, podejmowana na oślep próba dotarcia do Boga. *Transmigrację* różni natomiast od wspomnianych wyżej części owej bardzo luźnej „trylogii” fakt, że nie ma w niej właściwie elementów fantastycznych, nie mówiąc już o science fiction. Lub raczej element fantastyczny, ujęty w nawias sceptycznej narracji bohaterki, może być (od biedy) wyjaśniony jako aberracja psychiczna, gdyż w Berkeley i San Francisco, gdzie rzecz się dzieje, wszyscy i tak chodzą do psychiatry nie rzadziej niż do dentysty.

Ktoś, kto czytał inną niefantastyczną powieść Dicka, *Wyznania łgarza*, zauważy być może, iż autor, który w swej twórczości skacze po planetach i stuleciach, jest jednocześnie zamiłowanym kronikarzem swojego czasu i miejsca, to jest Strefy Zatokowej, czyli San Francisco, i mniejszych miejscowości położonych nad brzegami Zatoki Świętego Franciszka.

Tytułowy Timothy Archer jest dość wiernym portretem ulubieńca mediów, modnego lewicowego biskupa Jima Pike'a, który rzeczywiście miał proces o herezję i rzeczywiście zginął w Palestynie na pustyni, szukając tam żywej obecności Boga. Biskup Archer jest jednocześnie *alter ego* samego Dicka, który też szukał Boga, przeskakując niecierpliwie z hipotezy na hipotezę. Czy można się w ten sposób doskakać pomysłowi, że Chrystus był grzybem? W Kalifornii, okazuje się, można. Zwłaszcza gdy ma się do dyspozycji dzieło „naukowe” niejakiego Johna Allegra. Ten znawca Biblii i języków starożytnych stracił swą reputację naukową, kiedy sprawdzono, że te miejsca rękopisów, na które się powołał, są akurat białymi plamami.

Przypomnijmy, że był to czas, kiedy wielką popularnością w Ameryce cieszyły się *Nauki don Juana* pióra Castanedy, przedstawiające szkołę indiańskiego mistycyzmu oraz szamana korzystającego z wywołujących stany mistyczne grzybów. Po latach i te książki okazały się fikcją literacką.

Powieściowa Jane Marion, do której Angel pisze list, to Joan Didion, autorka wydanego również w Polsce *Białego Albumu*. A pierwowzorem Edgara Barefoota był Allan Watts, autor książek popularyzujących religie Wschodu (znanych również w Polsce), guru kilku religii, który podobnie jak Dick i biskup Archer rzucał się łąpczywie na różne formy mistycyzmu. Gdyby powieść powstała nieco później, Dick mógłby go dołączyć do swojej kolekcji przedwczesnych śmierci.

Transmigracja Timothy'ego Archera jest przepełniona śmiercią — wielce stosownie jak na ostatnią powieść. Problem w tym, że pięćdziesięcioletni Dick nie chorował i nie miał podstaw, żeby się spodziewać rychłej śmierci. Stało się tak, że jego organizm — a to obejmuje również jego nadczułą psychikę — podyktował mu na zakończenie życia powieść o śmierci uwieńczoną znalezieniem świętego Graala. Bo biskup Archer wyrusza na ostatnią wyprawę w poszukiwaniu mądrości, a znajduje śmierć oraz współczucie bodhisattwy, czyli miłość. Trudno o bardziej trafne podsumowanie będącego jedną wielką wyprawą w poszukiwaniu Graala życia i twórczości Philipa K. Dicka.

Lech Jęczmyk

SPIS TREŚCI

1	4
2	9
3	20
4	33
5	40
6	55
7	67
8	76
9	90
10	102
11	116
12	123
13	133
14	141
15	151
16	160
Od Tłumacza	168